Dr Hoszard
członek Wydziału Okręgowego

Zł 1.50



Sawicki w powstaniu.

PUŁKOWNIK STRUŚ
(Dr. JAN STELLA-SAWICKI)

MOJE WSPOMNIENIA

(1831—1910)

(ROSJA—POLSKA—FRANCJA)

Z rękopisów autora wydał, wstępem i przypisami opatrzył

DR. EUGENJUSZ BARWIŃSKI

Z TRZEMA PORTRETAMI

H. ALTENBERG KSIĘGARNIA WYDAWNICZA
WE LWOWIE

Z drukarni „Słowa Polskiego" pod zarządem W. A. Skrzyczyńskiego.

PRZEDMOWA.

Nazwisko pułkownika Strusia — dra Jana Stella-Sawickiego — dobrze jest znanem i w dziejach naszych i w literaturze. Najpierw niosąc ojczyźnie w ofierze krew swą i życie, z orężem w ręku pośpieszył tam, gdzie się robiła historja, jako bojownik i organizator. Po latach, gdy przyszedł czas na to, chwycił za pióro, by opisać najpierw te dzieje walki o niepodległość, których „magna pars fuit", następnie pokusił się o odtworzenie także innych tej walki epizodów, a w końcu nawet o nakreślenie obrazu całości.

Tak powstały najpierw pamiętniki jego osobistego udziału w powstaniu: „Pamiętniki pułkownika Strusia". (Wydawnictwo materjałów do historji powstania — tom II. — Lwów 1890), a następnie książki: „Ludzie i wypadki 1861—1865" — Lwów 1894. „Szkice z powstania 1863 r." — Kraków 1889. „Galicja w powstaniu styczniowem" — Lwów 1909 i 1913 — a w końcu „Rok 1863". (Wydawnictwo Macierzy polskiej) Lwów 1905. — Pisane z werwą, barwnie i interesująco były czytane z wielkiem zajęciem, rozeszły się szybko i dziś na półkach księgarskich napróżnoby ich szukać.

Pisał te rzeczy Sawicki wtedy, kiedy nowoobrany zawód lekarski obarczył go wielu nowymi, ciężkimi pracami i obowiązkami, kiedy jako organizator szpitali położył dla kraju niemałe zasługi, a literaturę tego działu obficie wzbogacił. Pozostało po nim sporo pism poświęconych hygjenie, szpitalnictwu, przyrodzie, które również cieszyły się dużem powodzeniem i doczekały się szeregu wydań. Jeżeli do tego dodamy szereg artykułów zamieszczonych w pismach warszawskich, opisów podróży, rozpraw przyrodniczych i innych, musimy przyznać, że ten dorobek literacki urasta do niemałych rozmiarów.

Ale to, co wyszło w druku, nie wyczerpało jeszcze spuścizny autora. W posiadaniu syna pozostały jeszcze trzy obszerne, bardzo starannie ręką autora spisane tomy, zawierające wspomnienia, artykuły społeczne, polityczne. Są tam rzeczy o zabarwieniu osobistem, dla potomków wyłącznie przeznaczone, ale są też i rzeczy ogólniejszego znaczenia, ciekawe, czy to jako charakterystyka sfer, w których się autor obracał, czy też jako oryginalne oświetlenie znanych faktów, czy też w końcu nawet wiadomości skądinąd zupełnie nieznane.

Otrzymawszy te rękopisy, z wielkiem zajęciem przeczytałem całość i przyszedłem do przekonania, że bardzo znaczna część tych wspomnień bezwarunkowo zasługuje na ogłoszenie. Z tej to wielkiej masy materjału wybieram obecnie rzeczy najciekawsze, które nam dają obraz tych niezwykłych kolei życia, jakie przechodził pułkownik Struś.

Jest to jednak nietylko obraz życia jednego działacza narodowego, ale zarazem i przykład, jakie koleje życia przechodzić musieli patrjoci, którzy poświęciwszy cały swój los, ofiarowali na ołtarzu ojczyzny krew swą i życie; jakie udręczenia, gorsze może od śmierci znosić musieli później, cierpiąc tułaczkę, nędzę, jakich upokorzeń najboleśniejszych nietylko od obcych, ale i od swoich, niestety doznawać musieli....

Trudno chyba o bardziej niezwykłe koleje życia, jak te, które przechodził Sawicki. W młodzieńczym wieku osiągnąwszy tak wysokie stanowisko, do którego nieliczni tylko wogóle dochodzili, miał przed sobą widoki niezwykle świetnej karjery i przyszłości. A jednak rzucił te wszystkie piękne widoki i mimo niewiary w powodzenie powstania, poszedł tam, gdzie go zawołał obowiązek. Z katastrofy uszedł wprawdzie z życiem, nie utraciwszy nawet, jak wielu, wolności, ale znalazł się naraz sam, bez wszelkich środków i pomocy. Wśród najcięższych warunków trzeba było jąć się pracy rąk, by zarobić na życie, a jednak cierpliwością i żelazną wolą znalazł wyjście z tej sytuacji, potrafił, zarabiając na chleb codzienny jeszcze zasiąść do książki, do żmudnej nauki, by położyć podwaliny pod nowe życia warunki. Zdołał zwyciężyć, pokonać trudności, o własnych siłach ukończyć trudne studja — i nietylko dobić się nowego stanowiska, ale i na tem nowem polu działania oddał społeczeństwu niemałe zasługi. A nietylko to: nawet w najcięższych chwilach nie zapominał o rodakach, wspierał ich radą i pomocą, na jakie go tylko stać było.

Gdy się widziało tego pięknego starca, na którego obliczu malowała się dziwna pogoda, dziwna jakaś dobroć i uczuciowość, trudno były uwierzyć, że to jest ten człowiek, który zdołał przejść tak niezwykłe i tak nad wyraz ciężkie życia koleje. Dopiero czytając te wspomnienia, rozumie się, że pogodę taką dać może tylko świadomość, że ma się za sobą życie tak zawsze i wszędzie w służbie obowiązku przeżyte. Mógł on powtórzyć za Seneką słowa umierającego Katona: „Nihil egisti fortuna, omnibus conatibus meis obstando: non pro mea adhuc, sed pro patriae libertate pugnavi".

Dziwne koleje życia pozwoliły mu zetknąć się blisko z wszystkimi narodami, których ręce na losach naszych tak zaciężyły. Najdłużej obcował z Moskalami i najgruntowniej mógł ich poznać, bo z nimi się chował, z nimi spędził lata młodzieńcze i pracował w początkach swej karjery. To też wyrobił sobie o nich sąd trafny, który przebija się w jego wspomnieniach, a uwagi jego i spostrzeżenia są bardzo ciekawe. Do narodu rosyjskiego nie żywił niechęci i miał nadzieję, że kiedyś zwycięży w Rosji przekonanie, że zgodność współpracy ich z nami wyjść musi na pożytek obu narodów. Wyraz tym przekonaniom dał w swej mowie na bankiecie urządzonym we Lwowie w r. 1908 na cześć delegatów rosyjskich, jadących na kongres do Pragi; słów tych nie mogli mu darować Ukraińcy, i mowę tę wydrukowali w Berlinie do użytku swych pruskich protektorów jako dowód moskalofilskich sympatji wśród Polaków.

Z wielkim natomiast sceptyzmem patrzył na wzrastanie wpływów Ukraińców w Galicji, zwąc ich „niefortunnym tworem Badenich, którzy z nich zamiast sojuszników do zwalczania partji Starorusinów, stworzyli wrogów biednej naszej Ojczyzny".

Wolny od nienawiści do Moskali, z którymi walczył, nie ukrywał jej wobec Prusaków, znienawidziwszy ich za postępowanie w kraju wiernych naszych przyjaciół, Francuzów. To, co widział na własne oczy w Strassburgu i Alzacji i to, co słyszał od wiarogodnych świadków, napełniało go zgrozą i wstrętem. Wszystko, co czytamy we wspomnieniach jego o okrucieństwach Niemców w wojnie roku 1870, żywo nam przypomina to, czego świadkami naocznymi obecnie byliśmy, i poucza, że postęp czasu przyniósł zamiast postępu cywilizacji tylko jeszcze większe wyrafinowanie barbarzyństwa i buty teutońskiej.

Prawdziwą pogardę czuł Sawicki do samej śmierci dla wszystkiego, co szło od rządu austrjackiego — widział w nim nie-

tylko nieustanną niechęć do nas, ale równocześnie bezsilność, głupotę i bezgraniczną korupcję — a tym poglądom dał dosadny wyraz w szkicu o Gąlicji w chwili wybuchu powstania, tu zamieszczonym.

Nie dziw, że z kart tych wspomnień przebija się uwielbienie dla Francji i wdzięczność bezgraniczna — wszak była ona jego drugą ojczyzną i przygarnęła go wtedy, kiedy w ojczyźnie miejsca dla niego nie było. To też czytając we wspomnieniach tych, jak serdecznie traktowano naszych nieszczęsnych rozbitków wtedy, gdy cały świat był przeciw nam i nasze serca napełniają się uwielbieniem i wdzięcznością dla tej naszej wiernej sojuszniczki. Jeżeli tak wierną była nam słabym, na ziemię powalonym, z tem większą ufnością liczyć na nią możemy po zmartwychwstaniu Ojczyzny dziś, wolni, w siłę rosnący!

Najmniej wiadomości daje niniejsza książka z epoki w życiu Strusia najważniejszej, czasów powstania, — ale jak wspomnieliśmy, dzieje te skreślił on i wydał już za życia.

Natomiast w kilku miejscach porusza przykrą sprawę stosunku naszych mężów stanu po upadku powstania do jego uczestników, w szczególności zaś Gołuchowskiego.

Postać Gołuchowskiego przedstawia się obecnie ogółowi taką, jak ją wyobraża pomnik spiżowy we Lwowie wystawiony i drugi, który mu wzniósł w swem dziele znakomity pisarz Bronisław Łoziński — jako wielki mąż stanu; takim też był i takim wobec sądu historji zostanie. Ale mimo to nie można zapominać, że jak niema wogóle doskonałego dzieła ludzkiego, tak też niema i postaci, na którejby nie można dojrzeć żadnego cienia. Tak samo więc nie wszystko, co zrobił Gołuchowski, musi znaleźć bezwzględną aprobatę potomności, a w szczególności nie wszystkie drogi, któremi zmierzał do celu, muszą być bezwzględnie uznane za dobre.

Na innem miejscu zaznaczyłem, że ostatnie dziesiątki XIX. wieku ugruntowały u pewnej części społeczeństwa pogląd, że powstanie styczniowe było szaleństwem i że przyniosło nam tylko szkodę; wszak czytano to w dziełach Koźmiana, Przyborowskiego, w surowych w ocenie ruchu powstańczego sądach Lisickiego w „Kwartalniku historycznym". W tem świetle widział powstanie i Gołuchowski, a zbawienia szukał gdzieindziej; być może, że ze swego stanowiska miał rację, że nie wierząc w powodzenie ruchu zbrojnego, był przekonany, że należy życiu narodowemu wywalczyć drogą pokojową warunki możliwe w ramach istnieją-

cych. Natomiast stwierdzić trzeba, że się nie wyrzekał nadzieji, że kiedyś zaświta Polsce słońce wolności i że tej nadzieji dał nawet wyraz w czasie obrad sejmowych nad t. zw. „rezolucją".

On też tych, którzy stawali w poprzek jego planom usuwał twardą ręką jako, szkodliwych dla kraju warchołów — nie dziw więc, że obok uznania z jednej strony spotkał się z potępieniem strony drugiej, a że nie umiał się uchronić od tak fałszywych kroków, jak wydanie Agatona Gillera i represje wobec Sawickiego i innych, nie dziw więc, że stworzył przeciw sobie silną opozycję, która potem nie umiała dojrzeć i tego, co w jego polityce było dobrem. Objawy tych sądów ujemnych przetrwały aż do naszych czasów i sprawiły, że pomnika polskiego męża stanu musiała pilnować c. k. policja.

Wyrazy tej ujemnej oceny spotykamy i w niniejszych wspomnieniach; nie pomijamy ich, będąc zdania, że historja nie może być panegirykiem i że w interesie prawdy oświetlić trzeba i odwrotną stronę medalu.

Lwów w kwietniu 1921.

Dr. Eugenjusz Barwiński.

WIEK DZIECIĘCY

Prapradziad mój Michał-Alojzy, pisarz ziemski, wileński używał herbu Lubicz; za zasługi otrzymał od króla Augusta II. starostwo Przeroślskie w powiecie Grodzieńskim. Oprócz tego starostwa miał po ojcu majątek Orpę z folwarkiem Sosenką i Puciatą. Pradziad mój Wawrzyniec, porucznik wojsk litewskich, oprócz ojcowizny otrzymał w posagu za żoną Anną z domu Ławińską wieś Miłosze: dziad Michał, mostowniczy województwa trockiego wszystko co odziedziczył po ojcu i matce oddał na potrzeby kraju.

Ojciec mój Teodor, urodzony z matki Katarzyny z Czechowiczów w Daszówce w r. 1792, już od jedenastego roku życia musiał myśleć o sobie i pracować na siebie. Ukończywszy uniwersytet wileński i zostawszy lekarzem, zamieszkał w Szawlach: był bardzo dobroczynnym i serca czułego na nędzę ludzką, to też lubiano go powszechnie i bardzo szanowano. W roku 1825 ożenił się z Izabelą Rymgajłówną i z tego małżeństwa miał dziewięciu synów i dwie córki; jako szóste z rzędu dziecko przyszedłem na świat dnia 24 lutego 1831 r.

O ile sięgają me wspomnienia w lata dziecinne, byłem bardzo zdolnym do wszystkiego, a szczególnie do swawoli: charakter jednak miałem zgodny, łagodny i bardzo czuły na każdą radę serdeczną, lub na upomnienie idące od ludzi, którzy mnie kochali. Obarczony tak bardzo liczną rodziną, na propozycję wuja mego Kamila Rymgajłło, ojciec oddał mnie na wychowanie, gdym miał lat pięć na wieś Szapkajce, którą następnie ojciec mój kupił u niego. Był tam już drugi chłopiec, brat mój cioteczny Stanisław Olendzki, o rok młodszy odemnie. Wuj był wdowcem, przy nim mieszkała najstarsza siostra jego, panna Julja i dwoje dzieci,

znacznie starszych od nas, Feliks i Julja. Ma się rozumieć, że Staś stał się przyjacielem moim od serca, powiernikiem i towarzyszem swawoli. Ciotka, zgryźliwa stara panna, nie bardzo była względna na młodość i ostro karciła każdą swawolę, każdy wybryk młodości. Prawie dnia nie przechodziło, żebym ja szczególnie nie szarpał pierza za karę, nie robił pończoszki, albo nie wiązał sieci. Ale to były kary, z któremi się godziłem, bo moja czynna natura potrzebowała nieustannego zajęcia i ruchu. Nie lubiłem tylko, gdy mi kazała stać lub klęczeć w kąciku, twarzą do ściany i liczyć głośno do tysiąca, albo klęcząc sylabizować za karę cały rozdział z Robinzona Kruzoe, chociaż już czytałem bardzo biegle. Wuj lubił mnie, ale od niego obrywałem czasami grubo, zwłaszcza, gdy coś już bardzo przeskrobałem. Ale pomimo tego, że nieraz ofuknął się na nas, że nieraz oberwaliśmy z ręki jego, lubiliśmy wuja, a niecierpieliśmy ciotki, która ustawicznem zrzędzeniem dojadała nam do żywego.

Od dzieciństwa rozwinął się we mnie jeden przymiot bardzo cenny, który mnie w życiu potem niejedną oddał usługę, a mianowicie, że byłem bardzo koleżeński i nigdy nie skarżyłem się na nikogo. Zdarzyło się, że do Szapkajć przyjechała siostra moja, nie wiele różniąca się wiekiem odemnie. Było to w zimie. Bawiąc się koło pieca, w którym drzwiczki były rozpalone do białości prawie, haczykiem otworzyła drzwi i sparzyła mi lewą rękę okropnie, tak, że cała skóra z górnej części ręki zlazła. Strasznie przelękła się siostra, tem więcej, że obawiała się kary, wiedząc, że tego nie uniknęłaby, gdyby się ciotka dowiedziała, że to jej sprawa. Całą winę przyjąłem na siebie i strasznie cierpiałem przez wiele tygodni, nim się zagoiła rana, ale miałem to wynagrodzenie, że siostra mnie kochała, może najwięcej ze wszystkich swoich braci, a i ja płaciłem jej za to wzajemnością, bo serce sercem się wynagradza.

Gdym doszedł do lat sześciu, ojciec wziął mnie do domu, bo nastąpił czas nauki poważniejszej. Starszy brat mój Adolf chodził do szkół w Krożach, gdzie niegdyś Sarbiewski pisał swe ody łacińskie i pięknością języka wprawiał w zdumienie wszystkich znawców literatury dawnego Rzymu. Brat mieszkał wtedy u profesora Feliksa Maruszewskiego, do którego i mnie odwiózł ojciec, ale niedługo zostaliśmy tam, bo w kilka tygodni po moim przyjeździe otworzono pięcioklasowe gimnazjum w Szawlach, dogodniej więc i oszczędniej było ojcu trzymać nas przy sobie. Jeszcze z pół roku uczyli mnie osobiście ojciec i matka w domu,

a jak tylko zacząłem siódmy rok, oddali mnie do pierwszej klasy gimnazjalnej.

Rząd rosyjski skasował słynne gimnazjum w Krożach i szkoły polskie w Chwałojniach, a profesorów przeniósł do Szawel i Swisłocza, rozkazując uczyć wszystkich przedmiotów po moskiewsku; przytem nie wiem, z jakich powodów profesorom, którzy dawniej uczyli łaciny, kazano wykładać matematykę, a tym, co uczyli geografji i historji, nakazali uczyć łaciny. Ma się rozumieć, że podobne zmiany fatalnie odbiły się na uczących i na uczniach, bo starzy profesorowie już nie mogli gruntownie objąć nauki, którą w znacznej części zapomnieli, a uczniowie nie mogli usłyszeć pięknych wykładów, któremi słynęły szkoły w Krożach.

Niedługo byłem w Krożach, jednak pamięć o nich została we mnie wyrytą bardzo silnie, bo tam każde miejsce miało swe wspomnienia i sławne tradycje. Szczególnie wraziła się w pamięć moją rzeka Krożenka, podziemia dawnego klasztoru, zawierające szczątki grobów różnych i góra zwana Miedziokalnią, na której według podania Sarbiewski pisał swe ody pod cieniem rozłożystego dębu, który pamiętam bardzo dobrze, był bowiem niezmiernej grubości, od dołu pokryty garbami i szczerby, dziwacznie poorany wiekiem i piorunami, co weń biły niegdyś. Kilka potwornie grubych konarów wyrastało z pnia nie prosto, lecz łamały się dziwnie, to idąc w górę, to spadając ku dołowi, to podnosząc się znowu, niby pasując się z jakąś niewidomą siłą. Dalej szły wysoko gałęzie jedne zielone i gęsto liściem pokryte, drugie obnażone, strupieszałe, zjedzone przez muchy, rozpadające się mchem... Spojrzawszy na tego milczącego, nieruchomego olbrzyma, mimowoli każdy z nas czuł poszanowanie i grozę. Był on bowiem świadkiem tysiącletnich dziejów, burz, ciszy, i przemian ziemi. Cały świat nosił na sobie ten stary pan puszczy, która tu zapewne kiedyś się znajdowała. Z jego soków żywiły się mchy, na ich trupach rosły trawy, a w dziuplach różne leśne kwiatki. Grzyby i pleśnie porosły mu na nogach, na jednej gałęzi wił się chmiel dziki, na drugiej bluszcz. Wyżej pomiędzy gałęziami słały gniazda ptaki w wiecznym boju z sobą. Na każdej z nich tulił się inny mieszkaniec lasu. I dziś w pamięci mojej widzę go jak żywy......

W pierwszej klasie gimnazjum szawelskiego, do którego wstąpiłem, znajdowali się tacy malcy jak ja i dorośli ludzie już pod wąsem, mający po 25 i 30 lat. Z tych ostatnich pamiętam Skabłowskiego i Sawickiego, którzy mnie zawsze protegowali,

gdym za swawolę zasłużył na cięgi od rówieśników, którym jakiegoś figla wypłatałem: za to też szczerze i z narażeniem się na karę podpowiadałem im, gdy byli zapytani i nie umieli lekcji. Wogóle miałem wielu przyjaciół i lubiano mnie w szkołach, pomimo swawoli moich.

Z kolegów najlepiej lubiłem Sylwestra Dawidowicza, Alojzego Gabszewicza, Władysława Paszkowskiego, Ludkiewiczów, Chrzanowicza, Palulona, Adlera. Losy rozrzuciły nas tak po świecie, że już z pewnością żadnego z nich nie zobaczę.

Ze wszystkich przedmiotów najlepiej polubiłem historję świętą i matematykę, być może dlatego, że nauczyciele tych przedmiotów ks. Kontrym i Wincenty Giedymin kochali młodzież i przez nas byli bardzo kochani. Wrażliwa dusza dziecięca moja była wstrząśnięta pięknością prawd ewangielicznych, męczeństwem Syna Bożego i bezgranicznem poświęceniem się pierwszych chrześcijan. Zrobiłem się bardzo nabożnym, czytałem żywoty świętych, naśladowanie Chrystusa, codziennie chodziłem do kościoła na nabożeństwo dla modlitwy lub służyłem do mszy, a ojciec widząc takie usposobienie moje, zaczął mawiać, że „Jan zostanie księdzem". Słowa te ojcowskie powiększyły nabożność moją, modliłem się po kilka godzin dziennie, pościłem, spowiadałem się często i już umiałem na pamięć całą liturgję i inne nabożeństwa kościelne.

Pamięć wprawdzie miałem wielką, ambicję, aby być wszędzie pierwszym także, i zawsze byłem przodującym w naukach, ale żywość charakteru nie opuszczała mnie nigdy. We wszystkich zabawach, swawolach i ryzykownych przedsięwzięciach byłem zawsze na przodzie, tak, że nieraz nazywano mnie „królem swawolników".

W piłkę grałem znakomicie, rzucałem kamienie z procy doskonale, nie było drzewa, na którebym wleźć nie potrafił, nie było niebezpieczeństwa, na którebym się nie odważył, pobudzony ambicją, a zarazem wiarą, że bez woli Boga włos mi z głowy nie spadnie.

Dni płynęły jasne, spokojne i krótkie, jak błyskawica. W jedynastym roku życia już byłem w czwartej klasie gimnazjalnej jednym z pierwszych uczniów, zawsze marząc o stanie duchownym, do którego mnie ojciec przeznaczał. Wakacje zwykle przepędzałem u wuja mego Olendzkiego w Gilwiczach. Miał on trzech chłopców w moim wieku, z którymi bawiłem się wyśmienicie,

zawsze przewodząc we wszystkich zabawach, wycieczkach i swawolach. Przyjaźń między nami przetrwała całe życie.

Pewnego dnia ojca mego odwiedził stary major moskiewski, niejaki Borazdin, którego ojciec leczył. Widząc wesołe i figlarne dziecko, silnie i dobrze zbudowane, major zapytał ojca, czemu mnie nie odda do kadeckiego korpusu, „bo z niego byłby doskonały żołnierz“. Ojciec odpowiedział, że niema znajomości w Petersburgu, zapomocą których mógłby mnie ulokować w zakładzie wojskowym. Ja to panu załatwię, odrzekł major, ja tam mam wielu znajomych, dam listy rekomendacyjne, poproszę, to się wszystko prędko zrobi. Ojciec zgodził się.

Tak więc los mój został stanowczo zdecydowany. Matka usłyszawszy, że mnie wyszlą wkrótce daleko, zalała się łzami i pobiegła do ogrodu, gdzie wabiąc ptaszki głosem, starałem się do nich trafić z procy. Biedna objęła mnie i przytuliła do serca, szlochając. Nie wiedziałem jeszcze, o co chodzi, ale serce mi ścisnęło się na widok łez matki. Wezwany do ojca, dowiedziałem się o decyzji, a że epolety, szabla i ostrogi bardzo mnie nęciły, więc to nagłe postanowienie nie zasmuciło mnie bynajmniej. Starszy brat mój Adolf ukończył wtedy gimnazjum i jechał do uniwersytetu petersburskiego, miał więc mnie zabrać z sobą i oddać do korpusu kadetów. Na wiosnę 1843 roku pożegnałem dom rodzinny i ukochanego ojca, którego nie miałem już obaczyć nigdy.

Ówczesne wychowanie dzieci w zakładach wojskowych było spartańskie w całem znaczeniu tego słowa. Srogość i dyscyplina wojskowa były tam posunięte do najwyższego stopnia. Za lenistwo, upór, niedbalstwo i nieposłuszeństwo istniała jedna tylko kara — rózgi. Gdym po raz pierwszy stanął w szeregu, dowódca roty, kapitan Pogorzelski miał do nas następującą przemowę: „Radzę wam prowadzić się przyzwoicie, nie swawolić, uczyć się dobrze, bo za najmniejsze uchybienie w tym względzie czekają was rózgi, a że tu nie żartują, ręczę. Ej! zawołał na dozorcę, przynieś tu pęk rózeg, aby się wszyscy przekonali, że to nie rózgi matczyne“. Wniesiono pęk rózeg, które miały przynajmniej cztery stopy długości. Przestraszyłem się niezmiernie, czułem, że mi się łzy cisną do oczu, bo przyszli mi na myśl matka i ojciec ukochani, którzy pewno nie oddaliby dziecka swego do zakładu naukowego, gdzie jedynym bodźcem była rózga. W miesiąc potem w czasie musztry dziecku czternastoletniemu, niejakiemu Hamratowi, dowódca bataljonu, pułkowik Czaplin dał pięćset ró-

zeg za to, że źle robił bronią... Z placu odniesiono go wprost do szpitala.

Codziennie mieliśmy cztery lekcje z różnych przedmiotów i każda po półtorej godziny: resztę zaś czasu zajmowano nas musztrą, gimnastyką, śpiewami i tańcami. Wstawaliśmy o 5 zrana w zimie i latem. Godzinę mieliśmy przeznaczoną na oczyszczenie odzienia i obuwia, mycie się, zasłanie łóżka i zrobienie wszelkich porządków koło siebie. Budziła nas zwykle trąbka trębacza, który chodził po wszystkich salach zakładu. O szóstej siadaliśmy do śniadania, składającego się z bułki i kubka zbitniu; jest to gorąca woda z miodem i korzennemi przyprawami, używana zamiast herbaty przez prosty lud w Moskwie. Od 8—9 odbywały się musztry, od 9—12 siedzieliśmy w klasach. O 12 wracaliśmy do domu i zjadłszy kawałek chleba z solą, który każdy znajdował na poduszce swego łóżka, śpieszyliśmy na musztrę lub na gimnastykę, tańce, albo śpiewy. O 1½ popołudniu następował bardzo skromny co do ilości obiad, składający się z trzech potraw. O 3 szliśmy znowu do szkoły, gdzie uczono się do 6 wieczorem. Od 6—9 gotowaliśmy się do lekcji na drugi dzień, musztrowaliśmy się, o 8 następowała kolacja, składająca się z kubka zbitniu, albo mleka z chlebem z masłem. O 9 każdy musiał iść spać. Taki to był zwykły tryb życia naszego. Jak powiedziałem, karmiono nas bardzo skromnie; już po wyjściu z zakładu na jednym dawnym zeszycie znalazłem notatkę: „Dziś 15 lipca 1846 roku po raz pierwszy wstałem od obiadu syty". Jak musiał głód często dokuczać dziecku, można wnosić z tej notatki, umieszczonej dla pamięci, jak dzień niezwykły jakiś w życiu.

Dowódcą zakładu wojskowego był jenerał-major Mikołaj Puszczyn, człowiek dzikiej srogości. Niegdyś służył w korpusie litewskim pod ks. Konstantym i za grubjańską odpowiedź księciu został z kapitana zdegradowany na prostego szeregowca. Potem idąc stopniami, dosłużył się znów oficerskiej rangi, a gdy został jenerałem, oddano pieczy jego korpus kadecki. Trudno wyobrazić sobie nawet, jak ten człowiek pastwił się nad biednemi dziećmi, ile rózeg połamał na ich skórze. Zdarzało się, że po nieudałych musztrach wobec cesarza lub wielkiego ks. Michała przyprowadzał korpus do maneżu i po trzydziestu lub czterdziestu jednocześnie rozciągano na ziemi i sieczono aż do zemdlenia. Puszczyn biegał zwykle między bijącymi posługaczami-żołdakami, krzycząc: „mocniej, mocniej". Po jednej z takich egzekucyj syn jenerała Głowackiego umarł z bolu. Takie tyrańskie obejście się wywołało

między starszemi kadetami spisek, mający na celu zabicie jenerała; spisek został odkryty i kilkunastu winnych zesłano do armji na prostych żołnierzy na 25 lat. Jednak skarga nieszczęśliwego ojca, który stracił dziecko w taki okropny sposób i sam spisek wykazał konieczność usunięcia Puszczyna. Mikołaj sam despota i tyran, wezwał go i kazał mu jechać za granicę, dodając: „Tyś zapomniał, że to są dzieci szlacheckie". Po roku pobytu za granicą wrócił nazad Puszczyn, lecz nie na długo, oślepł bowiem, a na jego miejsce mianowano jenerała Gressera.

Tyrańskie obejście się z dziećmi i straszna dyscyplina wytworzyły wielkie koleżeństwo między młodzieżą i wyrodziły w młodych duszach nienawiść do despotyzmu, a zarazem wytwarzały charaktery energiczne, zamknięte w sobie i zdolne do poświęceń, chociaż do pewnego stopnia zdziczałe. Korpusy kadeckie za panowania Aleksandra II. dostarczyły najwięcej materjału na nihilistów i spiskowców.

Uczono nas dobrze. Najlepsi profesorowie wykładali szkolne przedmioty. Nie było wówczas żadnej różnicy między Polakami i Moskalami: owszem, lubiono nas więcej, bo wogóle Polacy mieli większą ogładę, delikatność, zręczność w ćwiczeniach fizycznych, zdolność pod względem naukowym i prowadzili się lepiej. Moskale mówili, że Polacy dlatego się uczą i prowadzą dobrze, „bo mają delikatną skórę, wrażliwszą na rózgi, niż oni"! Religję wykładano nam po moskiewsku; kapelan ks. Stacewicz przetłumaczył katechizm katolicki na język moskiewski. Popi nauczyciele religji prawosławnej lekceważeniem swego zawodu i niedowiarstwem wszczepiali w młode dusze obojętność do religji i nawet pogardę do kościelnych obrządków. Odbijało się to i na katolikach, bo przykład jest rzeczą zaraźliwą. Ktożby uwierzył, że ze mnie dziecka fanatycznie prawie religijnego, za lat kilka pobytu w korpusie zrobił się chłopiec obojętny w sprawie religijnej, a nawet niedowiarek.

Mówiliśmy zawsze po moskiewsku, a jeżeli nie zapomniałem ojczystego języka, obowiązany jestem książeczce do nabożeństwa dla chłopców, przez pannę Tańską, którą mi ojciec przysłał w nagrodę za pilność i przykładne postępowanie. Styl tej książki jest tak piękny, wybór modlitw tak dobry, że często czytałem ją i prawie całą umiałem na pamięć. Niedowiarstwo i lekceważenie religji w kolegach moich Moskalach rozwinęło się do tego stopnia, że kilku z nich w czasie Wielkiego Postu, korzystając z nieobecności popa wlazło za „carskie wrota" do ołtarza, ubrało się

w kościelne szaty i zaczęło wyrabiać takie hece, że brzydko było na to patrzeć nawet tym, co należeli do innego wyznania; nareszcie pobili się przed ołtarzem, rzucając jeden na drugiego ewangielją i krzyżami. Jeden z nich, Rodzianko, był synem przełożonej największego instytutu dla dziewcząt w stolicy. Złowieni na gorącym uczynku przez kapelana byli sądzeni przez władzę duchowną i skazani za świętokradztwo na ciężką pokutę duchowną, a oprócz tego zostali ukarani cieleśnie.

Co kilka tygodni najlepszych uczniów posyłano do pałacu cesarskiego dla zabawy z wielkimi książętami Mikołajem i Michałem. Ponieważ uczyłem się bardzo dobrze i co rok otrzymywałem pierwszą nagrodę, często przypadał na mnie ten zaszczyt, który lubiłem jedynie dlatego, że w pałacu dawano dobre rzeczy do jedzenia, co do samej zabawy, ta nie była bardzo wesołą, bo książęta nie posiadali dobrego wychowania i lubili bolesne żarty, patrząc na nas jak na zwierzątka, przywiezione dla ich zabawy i rozrywki. Ileż to razy na wiosnę, gdy lód zaledwo roztopniał, bawiąc się w ogrodzie, byłem wepchnięty do sadzawki w całem ubraniu, skąpany w zimnej wodzie, zostawałem w mokrym mundurku aż do powrotu do zakładu; ileż to razy niejeden z nas odwożony w dworskiej karecie, wiózł do domu sińce na twarzy, uderzony śnieżkiem puszczonym z wielkoksiążęcej ręki, albo jechał bez czapki, bo ją utopił książę w stawku. Wielki książę Mikołaj wykazywał przy tem zawsze mniej serca i większy brak wychowania, żarty jego były zawsze bolesne: takim też pozostał do końca życia. Na tych zabawach poznałem się z Szuwałowem, który odgrywał potem w dyplomacji taką wielką rolę.

Co niedzielę każdy zakład wojskowy wysyłał jednego ordynansa do cara. Ordynans taki musiał znać musztry doskonale i robić bronią nietylko dobrze, ale z wielką elegancją. Długo pracowałem nad sobą, nim się dobiłem do tego, że i pod tym względem stałem się jednym z pierwszych. Posłano mnie na ordynansa do Mikołaja. Gdym zaprezentował broń przed nim i odraportowałem, Mikołaj niezmiernie zadowolony z marsowej postawy dzieciaka, schylił się z konia, uchwycił za głowę i ryzykując zwichnąć mi szyję, podniósł do góry i pocałował. Pamiętam, żem bardzo długo czuł ból w szyji po tym carskim pocałunku.

Posuwając się z klasy do klasy, co rok awansowałem także w hierarchji wojennej, w drugim roku zostałem giefrejtrem, w trzecim młodszym podoficerem, potem starszym, a nareszcie feld-

feblem. W piątym roku pobytu mego w korpusie kadeckim nie chciano mnie awansować na feldfebla z powodu łagodnego mego charakteru, dla wypróbowania jednak poruczono mi ten obowiązek tymczasowo w szóstej rocie, dokąd zwykle wstępowali nowoprzybyli. Widząc, że od tego zależała przyszłość moja, rozwinąłem taką energję, tak byłem czynny i srogi dla dzieciaków, że po miesiącu próby awansowano mnie na feldfebla. Od tej chwili zmieniłem powoli postępowanie i stałem się znowu tym, czym byłem rzeczywiście.

Ze wszystkich kolegów najserdeczniej żyłem z Michałem Dragomirowem[1]), rusinem, z którym szliśmy od drugiej klasy aż do wyjścia z korpusu w zawody, ciągle emulując z sobą w naukach, bo obaj byliśmy celującymi; był to chłopiec znakomitych zdolności i zacnego charakteru. Przyjaźń ta przetrwała między nami i po awansowaniu na oficerów gwardji; obecnie jest on głównodowodzącym wojskami na granicy Austrji[2]). Oprócz niego największymi przyjaciółmi mymi byli koledzy ze szkół szawelskich dwaj Hurczynowie Witołd i Aleksander, z których starszy umarł w randze jenerał-kwatermistrza kaukazkiej armji, a młodszy został dowódcą korpusu; nareszcie Stanisław Olendzki, brat cioteczny, który w rok po mnie wstąpił do korpusu.

W 1848 r. otrzymałem straszną wiadomość o śmierci mego ukochanego ojca który zmarł na cholerę i pozostawił rodzeństwo w dość trudnem położeniu finansowem. Korzystając z wysokiego stanowiska, jakie zajmowałem w korpusie, kadeckim, prosiłem naczelnika wszystkich korpusów kadeckich W. Ks. Michała Pawłowicza o przyjęcie dwóch młodszych braci do korpusu, i prośbę moją spełniono. Ludwik i Hugo zostali przyjęci, przyszłość więc ich wojskowa została zabezpieczoną.

26 maja 1849 zostałem awansowany na oficera do Leibgwardji Grenadjerskiego pułku, który mi się podobał szczególnie dlatego, że pułk ten miał błękitny kołnierz w mundurze; miałem wtedy 17 lat i byłem jeszcze wielkiem dzieckiem.

---

[1]) Michał Dragomirow, później dowódca, komendant dywizji w walce o wąwóz Szipka w wojnie rosyjsko-tureckiej należał do najznakomitszych taktyków rosyjskich — działał także jako propagator panslawizmu.

[2]) W roku 1889 był naczelnym dowódzcą okręgu kijowskiego.

znośnym. Swobodne chwile spędzałem zwykle na spacerach w okolicach, lub na pisaniu dziennika podróży, który przeznaczałem dla mojej drogiej matki.

Tak przybyliśmy do Sokółek, miasteczka grodzieńskiej gubernji, gdzie przyszła wiadomość że Węgrzy się poddali, a Paszkiewicz doniósł carowi: „Węgrzy u stóp Waszej Cesarskiej Mości". Kazano nam się zatrzymać do nowego rozkazu na tych miejscach gdzie byliśmy. Zasmuciło to nas bardzo, bo każdy chciał wojny, chciał odznaczyć się i powąchać prochu, którego gwardje nie wąchały od r. 1831. Staliśmy na miejscu sześć tygodni; w sierpniu przyszedł rozkaz powrotu do Petersburga.

Marsz ten stumilowy był bardzo uciążliwy, bo przyszedł w dżdżystą jesień. Często cały dzień szliśmy w błocie, a wieczorem przyszedłszy do nędznej izby nie mogliśmy znaleść suchego miejsca, żeby się położyć i ogrzać nieco. Szczęściem, że do mej roty przysłano dwóch młodych oficerów Półtorackich, dawnych kolegów z korpusu, nie byłem więc tak samotny jak poprzednio i czas schodził nieco przyjemniej. Czwartego listopada przybyliśmy do Petersburga, ostatnie dni kilkanaście brnąc w głębokim śniegu, który już spadł.

Dano mi pomieszkanie w koszarach z kolegą awansowanym ze mną w jednym roku, Dżungowskim. Ułożyliśmy, że kasa nasza będzie wspólną i że z niej będziemy pokrywać wszystkie potrzeby; nie znając jeszcze dobrze ceny pieniędzy, w pierwszych dwóch miesiącach wydaliśmy wszystko, co miało nam służyć na cztery. Bieda i niedostatek wkrótce zaglądnęły do naszej spółki; nie było co jeść, a na dobitek dobra komitywa z powodu wzajemnych wyrzutów została zerwana. Wiedząc, że nie przystoi wymagać pomocy od rodziny, której interesa jeszcze się nie poprawiły cierpiałem głód i, pozbawiony nieraz pierwszych potrzeb do życia. Trwało to całe pół roku. Chcąc poprawić położenie moje, jak tylko otrzymałem gażę, zacząłem grać w karty żeby wygrać, ale nie umiejąc gry dobrze przegrałem i to co miałem i to co mogłem dostać jeszcze w ciągu roku. Położenie moje było bardzo smutne. Mając zdolność do rysunku zacząłem malować i sprzedawać moje prace przez osobę trzecią, puściłem się na różne spekulacje, lekcje prywatne, ale potajemnie w cywilnem przebraniu, żeby nie dowiedział się który z kolegów o tem, bo gwardyjski oficer mógł mieć długi, ale zarabiać pracą na życie byłoby hańbą dla niego. Życie podobne wkrótce mi omierzło, a widząc, że nie prędko może się ono poprawić, zacząłem szukać środka

wyjścia z tego położenia; środkiem tym było wstąpienie do Wojennej Akademji generalnego sztabu, która dawała ogromne przywileje tym co je ukończyli celująco.

W 1850 roku zdałem wstępny egzamin, który był powtórzeniem tego, co tu nazywają maturą i zasiadłem do pracy. Na dwa lata pożegnałem się ze wszystkiemi rozrywkami, do których dusza młodzieńcza rwie się z taką nieprzepartą siłą. Uczyłem się dnie i noce bez wytchnienia, bez odpoczynku i dopiąłem swego: w końcu drugiego roku, zdawszy egzamin jednym z pierwszych, otrzymałem dwie rangi, jedną po drugiej z nagrodą. Mając lat 20 byłem już sztabs-kapitanem i wstąpiłem do gwardyjskiego jeneralnego sztabu, w którym było tylko 19 oficerów — elita całej armji. Mianowano mnie starszym adjutantem sztabu Główno-dowodzącego, którym był wówczas następca tronu Aleksander; takich adjutantów było trzech: Zotów (późniejszy dowódca korpusu). Herszelman (zmarły) i ja. Płaca moja była dostateczną do przyzwoitego utrzymania, mundur miałem prześliczny, ładne pomieszkanie skarbowe, nic mi nie brakowało do szczęścia, bo miałem szacunek, poważanie i świetną karjerę przed sobą. Wtedy to po raz pierwszy doznałem — uczucia miłości.

Boże, cóż to za piękne uczucie, gdy po raz pierwszy zrodzi się w człowieku! Jaką dziwną nieporównaną rozkoszą przejmuje cały organizm; jak zmienia człowieka robiąc go dobrym i zacnym, zdolnym do wszystkiego, co jest pięknem i do wszelkich poświęceń. Potem miłość może się powtórzyć, lecz już nigdy nie wrócą dni pierwsze; druga miłość nie jest już tak niewinną, tak dziecinną jak pierwsza, nie jest tak ufnie i nierozumnie a rozkosznie patrząca w przyszłość. Druga rozumie jutro, pamięta wczoraj, przeczuwa, porównywa, pierwsza nie pojmuje początku, a w koniec nie wierzy, żyjąc sama sobą cała. Pierwszą miłość spija człowiek w początku życia szybko i niepowrotnie, a szczęśliwy komu była ostatnią, bo następna nie nasyci go taką rozkoszą jak pierwsza, a zatrze pierwszej wspomnienia. Gdy dziś jeszcze, osypany szronem zimowym, spojrzę na miłość dwóch młodych niewinnych istot, czuję cześć dla nich i szacunek, bo tylko poczciwi kochają rzeczywiście, podły poczyna od rozpusty i na niej kończy. Niestety, miłość moja nie mogła mieć przyszłości: walczyłem z nią długo, wiele ran zniosłem, wyrwałem ją z serca, a jednak ciężka po niej pozostała blizna, bolesna przy każdem moralnem dotknięciu.

Nowe me stanowisko wprowadziło mnie w nowe koło znajomości. Mając często styczność z dworem i ludźmi doń należą-

cymi, zbliżywszy się do płci pięknej, uczęszczającej do Zimowego Pałacu, przedewszystkiem przez nią wiedziałem wszystko co się w nim dzieje, widziałem ludzi nie odzianych w stroje dekoracyjne, ale takich jakimi byli rzeczywiście, przypatrywałem się z bliska panom ziemi i arystokracji moskiewskiej.

Dziś już wyższość umysłu i siła ducha nie jest znamieniem tej ostatniej, pozostało tylko nadużycie i przesąd, rozwiązłość, płochość i duma. Arystokrata moskiewski jest arystokratą tylko tyle, ile car nań patrzy i póty, dopóki patrzy. Karty, rozpusta, szyderstwo, intrygi dla osiągnięcia pieniędzy lub wyższego miejsca — oto jej zajęcia, oto cel jej życia, a zarozumiałość jedynem prawem na to. Arystokrata moskiewski frymarczy wszystkiem byle osiągnąć bardzo poziome cele i bez zgryzoty sumienia sprzeda honor swój, swej żony i swoich dzieci. Żona pomocnika ministra sprawiedliwości jen Zamialina zamówiła solenne nabożeństwo dziękczynne w dzień, gdy jej córka stała się nałożnicą carską na kilka tygodni. Senator Sieniawin poświęcił córkę swą, znaną z piękności Wielkiemu księciu Mikołajowi, żeby otrzymać jakie dochodne miejsce, a zawiedziony w nadziei rzucił się z balkonu na bruk i rozbił sobie głowę. Księżna Trubecka upraszała o wysłanie męża w stepy orenburskie, żeby stać się kochanką carską na nocy kilka; księżna Dołgorukaja z największą dumą chwali się ze swej hańby, książę Worońcow żeni się z jedną nałożnicą carską, Albediński z drugą.

Obok tej klasy zepsutej, mającej przywilej na rozpustę, bo okrytej promieniami łaski carskiej, poznałem się także z arystokracją nauki i dziennikarstwa rosyjskiego. Nie wiele też i ona warta. Siły charakteru i przekonań, szczerości i szlachetności, bezinteresowności i niezmienności tam nie znajdziecie. Słynny poeta Nekrasów był rozpustny i brudny w sprawach pieniężnych do najwyższego stopnia; Panajew był to łotrzyk najbezwstydniejszy; Katków — łajdak, zdolny do największej podłości: stawszy się kochankiem żony swego przyjaciela Cygarewa, gdy się z nim pokłócił, zapomocą anonimu zawiadomił go o zdradzie żony[1]). Pro-

---

[1]) Wymienione tu osobistości to przedstawiciele najwyższych sfer kulturalnych owego czasu: Mikołaj Nekrasow, którego poezje liryczne należą do pereł literatury rosyjskiej, był również wybitnym publicystą, wraz z Panajewem założycielem (1847) najpoczytniejszego wówczas pisma „Sowriemiennik", Mikołaj Katków, profesor filozofii, redaktor miesięcznika „Russkij Archiw" najpierw wyznawca zasady autonomji narodów, należał później do najskraj-

fesor Kawelin, nauczyciel następcy tronu, gdy za swe liberalne pojęcia został usunięty od mentorstwa[1]) płakał jak dziecko wyrywając sobie włosy z głowy, z rozpaczy: „wypędzili, wypędzili jak lokaja, za to, żem chciał go nauczyć być człowiekiem!“ mówił szlochając do mnie, gdym mu przedstawiał, że ten fakt stawi go jeszcze wyżej w opinji porządnych ludzi.

Znałem i Czernyszewskiego, tego twórcę nihilizmu w Rosji, tego półboga młodzieży. Syn popa, wolny od wszelkich przesądów i tradycyj szukał w filozofji starożytnej i najnowszych czasów, zastosowanej do życia moskiewskiego społeczeństwa, rozwiązania zadań socjalnych, nad któremi od wieków ludzkość pracuje. Odwaga myśli i jasność słowa, cynizm w stosunkach rodzinnych i towarzyskich cechowały tego człowieka. Razu jednego przyszedł do towarzystwa, w którem znajdowało się wielu wielbicieli jego pisarskiego talentu. — „A wiecie co panowie“, rzekł, idąc od Wałujewa, ministra spraw wewnętrznych, „on mi proponował ni mniej i nie więcej abym mu sprzedał pióro moje i pismo „Sowremiennik“, redagował według myśli rządu. — Ma się rozumieć, odmówiłeś mu Pan, zauważyłem. — Odmówiłem... Wyobraź Pan sobie on mi proponował 15 tysięcy rubli srebrem, wtedy gdy redakcja mi przynosi 6—7 tys. rubli rocznie. Gdyby przynajmniej zaproponował 50 tysięcy to możnaby pomyśleć... Pan chyba żartuje rzekłem zdumiony. — Ach Iwanie Teodorowiczu, pan jesteś człowiekiem rozsądnym i rozumiesz, że muru głową nie przebijesz; nie mnie to innego kupią, który im te same usługi odda; na cóż więc tracić możliwe korzyści. Paskudzić się jednak dla głupstwa nie warto“. I rzeczywiście kwestja zmiany przekonań w Moskwie jest kwestją zależną jedynie od wysokości materjalnych zysków. W miesiąc po tej rozmowie Czernyszowski został aresztowany i rzucony do kazamatów petersburskiej cytadeli, a w rok potem wywieziony na Sybir. Człowiek ten stał się wielkim i świętym dla młodzieży dlatego tylko, że za mało mu zaofiarowano za zdradę przekonań, wygłaszanych publicznie!... Jakie ten człowiek miał pojęcia o stosunkach rodzinnych, można sądzić z tego, że młodej żonie swojej, odwiedzającej go w cytadeli, radził wziąć na ten

---

niejszych rusyfikatorów i naszych wrogów. Charakterystyki Sawickiego są dziwnie trafne.

[1]) Konstanty Kawelin, psycholog, odgrywał wybitną rolę w usiłowaniach przeprowadzenia reform szkolnictwa rosyjskiego i propagował gorąco zasadę usamowolnienia włościan.

czas kochanka, żeby jej nie było zbyt nudno, kładąc ten jeden warunek, żeby wybrała człowieka zdrowego, któryby jej nie naraził na jaką chorobę. A jednak muszę wyznać szczerze i sumiennie, że ten człowiek ze wszystkich pisarzy moskiewskich, których znałem, a znałem ich niemal wszystkich, był jeszcze najczystszy, najuczciwszy i najsympatyczniejszy. Innych można było kupić za kilka rubli danych na rozpustę, lub za kieliszek wódki.

W tem towarzystwie, w tem gronie ludzi światłych, oczytanych, ambitnych i liberalnych, żyłem całe pięć lat i muszę wyznać że bardzo mu wiele obowiązany jestem, bo w nim się rozwinąłem, w nim poczułem godność swoją i wartość, gdyż uczucia te były długo zupełnie uciśnione przez dyscyplinę wojskową. Towarzystwa, do których uczęszczałem prawie wyłącznie składały się z następujących osób: Goradkowych, Daniłowicza, Łatajewa, Samojłowicza, Kawelina, Szymkiewicza, Oziembłowskiego, Czernyszewskiego, Niekrasowa, Panajewa, Pisarewskiego, Polińskiego, Wiedeńskiego, Erenberga, Pypina i t. d. Byli to profesorowie, oficerowie jeneralnego sztabu, lekarze, inżynierowie, dziennikarze i t. d. z żonami.

Polskiego towarzystwa w Petersburgu prawie nie znałem i nie szukałem go, bo mi się bardzo nie podobało. Ludzie do niego należący, po największej części urzędnicy lub karjerowicze, pracą lub przebiegłością robili fortunę. W kółku ich było mi zimno i nudno, a nastroju walenrodowskiego znieść nie mogłem, bo całe życie miałem wstręt do udawanych uczuć i oszukaństwa.

Zajęcia moje sztabowe obejmowały przedewszystkiem służbę wojskową: oddano mi także sprawy osobiste oficerów gwardyjskiego jeneralnego sztabu i zawiadywanie bibljoteką. Z tych więc względów stanowisko moje było bardzo ważne i wzbudzało nie mało zazdrości w kolegach.

Mając obowiązek bywać na wszystkich rewjach, paradach, manewrach i ceremonjach, układając ich programy, redagując opisy jak się odbywały, widziałem wiele ciekawych rzeczy, których inni widzieć nie mogli, bo mogłem zaglądnąć za wszystkie kulisy. Opiszę niektóre z nich.



Sawicki jako pułkownik sztabu rosyjskiego.

ŚMIERĆ I POGRZEB CARA MIKOŁAJA

Mikołaj był dzieckiem jeszcze, gdy uduszono obłąkanego ojca jego Pawła. Matka Mikołaja próżna i głupia Niemka, zajmowała się tylko etykietą i urządzaniem feren dla wyborowego bydła. Synek jej więc wychował się w koszarach i kordegardach. Nie było człowieka, któryby się zajął tem dzieckiem i nie pozwolił sercu jego zaczerstwieć w dusznej atmosferze stajen i maneżów. Mikołaj wstąpił na tron nie znając ludzi i nie rozumiejąc czasu swego. Na progu spotkała go rewolucja, którą pojął jako naruszenie karności i sam wpisał własnoręcznie do listy swej służbowej: „Znajdowałem się przy obronie Zimowego Pałacu 14 grudnia 1825 r.“.

Człowiek ten przyniósł ze sobą odrazę do nauk, pogardę wojskowego do cywilnego, nienawiść do śmiałej odpowiedzi, szaloną miłość władzy, namiętną chęć upokarzania wszystkiego, równania spłaszczania i wszystko to bez żadnego celu, bez myśli, a nawet oryginalności. Za jego panowania w Moskwie wszystko co oficjalnie uznawano za człowieka było na służbie, było urzędnikiem cywilnym i wojskowym. Na lud zaś patrzano jak na małoletniego i w samej rzeczy lud ten nie różnił się od mieszkańców Chiwy, od Kirgizów i Karakałpaków.

Trzydzieści lat w swych ogromnych botfortach, z ołowianemi kulami zamiast oczu, chodził Mikołaj jak okropny szyldwach, strasząc wszystkich, dusząc wszystko i ciągle oglądając się, czy nie wychyli się jaka głowa ponad ogólny poziom, żeby ją pochylić ku ziemi. Ani jeden zdolny człowiek, ani jeden wyższy umysł nie błysnął za jego długiego panowania, Mikołaj rządził carstwem przez adjutantów i ordynansów swoich: kradzież, przekupstwo i grabieże stały się systemem. Kiedy jenerała Wroczenkę powołał na

ministra finansów, nowy minister przyszedł do niego i na klęczkach go prosił o cofnięcie nominacji, przedstawiając, że nic a nic się nie zna finansach, że nigdy się nie zajmował polityczną ekonomją, że lęka się ogromnej odpowiedzialności, nie posiadając żadnych kwalifikacyj do nowego obowiązku. — „To są wszystko błahe rzeczy, odrzekł Mikołaj. Nato są instrukcje, formy i tabele, potrzeba tylko być akuratnym, wszystko zapisywać i będzie dobrze, popatrz na mnie, wszak rządzić państwem nie łatwiej, aniżeli jednem ministerstwem, a daję sobie radę".

Takie były pojęcia jego o rządzeniu. Zimną, ciężką ręką swą wstrzymywał rwące się naprzód życie młode, tamował ruch wszelki, a sam się ocknął i przetarł oczy wtedy dopiero, gdy go obudziły strzały armatnie Sebastopola i Eupatorji. Wokoło wszystko milczało... Złodziejstwo pod bokiem, nadużycia wszędzie, brak prawdziwego przywiązania w otoczeniu wszędzie tylko zapięte kołnierze i guziki, a tam na południu armje giną, okręty toną, armaty huczą, krew się leje. Mikołaj po raz pierwszy przekonał się, że zbłądził.

Niezmierna duma nie pozwała mu przejść na inną drogę; postanowił więc umrzeć! Niemiec Mandt, ulubiony nadworny lekarz homeopata, którego lud posądzał o otrucie cara, zmuszony ucieczką ratować się za granicę, tak mi opowiadał o ostatnich chwilach wielkiego mocarza:

„Po otrzymaniu wieści o przegranej pod Eupatorją [1]) wezwał mnie Mikołaj do siebie i powiedział: byłeś mi zawsze oddanym, chcę więc pomówić z tobą poufnie. Wojna, która się toczy, wykazała mylność mojej polityki na zewnątrz; nie jestem wstanie zmienić się i pójść po innej drodze, bo to nie odpowiada ani mojej godności ani przekonaniom. Niech syn mój poprawi to co się stało po śmierci mojej. Jemu to łatwiej będzie, bo wrogowie nasi nie będą z nim wymagający. — Najjaśniejszy Panie, odpowiedziałem, Bóg ci dał silne zdrowie, a w ciągu życia, które jest przed Tobą, można jeszcze naprawić wszystko.

— Nie, naprawić tego nie jestem wstanie i dlatego powinienem umrzeć. Wezwałem cię, abyś mi dał trucizny, któraby dzia-

---

[1]) Wojna krymska była walką o hegomonję w Europie. Czuł Mikołaj, że niepowodzenia gen. Chrulewa pod Eupatorją są zapowiedzią klęski. W rzeczywistości pokój paryski zawarty 30 marca 1856 położył koniec przodownictwu Rosji, a dokonał wybicia się na pierwszy plan Francji.

łała pewnie, ale niezbyt gwałtownie i nie narażała na bardzo wielkie boleści.

— Najjaśniejszy Panie, tego zrobić nie mogę, bo mi obowiązek i sumienie nie pozwalają.

— Jeżeli tego nie zrobisz, to znasz mnie, ja wypełnię wolę moją, lecz będę ciężko cierpiał. Przeto proszę cię i rozkazuję w imię przywiązania, które masz dla mnie, abyś spełnił żądanie moje.

— Jeżeli wola Twoja jest niezmienna, Najjaśniejszy Panie, spełnię ją, lecz pozwól uprzedzić o tem następcę tronu, bo mnie jako zaufanego lekarza Twojego obwinią za otrucie.

— Zgadzam się, ale wtedy, gdy mi już dasz truciznę.

Było to trzeciego marca 1855 r. Doręczywszy Cesarzowi buteleczkę z trucizną, poszedłem do Następcy Tronu oznajmić mu o tem. Aleksander pobiegł do Ojca i wszedłszy do gabinetu rzucił mu się do nóg, oblewając je łzami. Wtedy wyszedłem. Co mówił z synem, jakie były jego zlecenia, rady i życzenia — nie wiem. Aleksander w godzinę potem wyszedł z gabinetu ojca smutny i zapłakany. Mikołaj zaś zaraz położył się do łóżka. Tegoż wieczora w pałacu dowiedziano się, że Car mocno zachorował. Wezwano nadwornych lekarzy: Karrela, Raucha i Markusa na naradę lekarską; znaki otrucia były tak widoczne, że lekarze odmówili podpisania biuletynu, który przygotowałem. Natychmiast udałem się do Następcy Tronu i od niego przyniosłem im rozkaz, żeby natychmiast przyszli do niego. W pięć minut później biuletyny podpisane przez nadwornych lekarzy zostały wysłane do Ministerstwa wojny i o 11 godzinie w nocy ważniejsze osoby w Petersburgu dowiedziały się, że ten co wydawał się być nieśmiertelnym, jedną nogą był już w grobie.

O całym tym wypadku i o rozmowie przedśmiertnej z Carem Mandt napisał broszurę i wydał ją w Dreźnie, ale rząd moskiewski dowiedziawszy się o tem, zagroził mu odebraniem dość znacznej emerytury jaką pobierał, jeżeli nakładu całego nie zniszczy. Mandt spełnił życzenie rządu moskiewskiego, lecz obawiając się, aby nie posądzono go o trucicielstwo, opowiadał o wypadku przed osobami, których to interesowało, ze wszystkiemi najdrobniejszemi szczegółami.

Na drugi dzień, to jest 4 marca, wstawszy bardzo rano, udałem się do biura mego, w którem pracowałem. O tak wczesnej porze w biurze zwykle nikogo nie było, nawet prostych pisarzy. Mając do przejrzenia i poprawienia wczorajszą robotę, spie-

szyłem aby ją ukończyć. Jakież było zdziwienie moje, gdy przez zaledwie przymknięte drzwi dostrzegłem przełożonego mego jenerał-kwatermistrza Wuicza, który chodził wielkiemi krokami po pokoju, ocierając oczy swoje chustką i rwąc na sobie włosy. Wszedłem do pokoju; jakby mnie nie widząc Wuicz wpadł w jeszcze większy smutek, zakrył twarz i łkając powtarzał: — Biedna Rosjo co się z tobą stanie! — Cóż się stało? zapytałem go ze źdźiwieniem. — Czy pan nie wiesz, że car umiera w tej chwili, że nie ma już żadnego ratunku. Biedna Rosjo, co z tobą będzie, jaka straszna przyszłość twoja! Potem wziąwszy mnie za rękę zawołał: „Panie, widziałeś mój smutek, łzy i boleść, których nie byłem wstanie stłumić w sobie; nie mów Pan o tem nikomu!"

Zrozumiałem czego chciał i dlaczego przybiegł do biura tak wcześnie wylewać łzy rozpaczy przy drzwiach otwartych... Spełniłem jego prośbę i... nikomu nic o tem nie wspomniałem. Nie wszyscy jednak tak, jak ja byli dyskretni. Jenerał Iwan Suchozanek, który stracił łaskę Mikołaja za to, że za oszustwo w grze został wypędzony z Anglii i jako oszust opisany w dziennikach angielskich, odegrawszy zupełnie podobną komedję wrócił do łaski nowego Cara; ale o tem po tem.

Ucieszony niezmiernie odebraną nowiną, pobiegłem do kolegi mego kapitana Obruszewa (dziś jenerał-kwatermistrza armji), który mieszkał tak jak ja w sztabie, żeby mu ją zakomunikować. Znalazłem go jeszcze śpiącego. — Mikołaju Mikołajewiczu! zawołałem budząc go, car umarł. Obruszew otworzył oczy i ze strachem popatrzał na mnie, sądząc, że może zwarjowałem, potem siadł na łóżku, zamrużył, potem otworzył oczy i zapytał mnie: czy mu się przyśniło, czy odemnie słyszał nowinę, że car umarł? — Ale napewno daję ci słowo, że ciało jego w tej chwili już gnić zaczyna.

— Uch! jaka góra zwaliła się z piersi! Pierwszy raz tak lekko oddycham. Pozwól Cię ucałować za tak miłą nowinę. Ej! Wasilij, Wasilij, przynieś butelkę szampana, musimy wypić za zdrowie śmierci! W kilka minut później głośny wystrzał z butelki, poświadczył o wielkim smutku drugiego poddanego cara Mikołaja.

Nowina tak niespodziewana, lotem błyskawicy obleciała miasto. Wróciwszy do domu natychmiast posłałem służącego, żeby kupił krepy, nie mówiąc nikomu o śmierci cara, aby kupcy dowiedziawszy się o tem nie żądali za nią cen wygórowanych. Ale już stolica wiedziała co zaszło w pałacu. W magazynach za łokieć krepy żądano po 2 i 3 ruble. Służący mój człowiek oszczędny, zaczął targować się, starając się wpłynąć wymową na zniżenie ceny.

— Płaczecie, a zdzieracie ludzi, którzy muszą włożyć żałobę, do czegoż to podobne.

— Co robić! batiuszka — odpowiedział kupiec spłakany — trzydzieści lat czekaliśmy na tę okazję.

Na kilka godzin przed śmiercią Mikołaja, żona mu przypomniała, że potrzeba się wyspowiadać i przyjąć święte sakramenta. Mikołaj dotknął ręką twarzy swojej i odrzekł: nie mogę, bo jakże przystąpię do komunii nie ogolony i nie włożywszy munduru! Charakterystyczna ta odpowiedź dobrze maluje zmarłego despotę, on sądził, że i wobec Boga mundur potrzebny.

Zaledwie car ducha wyzionął, posłano rozkaz do wszystkich urzędów, aby tam odebrano przysięgę nowemu carowi od wszystkich urzędników, a o godzinie 11, wszystkim oficerom kazano się zebrać w Pałacu zimowym dla przedstawienia się Aleksandrowi. Pośpiech ten zdziwił mocno wszystkich, przebijała się w nim bowiem obawa i niepewność nowego cara. Tymczasem zadowolenie, nieukrywana nadzieja lepszych czasów malowała się na wszystkich twarzach. Byli tacy co się żegnali, dziękując Bogu za wybawienie od Mikołaja, tej ciemnej katarakty ludzkości. Oczekiwano pojawienia się nowego władcy i nastrajano twarze do smutku, jak wymagała chwila obecna. Pułkownik Krenke, Niemiec inżynier sztabu, który się odznaczał potem dzikiem barbarzyństwem w Kijowie w czasie ostatniego powstania polskiego, częstował wszystkich tabaką, dodając, że to łzy wyciska i daje wyraz rozczulenia.

Wszedł nareszcie Aleksander II. „Jestem głęboko przekonany, że podzielacie smutek mój nad stratą wspólnego ojca i dobroczyńcy i spodziewam się, że będziecie mi służyć tak dobrze jak ojcu, dopomagając zwalczyć wroga, który zagroził ojczyźnie naszej we własnych jej granicach“. Zakołysały się kaszkiety i pióra w powietrzu, krzyknęliśmy „hurra!“ i coś podobnego do „moriemur pro imperatore nostro!“ Car rozczulony tą pierwszą manifestacją rozpłakał się i poszedł pocieszać matkę swoją.

W tej chwili w innej sali pałacu hetmański kozacki pułk przedstawiał się nowemu Następcy Tronu, synowi Aleksandra, który przed chwilą został mianowany hetmanem kozackim. Dziesięcioletni malec wyszedł przed pułk w ubiorze kozackim, otoczony braćmi i nauczony przez guwernera odezwał się: „Jestem szczęśliwy, żem dostąpił zaszczytu, zostać waszym hetmanem, mam nadzieję, że będziecie służyć tak jak służyliście przy ojcu moim. Jam młody, ale, ale...“ i zaciął się, zapomniawszy lekcji. Stojący

za nim brat młodszy Aleksy, wielki swawolnik, głośno mu podpowiedział: „ale głupi“. Usłyszawszy te słowa młody hetman odwrócił się cały zapłoniony i uderzył w twarz brata. Tak się skończyła pierwsza recepcja nowego hetmana kozackiego.

Dnia następnego utworzono przy dworze komisję, mającą zająć się ceremonją pogrzebu zmarłego cara, pod przewodnictwem hr. Gurjewa. Komisja ta przybrała nazwę „smutnej komisji“ (pieczalnaja).

Z rana gdy Mikołaj leżał jeszcze w gabinecie swoim, poszedłem zobaczyć go. Straszydło to ludów całej Europy spoczywało na żelaznem łóżku, pokryte kołdrą i starym płaszczem wojskowym, który nieboszczykowi służył za szlafrok. Nad łóżkiem wisiał portret zmarłej córki jego Aleksandry, którą bardzo kochał, w huzarskim mundurze, Mikołaj bowiem, nawet kobiecej piękności nie pojmował bez munduru. W głębi pokoju pod oknem stało biurko zawalone papierami, raportami, rysunkami. W kącie stało kilka karabinów, któremi w wolnych chwilach car musztrował codziennie. Na stołach, etażerkach i konsolach stały statuetki zrobione z papier-machè, żołnierze z różnych pułków armji; na ścianach wisiały rysunki uniformów wprowadzonych w wojsku przez cara, Przy łóżku siedział jenerał Szuchozamt i ciągle wycierał swe suche oczy chustką, Opowiadano mi, że już 36 godzin siedzi nad trupem człowieka, którego szczerze nienawidził, nic nie jedząc, nic nie pijąc, a ciągle płacząc. Na surowej twarzy zmarłego wystąpiły żółte, sine, fioletowe plamy; usta były otwarte a w nich rzadkie jego zęby. Wyraz twarzy świadczył, że umarł w wielkich boleściach.

Gdy Aleksander obaczył ojca w takim stanie, zląkł się i wezwawszy doktorów Zdekanera i Mianowskiego, profesorów medycznej akademji polecił im zrobić co bądź, aby rozkład ciała nie następował tak rychło, a szczególnie, żeby się nie psuły rysy twarzy, bo według ceremonjału car miał być przez cztery dni wystawiony na katafalku. Fatalne te znaki mogły potwierdzić pogłoski, kursujące po mieście o otruciu cara. Ostatnią wolą Mikołaja było aby go nie balsamowano, bo zdaje się obawiał się odkrycia tajemnicy, którą sądził, że uniesie do grobu. Dwaj wezwani uczeni, dla powstrzymania rozkładu ciała wstrzyknęli eter do tętnic, podmalowali twarz i podreperowawszy cokolwiek nieboszczyka, złożyli go do trumny, Nowy ten sposób balsamowania snać nie był dobrze wypróbowany, bo rozkład ciała stał się tak gwałtowny, że musiano obłożyć zmarłego pachnącemi ziołami, tak cuchnął okropnie.

Z Pałacu po dwudniowej tam wystawie, z ogromną pompą przewieziono nieboszczyka do Petropawłowskiej cerkwi w cytadeli, gdzie spoczywają groby carów. Wojska były rozstawione szpalerem od Zimowego Pałacu aż do cerkwi. Urządzeniem ceremonjału pogrzebu zajmował się sztab wojskowy gwardji, wyż wspomniana „smętna komisja“. Mając potrzebę porozumienia się z jednym z członków komisji i doszedłszy do drzwi zatrzymałem się, aby ułożyć twarz stosownie do miejsca, do którego wstępywałem. Gdym miał wziąć za klamkę, drzwi się otworzyły, wysunęła się ręka z butelką i usłyszałem głos: „Ej, jeszcze butelkę szampana“! Nie bardzo mnie zbudowała ta wesołość „smętnych“, tem więcej, że byli to ludzie, którzy wszystko byli obowiązani carskiej łasce, a nie własnym zdolnościom i zasłudze.

W dzień przeniesienia zwłok zmarłego do cytadeli, na czele orszaku szedł dwór cały, za nim starzy jenerałowie z asystentami, niosąc różne korony i ordery zebrane po całej Europie; następnie prawdziwa armja popów, wóz z trumną, za którym szli car i bracia jego, heroldy, żołnierze ubrani w dawne rycerskie zbroje i t. d. W czasie drogi stary jenerał Szachowskoj, niosąc koronę kazańską, zadrzemał; asystent jego, jakiś szambelan, widząc, że staruszek idzie bardzo niepewnym krokiem i co chwilę może opuścić koronę na ziemię, rzucił się ku niemu, aby podtrzymać poduszkę. Grenadjer roty pałacowej idący z boku, nie znając asystenta sądził, że to złodziej jakiś i ciągle miał go na oku. W chwili gdy asystent chwycił poduszkę na ręce, grenadjer porwał go za kołnierz i zatrząsł nim silnie: „dawno ja tu ciebie śledzę, wrzasnął, ale mi nie ujdziesz teraz, rzezimieszku!“ Obudził się Szachowskoj i ledwo zdołał oswobodzić przestraszonego asystenta swego z rąk żołnierza.

Idąca na czele procesji złocona hołota zachowywała się niezmiernie nieprzyzwoicie. Nie dość, że drogę całą śmiała się i chichotała, ale nie mogąc obejść się tych parę godzin bez jadła i napoju, wyjmowała różne zakąski z kieszeni i wino, jadła, piła, paliła cygara i papierosy, postępując tak, że zgorszony lud prosty stojący po stronach ulic, kędy przechodziła procesja, zaczął głośno sarkać i wołać na nich, dopóki nie rzucili cygar i cygaret.

Po zniesieniu trumny do cerkwi petersburskiej cytadeli, ciało zmarłego władcy postawiono na wysokim katafalku. Korony, berło i złote jabłko złożono u nóg jego, a potem zaczęło się nabożeństwo. Nowy car stanął około trumny i płakał. Za przykładem cara, ciż sami co przed chwilą zachowywali się na ulicach tak nieprzy-

zwoicie, ich żony i córki aspirujące do godności dam dworu i frejlin, zaczęły także szlochać głośno. Po skończeniu żałobnego nabożeństwa gruby djakon zaśpiewał „So światymi upokoj" takim strasznym basem, że cały gmach się zatrząsł. Car nachylił się nad ciałem ojca, długo patrzył w rysy jego, które się zmieniły tak okropnie, potem pocałował go w czoło i odszedł na stronę. Carowa, żona Mikołaja, trzęsąca się nerwowo od dnia rewolucji 1825 roku, podtrzymywana przez dwóch młodszych synów, ledwo się wlokąc, jak na wdowę przypadało, zbliżyła się do trumny i pocałowała także męża w czoło, lecz mając wielki wstręt do trupów i odurzona okropną atmosferą, otaczającą gnijące ciało zmarłego, zapomniała o słabości nóg i jak ośmnastoletnia zbiegła prędko ze stopni katafalka przez nikogo nie podtrzymywana. Za nią zbliżył się w. ks. Konstanty, przeżegnał się, szybko się nachylił dla pocałowania ojca, odstąpił krok wstecz i włożywszy monokl, a przymrużywszy drugie oko, zaczął się przypatrywać się pięknym frejlinom, które jedna po drugiej podchodziły całować zmarłego, a potem oddawały ukłon nowemu władcy. Po skończeniu tej ceremonji car poszedł ku drzwiom nie skłoniwszy się nikomu, nawet niezmiernie szanowanemu w Rosji staremu jenerałowi Jermołowowi, który z Moskwy przybył na pogrzeb jego ojca. Ale za to zatrzymał się około drzwi i serdecznie uścisnął rękę jakiegoś jegomościa ubranego w czarny frak i na którego twarzy było narysowane wyraźnie pochodzenie Judy.

— Kto to taki, kto? zaczęto pytać naokoło: komu to car podał rękę? — To bankier Stiglitz, żyd, a car potrzebuje na wojnę pieniędzy, odrzekł jakiś jenerał.

Po wyjściu cara z cerkwi scena się zmieniła. Panny i panie dworu zostały otoczone oficerami gwardji, zaczęły się śmiechy, żarty, głośna rozmowa, uskarżania się na nudy, które oczekują wszystkich z powodu dworskiej żałoby.

Mais, mademoiselle, cette robe noire vous va a merveille. Vous êtes comme un ange... i nachyliwszy się dodał ciszej... déchu. Z uśmiechem na ustach pogroziła różowym paluszkiem i odrzekła: Vous êtes toujours mèchant, colonel! Quand vous venez nous voir? — Demain, demain, mademoiselle, je serais a vos pieds. — Avant hier, powiada inna do oberpolicmajstra Petersburga, quand nikt nie wiedział o maladie du Czar, maman á reveė, że jakiś czarny ptak podobny do orła dwugłowego przyleciał do niej: il avait l'air très triste, łzy mu ciekły z oczu et il à dit à maman qù'un grand malheur grozi à la Russe, po-

tem odleciał. Maman en se reveillant kazała zawołać un orfeuvre i zamówiła u niego kolczyki dla mnie z brylantowemi łezkami, tout à fait pareilles, jakie ciekły z oczu orła. N'est ce pas que c'est une idée excellente. C'est un souvenir po naszym wielkim carze! Czy słyszałeś, mówił jakiś oficer do hr. Guriewa, mistrza ceremonji, że car dowiedziawszy się o głębokim smutku Wańki (Jaśka) Szuchozameta, mianował go swoim jenerał-adjutantem, a brata jego wojennym ministrem. „Chitrij pios“ wiedział jak trafić do serca cara, a wszak on tak nienawidził zmarłego, że pienił się w złości, gdy mu o nim wspominano.

Nasłuchawszy się tych rozmów, zbliżyłem się do trumny Mikołaja, żeby pod pretekstem ucałowania go w czoło, przypatrzyć się wszystkim zrabowanym koronom i spojrzeć raz jeszcze na twarz tego człowieka, przed którym tak niedawno drżała cała Europa. Od gwałtownego gnicia twarz jego tak się zmieniła okropnie, że strasznie było patrzeć na nią. Żołte i fioletowe plamy, które widziałem na drugi dzień po śmierci, zmieniły się na bronzowe i czarne. Dla pokrycia tego zasłoniono twarz gęstym, zielonym woalem. Przypatrując się z bliska, zapomniałem o ostrożności, którą dotychczas zachowywałem i odetchnąłem nad trumną. Zabójcza atmosfera otaczająca nieboszczyka z taką siłą uderzyła w mój zmysł powonienia, żem odskoczył z przerażeniem. Ośm dni woń ta okropna prześladowała mnie ciągle, tak, że jeść prawie nie mogłem.

Po odjeździe cara z cerkwi zaczęła się scena, jaką można widzieć w przedsionku teatru. Karety zajeżdżały pod drzwi cerkwi, a lokaje wchodząc do środka na całe gardło wołali: Kareta kniagini Koczubiej gotowa, kareta jenerała Bezobrazowa gotowa! i t. d. po uściskach i pożegnaniach cerkiew zaczęła się wypróżniać i zostało w niej tylko śmierdzące ciało niedawnego mocarza, otoczone takim przepychem, jaki przedstawić sobie może najbujniejsza wyobraźnia i kilku grenadjerów pałacowych, pilnujących aby kto przez zapomnienie nie zabrał ze sobą jakiego berła lub korony.

Cztery dni odbywały się żałobne nabożeństwa rano i wieczorem, cztery dni powtarzały się wyżej opisane sceny: piątego trumnę zamknięto i ze śpiewem „Wiecznaja pamiat“ złożono ją obok trumien Piotra III. i Katarzyny II., tego wzoru czułych małżonków. Słyszałem potem, że jeden z dworzan słowem honoru zaręczał, że gdy złożono Mikołaja do grobu, cerkiew nachyliła się nieco na tę stronę.

Nowy car zaczął panowanie swoje od uwolnienia z fortecy przestępców politycznych, których ojciec zapakował do podwodnych kazamatów. Wtedy to po raz pierwszy po trzydziestu latach ujrzał ludzi nieszczęśliwy Bahimków, wrzucony do lochów 1825 r. Człowiek ten zapomniał mówić. Na małem podwórzu fortecy otoczonem ze wszech stron murami kiedyś więzień ten posadził był ziarnko jabłka, które znalazł w kieszeni kamizelki. Z ziarnka tego wyrosła jabłoń i zaczęła wydawać owoce. Bakunina jednak car nie uwolnił, lecz kazał z fortecy odesłać na Sybir, bo ojciec mu radził nie wypuszczać z rąk tego niebezpiecznego człowieka[1]). Po wypróżnieniu lochów ktoś przylepił kartkę na wrota cytadeli: „dom wolny od kwaterunku, gdyż sam gospodarz przyjechał na mieszkanie".

W trzy lata później zmarł jenerał Orłów, przyjaciel Mikołaja, szef żandarmów. Przed śmiercią dostał obłąkania: zdawało mu się ciągle, że nie jest jenerał-adjutantem, a tylko świnią. Kazał zrobić sobie koryto i jadł nie inaczej z niego, jak na czworaku, włożywszy poprzednio mundur i wszystkie moskiewskie i zagraniczne ordery, których miał bez liku. Tak umarł spólnik i wykonawca zbrodni Mikołaja. Na pogrzebie jeden z obecnych powiedział: Wiek żyj i wiek ucz się! Orłow przy końcu życia dowiedział się, że przez cały czas istnienia był niczem innem, jak tylko świnią.

---

[1]) Michał Bakunin, emigrant, był jednym z pierwszych i najwybitniejszych propagatorów panslawizmu na ziemiach słowiańskich w latach 1840—1846, później w roku 1848 brał żywy udział w ruchu rewolucyjnym w Czechach, i Saksonji. Aresztowany w Dreźnie, został wydany Austrji i tu więziony na Hradczynie i Ołomuńcu, w końcu zaś wydany Rosji. Tu spędził wiele lat w więzieniach, później odesłany na Syberję, ożenił się z Polką.

HEROD NOWOCZESNY

POMNIK CARA MIKOŁAJA

Zmęczony trzydniową pośpieszną podróżą w trzęsącym wózku pocztowym, zmoczony jesiennym deszczem i drżąc od przejmującego zimna zatrzymałem się na stacji pocztowej niedaleko Kazania. Przed domem w podwórzu wśród błota, na złożonych tam belkach i klocach drzewa siedziało kilkaset dzieci ubranych w niezgrabne płaszcze wojskowe. Trzęsąc się od zimna biedne dzieciaki gryzły czarne suchary, które im rozdano z worów leżących na kilku furmankach idących za konwojem. Były to żydzięta z Grodna i Mohilowa, od lat 8—11, których na rozkaz Mikołaja wyrwano z domów rodzinnych i pędzono do Permu, żeby ich tam wyćwiczyć na tak zwanych jungów marynarki moskiewkiej. Biedne dzieciaki! Chłopcy dziesięciu i jedenastu lat trzymali się jako — tako, ale ośmioletnie! nawet pędzel Michała Archanioła Buonarottiego nie byłby wstanie narysować całej okropności tego obrazu!... Chude, nędzne, przerażone i ogłupiałe dzieciaki, gryząc twarde suchary, błagające i oblane łzami, patrzyły na garnizonowych żołnierzy dodanych im za stróżów w drodze. Blade usta, sine pręgi pod oczyma, trupie niemal twarze, a u wielu dzwonienie zębami świadczyły o febrze, która ich pożerała. Poszturchiwane bezlitośnem żołdactwem, wystawione na wiatr północy, na deszcz ulewny, szły do grobu dzieci, nie widząc około siebie ani jednej litościwej twarzy, ani jednego uśmiechu, żadnej pomocy, żadnej pieszczoty...

Od prowadzącego konwój oficera, dowiedziałem się, że od Mohilowa z 600 dzieciaków zmarzło już 250, a czy doprowadzę do Permu przynajmniej 150, tego nie wiem, rzekł oficer, bo to mrze jak muchy.

— Może epidemja jaka? zapytałem oficera.

— Et, gdzie tam. Żydziska słabowite, mizerne, nie przywykłe jak my po dziesięć godzin dziennie mięszać błoto nogami i jeść tylko suchary — padają więc po drodze i umierają. Pomocy w drodze nie ma żadnej; co najwięcej położę na wózek z sucharami, ale to takie słabowite, że zaraz zaśnie; myślisz, że śpi, a to już ducha oddało. Zatrzymuję się wtedy, kopię rów przy drodze, zdejmuję płaszcz i bieliznę skarbową, a przeżegnawszy krzyżem prawosławnym, każę zasypać nagiego, niech sobie odpoczywa do dnia zmartwychwstania. Z początku bardzo mi było smutno patrzeć na ten drobiazg. Teraz już przywykłem, bo cóż ja winien, starsi kazali, więc oni odpowiedzą przed Bogiem na sądzie ostatecznym.

— Hej, krzyknął na oddział swój, który już stawili żołnierze do szeregu, szturchając grubjańsko, w drogę marsz!.,. I pociągnęli na północ ci nieszczęśliwi, znacząc trupami kierunek, w którym poszli...

Takie to straszne zbrodnie działy się prawie nieustannie w okropne panowanie Mikołaja.

„Russkaja Starina“, pismo wychodzące w Petersburgu w T. 10. r. 1883 na stronie 660 umieściło krótką notatkę pod tytułem: „Pogląd cara Mikołaja na karę śmierci w Rosji“. Notatka ta brzmi jak następuje: „1827 roku, w czasie wyjazdu hr. Woroncowa z Odessy noworosyjskiemi gubernjami zarządzał hr. Palen. W raporcie swoim do cara dnia 11 października 1827, hrabia donosząc o przejściu dwóch żydów przez Prut, dodał, że tylko kara śmierci w stanie powstrzymać przestępstwo przeciwko kwarantannie. Car Mikołaj na raporcie tym własną ręką napisał następującą rezolucję: „Winowajców przepędzić przez pałki przez tysiąc ludzi dwanaście razy. Chwała Bogu, kary śmierci u nas nie było i nie ja ją zaprowadzę“.

W 1857 roku brałem udział w założeniu kamienia węgielnego pod fundament na pomnik tego Heroda.

Na sinym moście, w najpiękniejszem miejscu północnej Palmiry ustawiono namiot, pod którym leżał kamień mający służyć za podstawę do pomnika. Na około namiotu stali chorążowie i ich asystenci ze wszystkiemi chorągwiami gwardji, w środku stanęli posłowie różnych dworów europejskich i jenerałowie. Czekano przebycia Aleksandra. Garbaty Czewkin minister dróg i komunikacji, chyląc się pod ciężarem, przyniósł wielką skrzynkę

z pieniądzmi różnego rodzuju, wybitemi za panowania Mikołaja, które według zwyczaju miano złożyć pod pomnikiem.

Po przybyciu cara natychmiast zaczęło się nabożeństwo, po którem Aleksander wziął ze skrzyni garstkę pieniędzy i rzucił do puszki, umyślnie do tego przygotowanej i wstawionej w zagłębieniu wyrytem na umieszczenie kamienia, za nim przystępowali posłowie i jenerałowie, każdy brał kilka sztuk pieniędzy ze skrzynki i wrzucał do puszki. Ceremonja ta ciągneła się jakie pół godziny. Nareszcie odstąpili wszyscy, robotnicy przecięli powróz, posunęli walec i ogromny głaz, ześlignąwszy się pokrył otwór i stanął na przeznaczonym miejscu. Petersburski metropolita umoczywszy kropidło w święconej wodzie, przy huku dział i hymnie śpiewaków przydwornych poświęcił miejsce przeznaczone na pomnik.

W tej solennej chwili jeden ze stojących w gronie generałów, wyjął chustkę z kieszeni, a z nią razem znajdujący się tam półimperjał, który z dźwiękiem padł na kamienną podłogę i potoczył się ku miejscu, gdzie kamień leżał, jakby wskazując skąd pochodził i dokąd należeć powinien. Nikt nie poszedł go podjąć. Car groźnie spojrzał na świtę, w której znajdował się występca, co kładąc pieniądz pod pomnik, nie zapomniał o sobie, ale świta była tak ścieśniona, iż nie widziano kto był winowajcą, każdy zadrżał z przestrachu żeby go nie posądzono. Po skończeniu ceremonji rozjechali się wszyscy, półimperjał nie znalazł właściciela i pozostał na ziemi dla robotników.

Na drugi dzień mówiono, że złodziejem którego katar zdradził tak okropnie, był późniejszy historyk naszego powstania, jenerał Racz.

Mnóstwo projektów tego pomnika przedłożono osobnej komisji, wyznaczonej do ich rozpatrzenia. Chciano z początku przedstawić zmarłego w rzymskim ubiorze, jak Piotra I. na placu przed Senatem, ale rzymski ubiór nie przypadał jakoś do wachmistrzowskiej twarzy Mikołaja; przyjęto więc projekt rzeźbiarza Pimenowa, wyobrażający cara na koniu w jeneralskim ubiorze i kasku. Na płaskorzeźbach otaczających pomnik z jednej strony przedstawiono Mikołaja w chwili, gdy krzyczy na lud „na kolana", na Siennym placu w czasie cholery; a z drugiej przedstawiono uśmierzenie węgierskiego powstania, na trzeciej budowę moskiewskiej żelaznej kolei, na czwartej allegoryczny rysunek mający wyobrażać mądrość, sprawiedliwość i zdaje się, czy tylko nie dobroć nieboszczyka.

Nadpis sprawił najwięcej kłopotu. Komisja otrzymała wiele projektów, ale nie przypadł do gustu nowego cara. W tem dnia jednego nadszedł do komisji list anonimowy, proponujący następny podpis pod pomnikiem: „Mikołajowi I. za 18 lutego (3 marca) wdzięczny lud moskiewski". Data ta była dniem śmierci Mikołaja. Szyderstwo skłoniło komisję do przedstawienia, żeby nie było żadnego napisu, na co się też Aleksander zgodził.

Gdy już pomnik stanął, lecz jeszcze ogrodzenia nie zrobiono, pewnego rana znaleziono na pomniku nadpis: „Napoleon powiedział: du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas (od wielkości do śmieszności jeden krok); zmierzyłem przestrzeń od pomnika Piotra Wielkiego do pomnika Mikołaja i znalazłem 1523 kroki. Napoleon widocznie się pomylił". Od tego dnia przy pomniku, we dnie i w nocy stoi żołnierz na warcie, broniąc pamięci zmarłego od sumiennego ocenienia czynów jego przez potomność.

Przedstawię jeszcze jeden fakt, którego byłem świadkiem, charakteryzujący doskonale postać Mikołaja. Przy wstąpieniu na tron Mikołaj mianował siebie szefem wszystkich tych pułków, których szefem był zmarły brat jego Aleksander I. Jak wiadomo w powstaniu, które wybuchło w 1825 roku w stolicy, wzięło udział kilka pułków gwardji, a najczynniej pułk grenadjerski, w którym służyłem. Mikołaj wysłał te pułki pod Warnę w czasie tureckiej wojny i kazał je postawić na najniebezpieczniejszem miejscu; prawie wszyscy żołnierze i oficerowie wyginęli, a w tym czasie gdym ja w nim służył, nie było ani jednego człowieka, któryby brał udział w dniu powstania. Lecz tego mało było Mikołajowi, bo nawet imię tych pułków stało mu się wstrętnem, car więc prześladował żołnierzy i oficerów na rewjach, manewrach i przeglądach, do tego stopnia, że nigdy nic nie pochwalił i nigdy się z nimi nie witał. Trwało to do 1844 kiedy syn jego został awansowany na szefa drugiej gwardyjskiej dywizji. W r. 1850 przypadał jubileusz szefostwa Mikołaja w moim pułku. Kazano wszystkim oficerom, którzy kiedykolwiek w nim służyli zebrać się w pałacu Zimowym. Car stanąwszy, rzekł: „panowie, poprzednicy wasi, dwadzieścia lat temu, mocno przeciwko mnie zgrzeszyli, ale od dzisiaj nie chcę więcej pamiętać o tych grzechach i przebaczam tem więcej, dodał, ogromną swą pięść do góry podnosząc, że pomiędzy wami niema ani jednego, któryby pamiętał te chwile". Za cóż więc on nam przebaczył?

KORONACJA CARA ALEKSANDRA II

W dzień koronacji prawie wszyscy mieszkańcy miasta Moskwy zbiegli się do Kremlu; tylko chorzy i kalecy pozostali w domu. W jednem tylko miejscu około mostu na rzece Moskwie, tuż w cerkwi „Mikoły na kurzych nóżkach“, widziałem dwóch Anglików, którzy naumyślnie przyjechali z Londynu na koronację i dla oryginalności w sam dzień uroczystości wziąwszy wędki, weszli do rzeki po kolana i zaczęli łowić ryby z obojętnością na wszystko, co ich otaczało i ze spokojem, którym się odznacza anglo-saska rasa. Gdy już wszyscy wracali z koronacji, Anglicy ci jeszcze stali nieruchomie na miejscach które zajęli, chcąc widocznie pokazać, że po to tylko przyjechali z tak daleka, żeby nie widzieć niczego.

Po ukoronowaniu się, Aleksander ubrany w purpurę, z berłem w jednej, a ze złotem jabłkiem w drugiej ręce, jak król dzwonkowy postępował wolnym krokiem pod baldachimem po wysokim pomoście, pokrytym czerwonym suknem. Lud stojący po obu stronach pomostu, klękał patrząc na niego i żegnał się jak przed Bogiem. Chęć obaczenia Cara nietylko w prostym ludzie, lecz i w klasach wykształceńszych była tak wielka, że dorosłe panny prosiły gwardyjskich żołnierzy, aby je podnosili do góry, żeby lepiej mogły widzieć. Jakie przytem odgrywały się sceny, można wyobrazić sobie.

Po koronacji zaczęły się uczty, bale widowiska i fajerwerki. W czasie opery na której car był przytomny, cała sala teatralna była przepełniona oficerami wyższych stopni, cudzoziemcami i różnemi znakomitościami. W parterze nie było ani jednego nieudekorowanego. W czasie jednego z antraktów zdarzył się zabawny wypadek. Sługa posła pruskiego hr. Münstera stanął z płaszczem pana swego w kotytarzu przed carską lożą. Obaczywszy to szef

policji kazał mu zejść na parter. — „Moje miejsce jest tam, gdzie się znajduje mój pan", odpowiedział lokaj.

Szef policji zaczął go grzecznie prosić i namówił go nareszcie do zejścia tam, gdzie stali inni lokaje. Lokaj Mornie'go, posła francuskiego zaczął drwić z niego, pytając czy go nie wyszturchał policjant moskiewski. Podburzony żartami Niemiec wziął płaszcz do rąk i znowu poszedł na górę, ale ober-policmajster zastąpił mu drogę. — Patrzcie, zawołał sługa Mornie'go, jak on go w pysk trzaśnie! Usłyszawszy te słowa i sądząc, że to już nastąpiło, lokajstwo rzuciło się na schody z krzykiem: „my nie moskale i nie pozwolimy się bić, my się sami obijemy".

W tej chwili spojrzałem na cara, od którego siedziałem niedaleko. Nie wiedząc o przyczynie zamięszania i krzyku, nie przyzwyczajony do takiego lekceważenia obecności jego, Aleksander zbladł i nie ruszył się z miejsca, nie mając nawet siły zapytać, jaka była przyczyna wrzasku w korytarzu tuż za lożą jego. W. ks. Konstanty pobiegł natychmiast na korytarz i z pomocą posła pruskiego uspokoił rozsierdzonych fagasów.

Aleksander jak i ojciec jego Mikołaj nie słynęli z męstwa osobistego, Mikołaj niezmiernie bał się wszelkich ruchów ludowych. W czasie 14 grudnia 1825 do tego stopnia stracił głowę, że chodził blady jak trup, pytając o radę każdego. Gdy w czasie cholery w r. 1834 wybuchł bunt w Petersburgu, car bawiący wówczas w Peterhofie nie chciał jechać do stolicy i ciągle się przysłuchiwał, czy nie strzelają z armat w Petersburgu. Na drugi dzień gdy się już wszystko uspokoiło, car wyjechał na plac, gdzie w wilję zaszły krwawe starcia i krzyknął na lud zebrany: „na kolana!" Tłum ze strachem spełnił rozkaz carski.

— „Co to znaczy, buntujecie się! wszystkiego tego ci podli Polacy was uczą! Na ten raz wam przebaczam, ale na przyszłość srogo karcić będę czyny podobne". (Pamiętnik Denisa Dawidowa). Scenę, tę, jak wyżej wspomniałem, przedstawiono na wypukłorzeźbię pod pomnikiem Mikołaja, który mu syn postawił, dla uwidocznienia czynu dowodzącego odwagi ojca uśmierzajacego lud już dawno uśmierzony. Mikołaj nigdy nieprzebaczył nikomu kto go przestraszył, lub kto widział przestrach jego. Byłem sam świadkiem, jak pewnego indjanina, który z prośbą w ręku ukląkł przed nim znienacka i nastraszył go swą ciemną i zrozpaczoną twarzą, kazał wrzucić do więzienia, nie chcąc nawet przyjąć prośby jego. Nieszczęśliwy indjanin zmarł w lochu, przesiedziawszy tam lat siedem, za to, że nastraszył despotę północy. Jenerałowi Panaje-

wowi, który był świadkiem przestrachu cara w czasie buntu wojennych kolonij w Nowogrodzie, Mikołaj kazał wyjechać do jednej ze wschodnich gubernij i tam pozostać aż do śmierci nigdy nie pokazywać się w stolicy. Otrucie się jego po bitwie pod Eupatorją przedstawiają niektórzy jako dowód męstwa i siły woli. Mnie się jednak to nie zdaje. Człowiek ten stał się samobójcą dlatego, że się wstydził tych omyłek i nie czuł w sobie siły walczyć z przeciwnościami, które go otoczyły. Jednak i tu nie miał odwagi męskiej i kazał siebie jak Neron zabić słudze swemu.

Wracam do ceremonij koronacyjnych. Każdy z posłów większych mocarstw dawał u siebie bal lub obiad dla nowego cara. Gdy przyszła kolej na Granvilla, poseł angielski posłał do dworskiej kancelarji uwiadomienie, że osoby, które życzą sobie otrzymać wstęp na bale jego, będzie przyjmować we środę o g. 7 wieczorem. Nadworna kancelarja uwiadomienie to przesłała do kancelarji wojennego gubernatora i do sztabu głównodowodzącego, prosząc o ogłoszenie o tem w pułkach i w stolicy. Ponieważ lord Granville wzbudzał w Moskalach wielkie uszanowanie, bo nie przyjął od cara orderu, który ten mu przysłał, każdy więc chciał być na balu u tego bogacza i w dzień wyznaczony połowa stolicy mogąca ubrać się przyzwoicie i wszyscy oficerowie gwardji pośpieszyli z wizytą do posła Wielkiej Brytanji.

Już o kwandrans na ósmą ulica, na której mieszkał, była literalnie zapchana powozami, a po trotuarach przejść prawie nie można było. Lord Granville z małżonką stali w pośrodku salonu, a sekretarz poselstwa tuż koło drzwi, wygłaszając imiona przedstawiających się i przekręcając je nielitościwie. Każdy z wchodzących kłaniał się posłowi i jego żonie, a następnie przechodził do dalszych pokojów. Przedstawianie ciągnęło się prawie do północy. Sekretarz dostał chrypki, zastąpił go drugi, ten także długo nie wytrzymał, zastąpił go trzeci. Dość powiedzieć, że około trzech tysięcy osób przedstawiło się posłowi angielskiemu. Granville stał ledwo żywy, przestępując z nogi na nogę, a tłusta małżonka jego ciężko dyszała, nie wiedząc, kiedy się ta męka skończy i przeklinając w duszy niedelikatność Moskali. Niezmiernie zmęczona lady położyła rękę na kolję prześlicznych pereł, które miała na sobie, lecz widać, że zdrętwiała ręka była zbyt ciężka, bo sznurek pękł i perły rozsypały się po pokoju. Kilku oficerów gwardji rzuciło się, aby je podnieść. Poważna Angielka wstrzymała ich zimną uwagą: „Messieurs laissez cela pour les domestiques“. Jak po-

parzeni odskoczyli oficerowie, widząc sarkastyczny uśmiech na ustach otaczających.

W sali zaczęto szemrać: „Cóż to ten rudy Anglik zaprosił nas tu żeby kpić sobie z nas i obrażać“. I nie czekając końca ceremonji, zaczęli wychodzić drugiemi drzwiami.

Lord Granville skończywszy przyjmowanie gości zaledwo o północy, nie mógł zrozumieć, skąd przyszedł do tak licznego zebrania gości i sądził, że mu wyprawiono figla. Na przyszłość więc postanowił ograniczyć ilość gości, rozsyłając imienne zaprosiny, kilkadziesiąt zaś biletów zostawiając u swego sekretarza dla rozdania pomiędzy oficerów gwardji i znaczniejsze osoby, któreby nie otrzymały zaproszenia z nadwornej kancelarji. W mieście jednak już byli bardzo oburzeni na lorda Granville. Arystokracja gniewała się na to, iż się znalazła w jednym salonie z kupcami, urzędnikami i ich żonami, oficerowie zaś za niegrzeczne słowa lady Granville. Postanowiono zemścić się na Angliku.

W dzień balu z arystokracji moskiewskiej przyjechali ci tylko, którzy będąc związani z dworem, nie mogli się wymówić od zaprosin. Oficerowie zaś korzystając z tych biletów, które rozdawał sekretarz poselstwa, wprowadzili na bal znane całej Moswie loretki: Saszki, Maszki i Katki. Sprawiło to okrutny skandal. Książę Esterhazy ciągle oglądał się na ostrogi swoje upiętrzone brylantami, bo ktoś mu powiedział, że złodzieje moskiewscy zagięli parol na jego brylanty.

Car przyjechał dość późno i pozostawszy czas krótki w salonie, gdzie tańczono, przeszedł do sali jadalnej gdzie był nakryty stół na 300 osób. Według angielskiego zwyczaju na balach podobnych każdy idzie do jadalnego pokoju, kiedy jeść chce i odchodzi kiedy mu się podoba. W Rosji zaś inny zwyczaj. Tam nikt nie ośmieli się usiąść do stołu, póki car nie usiądzie. Z tego powodu dla wielu osób nie znalazło miejsca, tak że ci przeklinając gospodarza głodni wrócili do domu. Pojawienie się zaś kobiet publicznych na poselskim balu lotem błyskawicy rozniosło się po całej stolicy. Car dowiedziawszy się o tem, nie kazał odszukiwać winowajców, aby nie zwiększać skandalu.

Po obiadach i balach, które dawali carowi reprezentanci wielkich mocarstw i szlachta moskiewskiej gubernji nastąpił obiad kupiectwa moskiewskiego.

W ogromnym, jakiego niema nigdzie maneżu, rozstawiono stoły w kilkanaście rzędów, a na znacznem podniesieniu stół, za

którym miał zasiąść car z rodziną. Sala była udekorowana najrzadszemi roślinami, naokoło ścian porobiono loże dla publiczności, dla dam i dla malarza Timme, który miał uwiecznić tę uroczystość obrazem. Podłoga była wybita czerwonem suknem; w około maneżu na bulwarach stały stoły dla żołnierzy gwardji.

Przed obiadem zajechał do maneżu hr. Zakrewski, moskiewski jenerał-gubernator i widząc wielu kupców tam zebranych, zapytał co oni robią. Burmistrz odpowiedział, że są to delegowani dla usługiwania gościom w czasie uczty i pilnowania, aby nic nikomu nie zabrakło. „Precz stąd, krzyknął Zakrewski, obejdzie się bez was, w sali mogą pozostać tylko burmistrz i kilku bogatych kupców, reszta zaś niech usługuje żołnierzom, gdyż tu nie są potrzebni".

Zdetonowami gospodarze musieli wynieść się z sali i w czasie obiadu pozostawać za drzwiami.

Po długiem oczekiwaniu na cara, który nie odznaczał się taką akuratnością jak jego ojciec, dano znać, że przyjeżdża. Wylazłszy z powozu, car udał się ku stołom nakrytym dla żołnierzy i wypił pół kieliszka wódki na zdrowie gwardji. Gdy się odwrócił i poszedł do maneżu, żołnierz jednym duszkiem wychylił resztę. Zasmuciło to nadzwyczaj kupców. Jeden z nich zawołał: Jabym za to pół kieliszka dał sto rubli, gdybyś go nie wypił. Potem wziąwszy kieliszek, kupcy nalewali weń wódkę i popłukawszy cokolwiek wypijali jeden po drugim, żeby mieć zaszczyt wypić choć homeopatyczną dozę płynu, w którym car umaczał usta swoje.

Obiad w maneżu był przepyszny. Najdroższe wina lały się obficie: stoły uginały się pod ciężarem srebrnych i złotych naczyń niezrównanej piękności, napełnionych rzadkiemi owocami i najpyszniejszemi cukrami. Car był w dobrym humorze, jadł wiele i wychylał kielich za kielichem szampana, z prędkością godną podziwu. W czasie obiadu znajdująca się w loży córka Zakrewskiego, hrabina Nesselrode, znana w Moskwie i zagranicą z rozpustnego życia, prosiła jednego ze znajomych oficerów, aby i jej przyniósł szklankę szampana i ku zgrozie płci pięknej, siedzącej w sąsiednich lożach, nie zadowolniła się jedną szklanką.

Car już dobrze podpity nie zapominał jednak, że go malarz rysuje i pomimo że czuł, że mu głowa mocno ciąży, wyprostowywał się ciągle, żeby przydać więcej okazałości postawie swojej. Wnoszono toasty za zdrowie cara, jego rodziny, szlachty, posłów

cudzoziemskich, ale nikt nie wniósł toastu za zdrowie gospodarzy, czekających pode drzwiami, co bardzo mocno zasmuciło kupców. Po obiedzie wszyscy byli dobrze podochoceni. Car zszedł z podwyższenia i skierował się ku drzwiom depcąc kwiaty, które mu jakoś bardzo zawadzały po drodze. Kupiectwo i tłumy ludu zgromadzone około maneżu wrzasnęły „hurra!", ale car już nie miał siły do ukłonu grzecznego, bo świeże powietrze jeszcze go bardziej rozmarzyło; nacisnąwszy kaszkiet na głowę długo stał przed powozem, bo noga żadną miarą nie mogła trafić na stopień, co go bardzo niecierpliwiło. Nareszcie podparty przez adjutantów, jakoś wlazł do powozu, usiadł, zawinął się w płaszcz, wrzasnął nie swoim głosem „paszoł" i konie zaniosły ziemskiego Boga zapewne wprost do łóżka.

Uroczystości koronacyjne miał zakończyć wielki obiad na sto tysięcy ludu. Na Chodyńskim polu, za rogatką rozstawiono kilkanaście tysięcy stołów, obitych perkalem.

Od miesiąca prawie pieczono chleb, przygotowywano barany ze złoconemi rogami, robiono kiełbasy, stawiano fontanny, które miały bić wódką, białem i czerwonem winem. Urządzeniem obiadu dla ludu zajmował się hr. Adlerberg - ojciec. Zamiast zamówienia na oznaczony dzień potrzebnej ilości jadła u wielu dostawców, Adlerberg kazał dla oszczędności, aby w miarę jak co było gotowe, przynoszono i stawiano na stoły. Prawie od dwóch tygodni znoszono chleb i mięso na Chodyńskie pole. Czas był wilgotny, ciągle lały deszcze, tak że już na dni kilka przed ucztą już zdaleka można było czuć zgniliznę.

W dzień oznaczony, aby zachować porządek między masami ludu, który się zebrał z okolic, posłano dwa pułki kozaków. Długo debatowano nad tem, jak pamiętam, czy kazać im wziąć ze sobą piki dla powstrzymania ludu, żeby się nie rzucił przed czasem, czy wystarczą same nahaje. Nareszcie to ostatnie zdanie przemogło i kozakom kazano wziąć tylko tę jedną zabawkę.

Gdy już otoczono stoły podwójnym łańcuchem kozaków, tych zwykłych stróżów porządku w Rosji, posłano do cara doniesienie, że już wszystko jest gotowe. Car według programu miał z całą świtą objechać stoły, a następnie kazać podnieść chorągiewkę na długiej tyce, co miało oznaczać początek uczty. Deszcz lał jak z cebra. Mgła nie pozwalała widzieć na kilkanaście kroków. Smród od gnijącego mięsa był tak wielki, że raził z daleka. Obrachowawszy, że się to może nie podobać carowi, na kilka

minut przed przyjazdem jego Adlerberg niby dla zrobienia próby czy chorągiewka podnosi się dobrze, kazał pociągnąć za sznurek. Lud stojący niedaleko i oczekujący z niecierpliwością, kiedy znak będzie dany, gdy obaczył chorągiewkę podnoszącą się do góry, rzucił się zajadle naprzód, złamał obie linie kozaków, pomimo razów, których ci nie szczędzili na prawo i lewo, otoczył stoły i w jednej chwili rozchwytał wszystko, co tam było: potrawy, naczynia, łyżki, noże, zerwał nawet nakrycia perkalowe, zaczął zrywać deski z altanek urządzonych dla widzów, bo Moskale są niezrównani w grabieży.

W tej właśnie chwili nadjechał car otoczony posłami, którym chciał pokazać to ciekawe widowisko. Bardzo go rozgniewała niespodzianka, iż uczta rozpoczęła się i skończyła bez niego, ale nie było co robić. Jedne fontanny z wódki i wina dzięki waleczności kozaków nie zostały jeszcze zniszczone. Z przyjazdem cara odstąpili obrońcy i w tejże chwili mnóstwo ludzi wlazło aż na wierzch do rezerwoaru, czerpiąc czapkami, garściami i połami odzienia napój ulubiony. Inni, którzy naprzód przebić się nie zdołali, z zazdrości zaczęli rzucać błotem na tych, którzy dopadli do fontan, żeby ich rozpędzić, albo zepsuć im fetę. Z tego powodu wkrótce zamiast wódki i wina zaczął ciec jakiś ciemno-żółty płyn, który pili tylko szczególni i niepoprawni amatorowie tego nektaru.

Aby uchronić się od deszczu [illegible] chcac cara widzieć [illegible] wleźli na stoły. Car objeżdżał około stołów witany szalonem „hurra!", lecz na twarzy jego można było wyczytać wielkie niezadowolenie. Zwróciwszy się do Adlerberga, rozkazał mu zrobić śledztwo, z czyjego rozkazu podniesiono chorągiewkę.

Ci co pozabierali naczynia, sztućce i jadło, nie czekając przyjazdu cara masami dążyli do miasta i do sąsiednich wsi, aby tam ukryć swą zdobycz. Ale u bramy miasta, z własnego pomysłu ustawili się inaczej myślący policjanci i nazywając złodziejami niosących te łupy, odebrali je na swoją własność. Ci co nie chcieli oddać, mówiąc, że to car im dał, byli złajani, zbici potężnie, ale nie otrzymali nazad odebranego. Inni co podążyli do bliskich osad byli szczęśliwsi, bo w drodze nikt ich nie przetrzymał, owszem na niosących barany ze złoconemi rogami przez obóz gwardji, żołnierze krzyczeli: „prędzej, prędzej nieście tę padlinę, bo zatrujecie powietrze w całym obozie."

Opowiadano potem, że w czasie uczty uduszono tylko jednego człowieka, który chwycił jakiś ręcznik i chcąc, aby mu go nie odebrano, opasał się nim. Rzucono się na niego i ciągnąc jedni za jeden, drudzy za drugi koniec ręcznika, zadusili szczęśliwego posiadacza tego nieocenionego skarbu. Tak się skończyła uczta ludowa.

ŻYCIE WOJSKOWE

Wszystkie chwile trosk i cierpień, gdy miną, znikają prawie bez śladu, a na nici życia nawleczone są tylko brylantowe paciorki rozrzewnienia, wzniosłych lub świętych uniesień, chwil radości i szczęścia. Z takiego to różańca składa się nasza przeszłość. Dziś wracając do niej, już nie mogę odszukać tych barw czarnych, które były w przeszłości, a jednak one były, to pamiętam, bom żył, i żył pełnem życiem, zaglądając aż do dna czary, którą życie stawi przed każdym człowiekiem.

Jak wspomniałem już wyżej, po ciężkiej, dwuletniej pracy w Wojennej Akademji, otrzymawszy rangę sztabs-kapitana za nagrodę świetnie złożonego egzaminu, wstąpiłem do gwardyjskiego jeneralnego sztabu, składającego się zaledwie z dziewiętnastu oficerów. Była to elita pod względem zdolności, a że zdolność prawie zawsze idzie w parze z ambicją i silnie rozwiniętym egoizmem, miałem więc kolegów przeważnie karjerowiczów i intrygantów na wielką skalę. Prawie wszyscy z nich zajmują lub zajmowali najwyższe stanowiska w Rosji: Obruczew, Ignatjew, Nawików, Karców, Tałysin, Siemicki, Leontjew, Roop, Półtoracki, Zotów, Herszelman, Minkwitz, Rauch, Ockerbloom, Wuicz, Sałacki, Antonów i t. d. Pożycie koleżeńskie między nami było prawie żadne, bo trudno o koleżeństwo tam, gdzie każdy myślał tylko jakby przeskoczyć przez swego kolegę, jak strącić go z tej podstawy, na której on stanął. Jednego tylko — pułkownika Turczaninowa, kozaka, lubiłem szczerze, bo był to charakter prawy, uczciwy, a sposób myślenia szlachetny i liberalny. Niedługo jednak służyliśmy razem, bo wziąwszy urlop zagraniczny,

wyjechał z Petersburga do północnej Ameryki i tam osiadł na zawsze, ceniąc wyżej osobistą swobodę nad wysoką karjerę, która się przed nim otwierała. Pamiętam jakie straszne było na niego oburzenie w generalnym sztabie, gdy sługa przyniósł do kancelarji list Turczaninowa, uwiadamiający, że już więcej nie myśli wracać do Rosji, i zawiniątko, w którem znajdował się jego mundur przyozdobiony różnemi krzyżami, które otrzymał na służbie. Wykrzyknikom na niewdzięczność, na szaleństwo i na podłość biednego kozaka nie było końca.

Mieszkając obok pałacu Zimowego, będąc w ciągłem zetknięciu z różnemi osobami, należącemi do dworu, wiedziałem prawie o wszystkiem, co się tam działo, patrzyłem własnemi oczyma na rozpustę, podłość i służalstwo tych, co tron otaczali. Z drugiej strony zasmakowawszy w literaturze, naukach i towarzystwie z ludźmi wykształconymi, obracałem się w kółkach składających się z literatów, lekarzy, profesorów uniwersytetu i akademji, gdzie najczęściej mówiono o polityce, o postępowaniu rządu i zachowaniu się rządzących. Z tego też kółka wyszli apostołowie nihilizmu, który potem ogarnął kraj cały. Nie urzeczywistnione nadzieje, które pokładano w carze Aleksandrze, połowiczne środki we wszystkiem, słabość rządu i nadużycia władzy, wywoływały niezadowolenie, ostre sądy, pogardę dla ludzi, którzy zrobiwszy krok naprzód, nie umieli iść dalej i zaczynali się cofać. Stan ten społeczności uchwycił utalentowany pisarz Turgenjew i przedstawił go w powieści „Ojcowie i dzieci" uosobiając tę dążność do czegoś lepszego w bohaterze swym Basarowie, który marzył tylko o zniesieniu istniejącego przestarzałego porządku jak w ustroju politycznym tak i społecznym. Nikt do tego czasu nie przedstawił takiej uosobionej negacji w jednym człowieku, którego przezwał „nihilistą". Portret ten nadzwyczaj podobał się młodzieży, skłonnej niezmiernie do krytyki i do krańcowych idei, odważnej i pełnej wiary w siebie. Wielu z nich w poglądach swoich, w dążnościach, zaczęło kształcić charakter na podobieństwo Basarowa. Turgienjew przedstawił typ nowy, w części stworzony przez siebie, pokazał w nim negację posuniętą do najwyższego stopnia, potępił bohatera swego i nie wiedząc co z nim zrobić, uśmiercił w końcu powieści, bo zdało mu się, że społeczność składająca się z podobnych ludzi istnieć nie może. Dziś tylko ocenić można, ile złego wyrządził Turgenjew Rosji powieścią swoją.

W obronie typu stworzonego genjuszem artysty, wystąpili młodzi pisarze Czernyszewski i Pisarew[1]), wykazali całą szlachetność podobnych charakterów, całą bezinteresowność podobnego nastroju, a chcąc stworzyć warunki, przy których podobni ludzie istnieć mogą, zaczęli szukać ich w teorjach socjalistów i komunistów. Czernyszewski napisał powieść „Co robić“, gdzie rozwinął czynność typu człowieka stworzonego przez Turgenjewa na polu społecznem uorganizowanem podług programu socjalistów. Powieść była bardzo słaba, lecz młodzież podnosiła ją pod niebiosa, bo Czernyszewski pisał ją w więzieniu, dokąd go wtrącono za udział w rozpowszechnianiu pisemka tajnego, które zaczęło wychodzić pod redakcją Michajłowa, zmarłego następnie na Sybirze. Wiadomo wszystkim jak prześladowanie pomaga do szerzenia się jakiejkolwiek idei. Zwolenników „nihilizmu“, myślących o potrzebie zniszczenia zużytych form towarzyskich i społecznych codziennie było więcej; ubierali się oni i zachowywali w sposób, jaki przedstawił Turgienjew w powieści swojej bohatera.

Z początku kółko to rekrutowało się z pośród studentów i popowiczów, potem zaczęło szerzyć się wśród klasy średniej i między zarobnikami, którym podobała się propagowana swoboda we wszystkich kierunkach, bez utraty poważania. Kółko rosło szybko, obudzając z początku ciekawość i żarciki, lecz wkrótce szerzenie się tych poglądów antispołecznych zaniepokoiło rząd i zwróciło uwagę policji, chociaż do 1863 roku nie występowano przeciwko niej stanowczo, mając nadzieję, że śmieszność różnych eksperymentów, które czynili nihiliści, zniechęci ich do dalszych prób.

W Petersburgu zawiązała się furjerowska spółka, pod kierunkiem Gołochwastowa, do której wstąpiło wielu mężczyzn i kobiet, między któremi była nawet ks. Szerwaszidze z królewskiego gruzińskiego rodu. Spólnicy najęli dom i prowadzili wspólną gospodarkę; mężczyźni pracowali, drwa rąbali, nosili wodę, kobiety zaś gotowały jedzenie, prały, szyły i t. d. Co tydzień we czwartki były tam wieczorki, na które mogły przychodzić także

---

[1]) O Mikołaju Czernyszewskim wspomina Sawicki już poprzednio znacznie szerzej. Dymitr Pisarew, również anarchista, przedstawiał w literaturze kierunek skrajnie realistyczny — a zwalczał równocześnie zawzięcie wszelki idealizm. Niektóre pisma tych autorów przyswojono swego czasu i naszej literaturze, nie wywołały jednak zupełnie zainteresowania, a tem bardziej oddźwięku. Natomiast przemożny wpływ wywarły one na przedstawicieli młodej literatury ruskiej, jak Dragomarowa, Frankę i Pawlyka.

osoby z poza ich grona i przypatrzeć się ich życiu. Trwało to około 8 miesięcy. Spółkę miano na oku, lecz nie przeszkadzano eksperymentowi. Po ośmiu miesiącach wszystkie kobiety należące do spółki były już w poważnym stanie, a co lepsza, żadna z nich nie wiedziała, kto jest ojcem ich dziecka. Śmiech i żarty z tego powodu wynikłe rozbiły spółkę petersburską, lecz to mało podziałało na kółka tworzące się na prowincji i na indywidua, których ilość zwiększała się ciągle. Po zamachu Karakazowa na cara, przekonawszy się, że zamach ten miał coś wspólnego z nihilistycznemi dążnościami, policja zaczęła prześladować nihilistów i nihilistki. Tym ostatnim nakazała nosić żółte bilety wydawane przez policję nierządnicom. Takie brutalne i beztaktowne zarządzenie zamiast śmiechu wzbudziło niesmak i oburzenie w zdrowej części społeczności. Ilość nihilistów rosła codziennie, pomnażania niezadowolonymi z reakcyjnych czynności rządu. Do szeregów ich zapisywali się zwłaszcza popowicze, dzieci biednych urzędników, które liznęły nieco nauki i chciały, aby im dano także kawał miejsca pod słońcem, nareszcie sekciarze religijni, których jest taka wielka ilość w Rosji. Ale pomimo wzmagania się sił tej sekty politycznej, była ona bardzo słabą w 1863 r., wtedy gdym wyjeżdżał z Rosji na zawsze, słaba szczególnie brakiem organizacji i środków materjalnych. Jasnego programu nihiliści nigdy nie mieli: „należy zniszczyć istniejący porządek społeczny, a co stanie na jego miejscu, spadkobiercy nasi orzeką.“ Tak mówili wszyscy przywódcy bez wyjątku.

W 1857 roku na wniosek kolegi mego kapitana Zotowa postanowiono zaprowadzić w armji szefów sztabu dywizji z grona oficerów jeneralnego sztabu. Były to posady bardzo piękne, bo dawały niezależne stanowisko, piękny zakres działania i ładne utrzymanie. Postanowiłem przeto porzucić gwardyjski jeneralny sztab i przyjąć jedną z tych nowokreowanych posad. Ponieważ już byłem wtedy kapitanem gwardyjskiego jeneralnego sztabu, awansowano mnie w 1857 r. na podpułkownika. Miałem wówczas 27 lat. Taki szybki awans może zawrócić głowę nie jednemu. Chcąc się przygotować należycie do objęcia nowej posady, postanowiłem zrobić podróż za granicę i przypatrzyć się tam instytucjom wojskowym, porządkom administracyjnym i organizacji armji europejskich. a także na polach bitew przestudjować kampanje Napoleona I we Włoszech w 1796 r., które mnie zawsze doprowadzały do prawdziwej ekstazy, do uniesienia.

Sprzedawszy piękny carski upominek, który otrzymałem przy wstąpieniu Aleksandra II. na tron, dołożywszy nagrody pieniężne dane mi za służbę i oszczędności, które zrobiłem w gwardyjskim jeneralnym sztabie, miałem dostateczną sumkę na przedsięwzięcie podróży zagranicznej nawet w dość dalekie strony.

W podróż wyjechałem w maju 1857 roku. Udałem się z początku na Litwę dla odwiedzenia Matki i rodziny, potem do Warszawy, którą po raz pierwszy zwiedzałem. Następnie zwiedziłem Tatry, Kraków, Wiedeń, Szwajcarję, Włochy, Afrykę północną, Hiszpanję, Portugalję, Francję, Anglję, Holandję, Belgję i Prusy. Z podróży wróciłem w 1858 roku. Rozwinęła ona mój umysł, pozwoliła ocenić dokładnie braki mego wykształcenia, dała możność poznania kilku wielkich obywateli: Polaków, Francuzów, Włochów i Węgrów, rozszerzyła me wiadomości wojskowe i przysposobiła w ten sposób do należytego pełnienia obowiązku szefa sztabu.

Po przybyciu do Petersburga zostałem natychmiast mianowany szefem sztabu I. kawaleryjskiej dywizji, która stała w Kowieńskiej gubernji. Sztab mój był w Kownie, dokąd cała rodzina moja przeniosła się od niedawna. Można wyobrazić sobie jak przyjemną była służba moja! Po tylu latach rozłączenia z matką, siostrą i ze starszym bratem, którego bardzo kochałem, znaleźliśmy się znowu razem na Litwie, w Kownie, gdzie Adam pieśń polską wylewał, gdzie ze słów wieszcza promień tryskał złoty...

W dodatku poprzednik mój był charakteru przykrego, naraził się wszystkim gburowatością, grubjaństwem, pychą i lekceważeniem wszystkich. Spotkano więc mnie z wielką sympatją, zaczynając od naczelnika dywizji jenerała Burharda aż do ostatniego oficera. Korzystając z takiego składu rzeczy, użyłem wszelkich sił, aby nie zawieść oczekiwań, które we mnie pokładano. Zwróciłem przedewszystkiem baczną uwagę na więcej ludzkie obejście się z żołnierzami, na polepszenie ich wiktu i utrzymania, śledziłem starannie, aby nie było nadużyć i krzywdy tym co się skarżyć nie mogą, starałem się między oficerami zaprowadzić jak największe koleżeństwo, bywając u nich i przyjmując ich u siebie, rozbudzałem w nich zamiłowanie do służby i chęć do zajęcia się nią. Nauczyłem się tak dobrze regulaminu wojskowego kawalerji, że stałem się prawie wyrocznią pod tym względem. W ciągu kilku rewji odbytych poprzednio przez cesarza, dywizja źle się przedstawiła i cesarz był z niej bardzo niezadowolony. Zająłem się szczerze doprowadzeniem dywizji do takiego

stanu, żeby była celującą i dopiąłem tego, bo gdy w 1860 roku przyjechał cesarz do Wilna i zrobił rewję dywizji wobec króla pruskiego, tak był zadowolony z rezultatu, że dał wielką wstęgę Orła Białego naczelnikowi dywizji i nagrodził wszystkich oficerów i żołnierzy. Rzeczywiście wszystkie ruchy dywizji doprowadziłem do takiej perfekcji, że w pełnym karjerze wykonywała wszelkie ewolucje, a żołnierze stojąc jeździli na koniu. Jenerał Burhardt człowiek stary, słaby, zostający zupełnie pod pantoflem żony, znał służbę tylko niższą-szwadronową, dywizjonową i pułkową, ale kompletnie nie znał służby brygadowej, dywizyjnej i dragońskiej. Na musztrach musiałem mu podpowiadać wszystko i mówić jak należy komenderować i kto gdzie zrobił jaką omyłkę. Nieraz Burhardt brał pułk jakiś i uczył go jeździć ceremonjalnym marszem, a mnie powierzał zajęcie się całą dywizją kawalerji z artylerją. Stąd wywiązywało się coraz większe zaufanie do mnie, a gdy po rewji w Wilnie posypały się na dywizje łaski carskie i awansy oficerów, wszyscy przypisując sukces ten mnie tylko, byli dla mnie z najwięksem uszanowaniem i admiracją. Naczelnik dywizji wprost mi powiedział, że nie jemu, a mnie należało dać wielką wstęgę, którą go nagrodzono. „W głowę zachodzę, mówił mi nieraz naczelnik pierwszej brygady jenerał Sta[illegible] Holstein, gdzieś się pan tak doskonale wyćwiczył w służbie kawalerji, że umiesz ją lepiej jak najstarszy oficer kawaleryjski“. Pochodziło to jednak stąd, że pojąłem ducha kawalerji, a przy tem lubiłem konie i sam doskonale jeździłem. Możecie sobie wyobrazić, czy takie sukcesa i takie stanowisko nie było miłe i przyjemne dla takiego młodego człowieka jakim ja byłem wówczas...

Burhardt bardzo mnie lubił i chętnie wydałby za mnie jedyną córkę swą Marję, której podobałem się widocznie ale była ona moskiewką, a takie ucnybienie obowiązkom narodowym nie przebaczano na Litwie. Stanowisko moje wobec obywateli litewskich także było bardzo przyjemne, bo sprawiedliwością w sądzeniu spraw spornych między wojskowością i władzami cywilnemi zyskałem ich szacunek i poważanie.

Życie moje w Kownie było bardzo przyjemne. Trzy lata ubiegły jak chwilka jedna, wszyscy mnie kochali i ja szczerze byłem przywiązany i do wojsk i do obowiązków moich. Przyjaźń moja dla brata, który w Kownie pełnił obowiązek pomocnika prokuratora, wzrastała z dniem każdym, był to bowiem człowiek niezmiernej prawości i szlachetności. Ileż to razy przedumaliśmy razem w dolinie Mickiewicza, lub siedząc pod pomnikiem młod-

szej siostry naszej Stanisławy, u stóp góry pokrytej lasem napełnionym słowikami. Ileż to razy spłakani nad losami Litwy wracaliśmy z przechadzki do domu...

Czas wolny spędzałem nad książkami, studjując literaturę polską i historję, których do tego czasu prawie nie znałem, albo pracując w ogrodzie i pielęgnując kwiatki, albo odwiedzając znajomych w okolicy. Szwagier mój, Zygmunt Sacewicz, który żył razem z nami, był także bardzo zacny i poczciwy człowiek, kochał żonę swoją, a do nas był przywiązany jak do braci rodzonych. Dom nasz z jego spokojem, miłością, szacunkiem i wzajemnem przywiązaniem mógł służyć i rzeczywiście służył za przykład szczęśliwego, cnotliwego i poczciwego pożycia. Bogactwa nie było, lecz i niedostatku nigdy nie zaznaliśmy, pomagając sobie wzajemnie. Starodawna gościnność tu panowała stale i gości zawsze było pełno, zwłaszcza na imieniny matki, siostry naszej, większe święta i t. d.

Jednego tylko miałem wroga, ale niebezpiecznego. Był nim pułkownik żandarmski Skwarców, infamis taki, że rodzony brat jego wyrzekł się go i nie chciał nawet słyszeć o nim. Zajmował się on lichwą, a z obawy przed denucjacją obywatele musieli pożyczać od niego pieniądze na 8 lub 10 procentów na miesiąc. Każdy wolał okupić się, niż być narażonym na denucjację, bo ta ostatnia mogła zgubić rodzinę całą. Skwarców myślał, że przyjechawszy do Kowna, złożę mu wizytę i tem upoważnię go do bywania u mnie, gdzie się zbierało tylu ludzi, ale omylił się bardzo, bo nie miałem zamiaru wprowadzania do domu mego szpiega. Tego mi darować nie mógł i zemścił się przy pierwszej okoliczności. Okoliczności te były to początki politycznych manifestacyj w Polsce i Litwie.

Panowanie Mikołaja było tak ciężkie dla ludów należących do jego obrzymiego państwa, że wstąpienie Aleksandra II. na tron powitano wszędzie jako początek nowej epoki odrodzenia dla wszystkich uciemiężonych ludów, pod berłem jego połączonych. A gdy jeszcze następca tego strasznego tyrana zaczął rządzić po ludzku, w duszach jego poddanych zbudziła się nadzieja, że wszystkie dawniej zadane rany pod jego dłonią zagoją się zupełnie. Wszędzie też, gdzie nowy car pojawił się, witano go z otuchą i uniesieniem. Dzienniki były przepełnione pochwalnemi artykułami, które witały wstąpienie na tron młodego monarchy, jako zapowiedź nowej niosącej wolność ery i nie wielu było ludzi, co nie

dowierzali, że to stać się może. Do tych ostatnich należał słynny poeta Kondratowicz (Syrokomla).

Na wiosnę przyjechał on do Kowna i znajdując się wśród przyjaciół, był proszony, aby zaimprowizował cokolwiek.

— „Dobrze, odrzekł poeta, ale dajcie mi temat".

W tej właśnie chwili przechodził ulicą Kacap, dźwigając na głowie puszki z lodami i krzycząc na całe gardło: „Sacharnoje morożennoje"! (cukier zamrożony, czyli lody.) Jeden z obecnych rzekł: — „Ot masz i temat gotowy".

Syrokomla pomyślał chwilkę i wygłosił następne wiersze:

I kwitną drzewa i ptaszę śpiewa
I wkrótce pękną już pączki łóz,
I wszędzie życie, a wy wierzycie,
Że wiosna już, że wiosna już!
    Łatwowiernicy! słyszysz z ulicy
    Syna północy, zwiastuna gróz,
    Jak ptak złowieszczy Moskwicin wrzeszczy:
    Sachar moroz, sachár moroz!

I dawniej Polska, prosto z Tobolska,
Miała śnieg, lody i pęki łóz...
Dziś zaszły zmiany, ocukrowany
Sachar moroz, sachar moroz!
    Choć dla żyjących chwasty i osty,
    Kwiatami wieńczą Konarskich wóz,
    Wróżą nadzieje, a w sercu wieje
    Sachar moroz, sachar moroz!

I piśmienniki w swoje dzienniki
Złoconych słówek rzucili stos!
Głupi kto wierzy, że oni szczerzy:
Sachar moroz, sachar moroz!

Przeczucie poety sprawdziło się. Zawiedzione nadzieje na lepsze czasy wywołały pomysł manifestacyj religijnych, bo modlitwa wspólna łączyła stany, zacierała niechęci i nieporozumienia i znosiła różnicę między ludźmi.

Manifestacje te prędko przeniosły się z serca Polski do wszystkich dawnych jej prowincyj. W Litwie tak, jak w Polsce każdą pamiątkę narodową, każde świetne historyczne wspomnie-

nie zaczęto obchodzić nabożeństwem, bo modlić się nikt zabronić nie mógł. Ludzie tchórzliwego umysłu, przygnębieni i słabi, których zawsze jest większość w każdem społeczeństwie, powoli zaczęli wprawiać się do oporu rządowi, do oporu policji i do oceniania sił własnych, a także do poczucia godności ludzkiej. Manifestacje religijno-polityczne uszlachetniały nietylko jednostki, ale i kraj cały.

Dziwnem stworzeniem jest człowiek. Czasem go z miejsca poruszyć niepodobna, czasem zaś wystarczy jakiś frazes, jakaś myśl, skinienie... A gdy targnie się z miejsca, to idzie na oślep, idzie przed siebie, idzie do zapamiętania, choćby go czekała zguba pewna, choćby miał się stoczyć w przepaść, choćby miał zmarnieć. Niema dlań tamy w pochodzie, on zdepcze tych, którzyby chcieli go zawrócić z drogi...

Dla ludzi zajmujących stanowiska urzędowe, oficjalne, manifestacje te były bardzo przykre, bo stawiły ich w bardzo fałszywe położenie. Wziąć udział w nich, narażając stanowisko, niszcząc owoc długoletniej pracy, gubiąc przyszłość swoją bez widocznego celu, było oczywiście szaleństwem; stanąć zaś razem z manifestantami, nie zrzekając się swego urzędowego stanowiska, było nieuczciwem faryzeuszostwem, niegodziwym wallenrodyzmem i śmiesznem pomieszaniem pojęć. Takiem było położenie moje, jako szefa sztabu a zarazem obywatela Litwy. Rozsądek wzbraniał iść razem z drugimi, a serce ciągnęło, abym stanął obok współbraci w chwili budzenia się Ojczyzny. Chciałem porzucić służbę, żeby niebyć w sprzeczności z samym sobą, ale uprzedził mnie wypadek, który inaczej pokierował losem moim.

Dnia jednego, gdym z honorową wartą przyjmował następcę tronu pruskiego, przyjechał do mnie ktoś ze znajomych, zapytując, czybym nie chciał wziąć udziału w obiedzie, który dają przejeżdżającemu przez Kowno, poecie Kondratowiczowi w klubie. Syrokomlę znałem, lubiłem i ceniłem bardzo jako poczciwego człowieka, który nigdy nie sprzeniewierzył się polskości, nigdy nie skalał się czynem służalstwa. Powiedziałem więc, że będę i jak tylko skończyłem służbę, pobiegłem do klubu. Ale już było napisane w księgach przeznaczenia, że dzień ten muszę spędzić na służbie, bo zaledwo zjadłem zupę rakową, zawezwano mnie do naczelnika dywizji, prosząc abym natychmiast odkomenderował dwa szwadrony wojska na egzekucję do jakiejś wsi, która nie chciała poddać się rozporządzeniom rządowym. Pobiegłem do sztabu i chcąc załatwić sprawę prędzej, żeby wrócić do miłego

towarzystwa, rozkazy napisałem własną ręką, ale pomimo pośpiechu nie zdążyłem, już się obiad skończył i wszyscy się rozeszli. Na końcu obiadu Syrokomla zaimprowizował następujące wiersze:

W Kownie, gdzie Adam pieśń polską wylewał,
Gdzie ze słów wieszczych płynął promień złoty,
Zuchwały lirnik, coby jeszcze śpiewał
Starolitewską piosnkę wajdeloty!
Lecz bracia mili, w uroczystej porze
Zuchwalstwo nawet koniecznem być może!

Dziś uroczystość! Jutrznia się rozżarza,
Bo po dniach wielu i po latach wielu
Niemen z Wiliją idą do ołtarza,
A my ucztujem na srebrnem weselu.
Puhar braterski gdy bierzem do ręki,
Trzeba koniecznie choć słabej piosenki.

Słyszycie hymny z ponad brzegów Wisły,
Co rzekom Litwy wróżą dnie szczęśliwe?
Tam pierwsze krwawe strumienie wytrysły,
Aby użyźnić obumarłą niwę.
Jak z ran Chrystusa ziemia upragniona
Przyjmuje cudu wielkiego nasiona.

Dajcież być wróżką litewskiej piosence,
Ze krwi tej cząstka i na Litwę spływa,
Nas nie odepchną naszych braci ręce
Od wspólnej pracy i od plonów żniwa.
Po krwawych trudach jak żeńcy wieczorem,
Dzień nasz zakończym bratnim rozhoworem.

Cały wiek wspomnień będzie przegadany,
Gdzie nam boleśniej wnętrzności rozdarto,
Ile na pudy ważyły kajdany,
Nad naszym Niemnem, nad Wisłą, nad Wartą.
Czy więcej wody w rzek polskich topieli,
Albo nam więcej łez i krwi wyleli,

Tymczasem idąc na to święte żniwo,
Budząc duch ojców cnotliwy i chrobry,
Podajmy bracia prawicę życzliwą,
Wznosząc jutrzany toast na dzień dobry,
Po staroświecku łącząc dwa imiona: niech żyje Litwa, niech
[żyje Korona!

W dziesięć czy piętnaście dni po tym wypadku, w rozkazie wojskowym z podpisem cara przeczytałem: szefa sztabu 1. kawaleryjskiej dywizji podp. Sawickiego przenosi się na posadę szefa sztabu 3. kawaleryjskiej dywizji do Kurska, a na jego miejsce w Kownie przeznacza się podp. Timrota.

Widocznem więc było, że był jakiś donos na mnie. Z jednej strony przeniesienie to chroniło mnie od niebezpieczeństwa wplątania się w taką sprawę, która mogłaby pociągnąć za sobą smutniejsze następstwa jak translokacja, ale z drugiej strony żal ciężki ogarnął duszę na myśl pożegnania się, być może na zawsze, z szczęśliwem życiem, ktore prowadziłem na łonie rodziny w Kownie. Pamiętam, że gdym przeczytał tę wiadomość, nikomu nic nie mówiąc poszedłem do ogródka naszego. Był to poranek wiosenny, a w ogródku choć przyćmiono i wilgotno, miło było wonią drzew i rozkwitłych kwiatów oddychać. Pod staremi bzami rosa jeszcze perliła się na kwiatkach i trawkach i powoli ulatując w rozgrzanem powietrzu, roznosiła za sobą zapach narcyzów i jaśminów rosnących w ogródku. Cisza głęboka panowała tu, przerywał ją tylko szelest liści. Nigdy nasz ogródek nie wydawał mi się tak ślicznym, tak uroczym. Wziąwszy potem czapkę, pobiegłem do doliny Mickiewicza, w której tak często przesiadywałem z bratem. Miałem tam ulubione schronienie na polance zarosłej paprocią i pełnej wonnego polnego ziela. Ciszy i spokoju nie mieszał i nie przerywał, tylko milszym czynił szmer biegnącej wody ze strumyka, z którego piłem nieraz ukląkłszy na kamienistem wybrzeżu. Wśród ciszy tej błogiej i tęsknej łzy pociekły z mych oczu na pożegnanie z temi uroczemi miejscami, które miałem już nigdy nie oglądać, a które ukochałem, umiłowałem z całej duszy. Pomodliłem się potem nad grobem ukochanej siostry, zmarłej w wiośnie życia, a nabrawszy otuchy i odwagi wróciłem do domu.

Naczelnik dywizji jenerał Burhardt, którego byłem nietylko ręką ale i głową, rozpaczał po przeczytaniu najwyższego rozkazu o mojem przeniesieniu, upewniając, iż nie może zrozumieć, skąd to się wziąć mogło. Pułkownik Skwarców, którego uprzedziłem, że mu w łeb palnę, jeśli zrobi jakiś donos na mnie, przysłał jednego ze wspólnych znajomych, zaklinając się na wszystkie świętości, że to nie jego dzieło.

Oficerowie całej dywizji, dowiedziawszy się o tem co zaszło, zaczęli przysyłać do mnie listy pożegnalne i postanowili pożegnać mnie obiadem, ale Burhardt zabronił, grożąc, że wypędzi ze służby

każdego, ktoby nie usłuchał go, Skwarców bowiem powiedział Burhardtowi, że byłoby to manifestacją przeciwko rozporządzeniu carskiemu, żeby człowiekowi, który utracił zaufanie rządu robić owacje. „Ja sam, rzekł Burhardt do zebranych oficerów, bardzo cenię zasługi jego jako szefa sztabu i ja mu u siebie dam obiad pożegnalny, lecz na oficjalny nie zezwolę."

Dowiedziawszy się o tem, nie przyjąłem zaprosin jenerała. Jak tylko gruchnęła wieść o przeniesieniu mojem i o zabronieniu oficerom wyrażenia swego dla mnie współczucia, obywatele kowieńskiej gubernji pod przewodnictwem marszałka Żylińskiego prosili, abym przyjął od nich obiad pożegnalny. Pod wrażeniem przykrego uczucia, wywołanego niewdzięcznością mego naczelnika, który mi tyle zawdzięczał, przyjąłem zaprosiny, tem więcej że na obiad ten obywatelski zaproszono drogą Matkę moją, siostrę i całą rodzinę.

Obiad był huczny, gdyż urządzono go pod odkrytem niebem, w jednym z większych ogródków w mieście. Zebrało się kilkaset osób, a między niemi kilkunastu oficerów, którzy nie cenili zbyt wysoko służby i nie usłuchali rozkazu jenerała. Muzyka grzmiała, mówkom i toastom nie było końca. Gdy się obiad już kończył, z dwóch dragońskich pułków mojej dywizji przybyły deputacje żołnierzy, żegnając mnie imieniem pułków i wręczając mi fotografje zbiorowe wszystkich oficerów tych pułków.

Na drugi dzień po tym objedzie pożegnawszy rodzinę ruszyłem do Petersburga. Na czwartej wiorście za miastem, była wówczas leśniczówka, gdzie zebrała się młodzież kowieńska, żeby mnie uczcić jeszcze podwieczorkiem i miodkiem kowieńskim i pożegnać serdecznem życzeniem. Na pierwszej stacji pocztowej zrobili mi owację inżynierowie dróg i komunikacji, wszyscy moskale lub niemcy, którzy wyjechali tu z miasta naumyślnie, żeby się ze mną pożegnać, a w Wiłkomierzu spotkał mnie dowódca Kurlandzkiego ułańskiego pułku, na czele oficerów i prosił przyjąć zaproszenie na wspólną kolację, która nie obeszła się także bez mówek dziękczynnych. Po sutej uczcie z muzyką, ruszyłem dalej na północ i na trzeci dzień stanąłem w Peterburgu.

Pierwszą rzeczą moją było przedstawić się jenerał-kwatermistrzowi baronowi Liwenowi.

— Jaki był powód przeniesienia mego, zapytałem Liwena.

— Czyż Pan o tem nie wiesz? Naczelnik dywizji doniósł że Pan byłeś na obiedzie danym poecie Kondratowiczowi, na którym ten ostatni deklamował wiersze nieprzyjazne rządowi.

— Chociaż według zdania mego, nie mogę odpowiadać za to, co kto inny powie, muszę jednak powiedzieć, iż jestem obwiniony niesłusznie, bo nie byłem wtedy, gdy Kondratowicz deklamował, będąc wezwany na służbę do wyznaczenia wojsk dla uśmierzenia buntu włościan.

— To być nie może, naczelnik dywizji nie mógł zrobić fałszywego donosu.

— A jednak tak jest. Pan się możesz przekonać zapytując o tem telegraficznie gubernatora jenerała Chomińskiego, który może sprawdzić słuszność tego co powiadam.

— Natychmiast zatelegrafuję do niego, a tymczasem przedstaw się pan dyżurnemu jenerałowi.

Pojechałem do jenerała Gerstenzweiga.

Wypytywał mnie szczegółowo o stanie umysłów na Litwie i o zdanie moje co należało robić w Królestwie Polskiem. Przedstawiłem mu wierny obraz ogólnego rozdrażnienienia i radziłem aby dano krajowi pewne ustępstwa i gwarancje na przyszłość.

— O nie, tego zupełnie nie potrzeba, srogością można wszystko przyprowadzić do porządku, ja tego dowiodę, gdyż wkrótce jadę do Warszawy.

— A cóż się tam dzieje w Kownie w 1. kawaleryjskiej dywizji? Opowiedziałem co zrobił ze mną jenerał Burhardt.

— Proszę mi powiedzieć otwarcie, czy jest to człowiek zdolny do kierowania dywizją?

Oburzony postępkiem jego ze mną nie widziałem powodu szczędzenia go, powiedziałem, iż on zna tylko niższą szkołę kawalerji, dywizją zaś pokieruje wtedy tylko, gdy będzie miał zdolnego szefa sztabu; na dowód przytoczyłem okoliczność, że w trzech następujących po sobie rewjach wobec cesarza, dywizja tak się się źle przedstawiała, że ją z placu car spędził. Za ostatnią zaś rewję dał mu wstęgę Orła Białego. Przytem zwróciłem uwagę na to, że jest to człowiek bez wykształcenia.

— Ja sam tak o nim sądziłem, odrzekł Gerstenzweig, czas go uwolnić już na odpoczynek.

Na drugi dzień po widzeniu się z Liwenem otrzymałem od niego wezwanie.

— Wszystko coś mi pan powiedział okazało się prawdą. Ta świnia, naczelnik dywizji, nastraszony przez żandarma zrobił donos na pana, nie sprawdziwszy rzeczy. Panu należy się zadośćuczynienie. Już przedstawiłem pana do awansu na pułkownika.

— Dziękuję za to, lecz żądam żeby rząd wrócił mnie na dawną posadę, a ja sam potem podam prośbę o przeniesienie, gdyż rzeczywiście położenie moje w czasie manifestacji religijnych było nie do pozazdroszczenia.

— Żądanie pana jest słuszne, mam więc nadzieję, że będzie spełnione. Tymczasem zostanie pan przy departamencie jeneralnego sztabu, do dyspozycji mojej.

W kilkanaście dni potem cesarz znajdujący się w podróży, podpisał nominację moją na pułkownika, lecz nie zgodził się na powrót do Kowna, żandarmi bowiem donieśli, z jakiemi owacjami mnie stamtąd przeprowadzano. Kondratowicz był więziony w dwóch więzieniach, po krótkiej chorobie poszedł na cmentarz. Musiałem więc jechać do Kurska.

Przed wyjazdem napisałem list do Burhardta, wyrzucając mu jego niewdzięczność i jego nieuczciwy postępek ze mną. Odpowiedział mi na to 19. września 1861 r. listem, w którym mnie obwiniał, czemu mu nie opowiedziałem, co było na tym obiedzie. List ten zachowałem na pamiątkę, jako dowód, do jakiego stopnia jenerałowie moskiewscy byli źle wykształceni. W liście prawie jednego słowa nie było napisanego ortograficznie, a jenerał oprócz moskiewskiego nie posiadał żadnego innego języka.

W tydzień po moim awansie nastąpił rozkaz carski:

„Dla dobra służby, jenerała-porucznika Burhardta uwalnia się ze służby, a na miejsce jego mianuje się szefem 1. kawaleryjskiej dywizji jenerała-porucznika Kaufmana". Uwolnienie to ze służby, udzielone w takiej grubjańskiej formie, strasznie ubodło Burhardta. Omało go apopleksja nie tknęła. Adjutant jego opowiadał mi, że przeczytaniu ukazu o dymisji, zerwał z siebie epolety, deptał je nogami, mówił że on i cała jego rodzina włożą natychmiast żałobę i będą demonstrować razem z Polakami, bo podobne postępowanie rządu z jego wiernymi sługami jest haniebne.

Nieszczęście idzie zawsze w parze. Wkrótce potem jedyna ukochana ich córka umarła.

Tak zemścił zię na nim los za postępek podły, który popełnił idąc za podszeptem żandarma, upewniającego, że donosem tym uchroni siebie od możliwego zarzutu, a mnie w niczęm nie zaszkodzi, bo ja nie byłem przy improwizacji Syrokomli. Zręczny Skwarcow zrobiwszy swoje cudzemi rękami, mógł śmiało przysięgać, że nie on zrobił donos na mnie.

Po przybyciu do Kurska nająłem całe piątro w domu popa Aleksieja. Nowy mój naczelnik jenerał-porucznik Mikołaj Aleksiejewicz Stołpaków, był bardzo miły i wykształcony człowiek. W krótkim więc przeciągu czasu byliśmy już zupełnie na stopie przyjaznej. Zaprosił mnie, żebym codziennie przychodził na obiad do niego i na kolację, bo nieżonatemu trudno było prowadzić własne gospodarstwo. Rodzina jego składała się z żony, syna i dwóch córek.

Żona była kobietą z edukacją, lecz fanatyczka religijna i z takiemi przewróconemi pojęciami, że trudno sobie przedstawić coś podobnego. Za nic w świecie nie złamałaby postu, a ze spokojem sumienia zatrułaby życie mężowi i dzieciom, narzucając im swoją wolę.

Syn ich Aleksy, młodziutki oficerek huzarskiego pułku, niedawno wypuszczony ze szkoły podchorążych, zdolny bardzo, lecz mało rozwinięty chłopaczek, rwał się do życia i nudził się okropnie w małem prowincjonalnem mieście.

Starsza córka Helena, szesnastoletnie dziewczę, pięknie zbudowana, niezmiernie wdzięczna i zręczna we wszystkich ruchach jak gazella piękna i prawdziwa artystka w grze na fortepianie.

Młodsza nareszcie Ketty, dziesięcioletnie dziecko, blondyneczka ładna jak aniołek.

Przybycie młodego pułkownika, interesującego, bo mającego jakąś historję w przeszłości z żandarmami, nieżonatego, pełnego życia i ciekawych wiadomości zaczerpniętych w długiej podróży po świecie, było bardzo pożądanem w małem mieście. Od chwili przyjazdu zacząłem otrzymywać mnóstwo zaprosin, nie spieszyłem jednak ze znajomieniem się, rozglądając się naokoło, z kim mam żyć, a kogo unikać. Niestety, to co mi powiedział gubernator Den, było prawdą — nie było tu ludzi wartych żeby szukać ich przyjaźni. Obiady, hulanki i plotki były zwykłym codziennym pokarmem całej kurskiej społeczności. Nie smakowało mi podobne życie, postanowiłem więc ograniczyć niezmiernie kółko moich znajomości, a oddać się studjom nauk przyrodniczych, do których od dzieciństwa miałem niezmierny pociąg. Przez jednego z profesorów gimnazjum (Wierzyńskiego) dostałem potrzebne mi książki i zasiadłem do pracy nad astronomją i geologją. Wtedy to powziąłem myśl popularyzowania tych nauk, w taki sposób żeby zrobić je przystępnemi dla takich nawet, którzy otrzymali bardzo niewielkie początkowe wykształcenie. Mieszkanie napełniło się teleskopami, mikroskopami i różnemi narzędziami fizycz-

nemi. Całe dnie i część nocy pracowałem, tak, że ciemni okoliczni mieszkańcy, zaczęli mnie uważać za jakiegoś czarnoksiężnika i z daleka obchodzić dom, w którym mieszkałem. Wolne chwile spędzałem na przechadzkiach w okolicy, herbaryzowaniu, lub w towarzystwie rodziny naczelnika dywizji, albo w domu bardzo zacnego nauczyciela fizyki w tamtejszem gimnazjum.

Nudy, brak życia, do którego przywykłem, tęsknota za rodziną i za krajem, w którym mi tak dobrze było, wiadomości nareszcie z Polski, które mi zakrwawiły serce, wyrodziły jakiś chorobliwy nastrój nerwów, drażliwość, egzaltację. Przywiązałem się do Heleny, starszej córki jenerała i pokochałem ją całem sercem. Z przenikliwością ładnej kobiety prędko zrozumiała stan duszy mojej i czy to z kokieterji, czy dla zabawki zaczęła podsycać to uczucie, to uśmiechem, to półsłówkiem wielce obiecującem, to westchnieniem, albo grając mi całemi godzinami tak serdeczne, tak rzewne, a tak polskie melodje Chopina. Żeby się wywdzięczyć tej rodzinie za tyle przyjaźni, której doznałem od niej, ofiarowałem się przygotować do akademji ich syna i dawać lekcje matematyki ich córkom. Młody Aleksy przywiązał się do mnie szczerze. Przechodziłem z nim wszystkie nauki potrzebne do Wojennej Akademji, zwierzałem się mu z mych pomysłów w badaniach przyrodniczych i obudziłem w młodzieńcu taką wiarę, szacunek i miłość dla mnie, że poszedłby za mnie w ogień wodę. Korzystając z tego, starałem się w nim rozwinąć miłość prawdy wszystkie piękne przymioty i rzeczywiście udało mi się, bo wyszedł z niego bardzo zacny i szlachetny człowiek, chociaż następnie przeszedł na drogę rewolucyjną, do której go nigdy nie zachęcałem, wiedząc jak mało do tego była przygotowana Rosja.

Zamknięte życie moje nie podobało się mieszkańcom Kurska, zwłaszcza tym, którzy mieli córki na wydaniu. Nie miałem, bo nie szukałem przyjaciół, choć starałem się także nie narazić nikomu, ale na zajmowanem przezemnie stanowisku nie było to łatwem, tem więcej, że znalazłem w Kursku bardzo niebezpiecznego wroga w tamtejszym gubernatorze.

Jenerał Den był synem znanego ze złodziejstwa inżyniera, który budował fortecę Brześć Litewski. Mikołaj, na zapytanie czyjeś, ile kosztowała budowa tej fortecy odpowiedział: „to tylko Bóg wie i jenerał Den". Gubernator kurski był to despota czystej krwi, w całem znaczeniu tego słowa, w domu i na służbie, pasjonat nieprzywykły do tego, żeby mu się sprzeciwiało cokolwiek, samowolny, brutal i lubieżnik. W domu powstrzymywała go jesz-

cze nieco jego żona, ale za to na zewnątrz Den nie znał żadnego hamulca; nieraz kładł się ze złości na kanapę i tłukł nogami po niej, aż mu piana na usta występowała. Żeby pokazać do czego był zdolny ten człowiek, wspomnę o wypadku jaki się zdarzył w czasie mego pobytu w Kursku. Den objeżdżał powiaty, aby się przekonać o stanie dróg i mostów. Na granicy każdego powiatu spotykał go isprawnik (w Austrji starosta). W powiecie Sudży, przejeżdżając przez most w ciężkiej karecie, gubernator o mało nie wleciał do rzeki, bo kilka nadgniłych dylów załamało się. Rozwścieklony Jowisz prowincjonalny kazał zawołać sprawnika, wobec wójtów zebranych na przyjęcie gubernatora zhańbił go najbrudniejszemi słowami, wpadłszy w pasję, kazał go chłopom wziąć i utopić w rzece. „Ty mnie chciałeś utopić łajdaku, więc ja cię utopię". Chłopi pociągnęli nieszczęśliwego przełożonego swego, ubranego w mundur ze złotym kołnierzem do rzeki i zaczęli go pchać w głębinę. Gdy już woda zaczęła zalewać biednego starostę, a modlitwa jego, żeby Ekscelencja zlitowała się, jeżeli nie nad nim, to nad jego dziećmi, zaczęła cichnąć w zapasach z zalewającym go żywiołem, opamiętał się Den i kazał go puścić.

Ten to człowiek chciwy władzy ustawicznie mieszał się w sprawy wojsk stojących w gubernji i wymagał dla siebie takich wojskowych honorów, do których nie miał prawa i które mu się nie należały. Tego nie chciał uczynić naczelnik dywizji, starszy w randze od niego i ja mu tego nie doradzałem dopuszczać, w obawie, że te wymagania staną się jeszcze większe, jeżeli mu ustąpimy. Rozzłościło to Dena nadzwyczajnie, tak, że postanowił zemścić się na Stołpakowie i na mnie, jak tylko znajdzie sposobność, co w Rosji jest rzeczą nadzwyczajnie łatwą.

Znalazłszy dywizję pod względem administracyjnym i frontow dość lichym stanie, wziąłem się bardzo energicznie do dzieła postawienia pułków na takim stopniu wykształcenia wojskowego wewnętrznej gospodarki, jak pułki 1. kawaleryjskiej dywizji. Przed latem więc zacząłem objeżdżać pułki, opatrując je we wszystkich szczegółach. Miałem też w każdym pułku odczyty o zastosowaniu się wojsk do różnych miejscowości, o zdejmowaniu planów i obsłudze armat. Wszystkie uwagi moje w formie raportów odsyłałem do naczelnika dywizji, który zaraz po mnie miał zacząć inspekcję swoją. Przekonawszy się, ile uwagi moje o pułkach były słuszne i rady pożyteczne, jenerał Stołpaków pisał do mnie z drogi: „sądziłem, że pan jesteś tylko doskonałym szefem sztabu,

ale przekonuję się, że posiadasz znakomite wiadomości jako oficer kawalerji". List ten zachowałem jako pamiątkę mej pracy w trzeciej kawaleryjskiej dywizji.

Po ukończeniu inspekcji jenerał Stołpaków dowiedział się, że jest jakiś donos na nas obydwóch, ale jaki — niewiadomo i że donos ten zrobił Den. W Rosji nic tak prędko i tak radykalnie nie może zgubić człowieka, jak donos polityczny, bo temu wierzą zawsze. „Niebłagonadjożnyj", to człowiek nie zasługujący na zaufanie rządu, jest terminem rak strasznym, że jeżeli dotknie kogo, już go nic oczyścić nie zdoła od podejrzeń i zarzutów, często glupich do śmieszności. Taki człowiek, jeżeli niema własnych środków, a żył tylko ze służby, zginąć może nędznie, a nikt mu ręki nie poda z obawy, żeby go nie podejrzywano o wspólnictwo.

W miesiąc potem w rozkazie wojskowym podpisanym przez cara jenerał Stołpaków został uwolniony ze służby naczelnika dywizji, a ja zostałem przydzielony do Wojennego Ministerstwa do osobnych poleceń.

Jednocześnie otrzymałem list bezimienny z Warszawy, uwiadamiający o mającym nastąpić wybuchu powstania i wzywający, abym się stawił tam, gdzie Ojczyzna wzywa. Ciężką musiałem stoczyć walkę z sobą nim się zdecydowałem porzucić tak świetnie rozpoczętą karjerę i pójść do powstania, nie mając najmniejszej wiary w powodzenie. ...Długo walczyłem, ale obowiązek zwyciężył. Postanowiłem jechać do Petersburga, wziąć tam dymisję, a wyjednawszy paszport zagraniczny, wyjechać do Galicji. Przyjąć dowództwo na Litwie, gdzie mnie chciano widzieć i dokąd serce ciągnęło, nie mogłem, obawiając się narazić rodzinę moją na zemstę Moskali. Zdecydowałem się zerwać wszystkie stosunki z przeszłością i zacząć zupełnie nowe życie. Dziś nawet wypowiedzieć nie umiem, ile wtedy cierpiałem, ale rana zagoiła się, a uczucie spełnienia obowiązku dało spokój, który dla człowieka jest największym darem Nieba!

Po przyjeździe do Petersburga udałem się do jenerał-kwatermistrza, aby dowiedzieć się, jakiego rodzaju obwinienie dosięgło mnie znowu — ale on nic nie wiedział. Dał mi tylko polecenie przedstawić się na drugi dzień jen. Milutynowi, wojennemu ministrowi, memu dawnemu profesorowi statystyki wojennej w Akademji jeneralnego sztabu.

Na drugi dzień stanąłem w sali recepcyjnej wraz z innymi mającymi prośby do ministra. Po rozmówieniu się ze wszystkimi,

minister pozostał sam na sam ze mną. — Jesteś Pan, rzekł do mnie, obwiniony o różne rzeczy, świadczące o nieprzychylnem usposobieniu pańskiem dla rządu cesarskiego.

— Nic nie wiem, o co jestem obwiniony i rad byłbym dowiedzieć się tego, nie wierzę bowiem, żeby mnie można było potępić za to, że nie żyłem z kurską szlachtą i urzędnikami, lub że nie piłem u gubernatora na obiedzie zdrowia carskiego szampanem lecz wodą.

— A czemuż to pan robiłeś? — Dlatego, że przy pierwszem poznaniu się z gubernatorem Denem, ten mi powiedział: „żałuję pana, żeś tu przyjechał na służbę, bo u nas każdy szlachcic bez wyjątku jest albo świnia albo podły. Piłem zaś na obiedzie wodę a nie szampańskie, bo wogóle żadnego wina nie piję.

— Były tam i drugie obwinienia.

— Chciałbym wiedzieć o nich, aby mieć możność usprawiedliwienia się.

Widać, że obwinienia te nie zawierały nic ważnego, bo minister widocznie wstydził się je powtórzyć.

— Nie będę mówił o nich, bo to i tak do niczego nie posłuży, powiadam tylko panu, że jeżeli pan chcesz służyć nadal, to należy służyć uczciwie, jeżeli zaś nie, to lepiej rzucić służbę.

— Panie jenerale, odrzekłem, jako Polak uważałem siebie zawsze za najemnika w rosyjskiej armji, ale dopóki noszę epolety i szablę, możecie być pewni, że służę uczciwie i jak należy, a najlepiej to poświadczy mój awans tak prędki i nagrody, któremiście mnie przez 17 lat obsypywali, nareszcie usługi, które oddałem wojsku, jako szef sztabu. Gdy pójdę do dymisji, to będę uważał siebie za zwolnionego od wszelkich zobowiązań.

— Tak powinien robić każdy uczciwy człowiek.

Na tem skończyła się audjencja.

Wyszedłszy od ministra, postanowiłem skorzystać z pretekstu i natychmiast porzucić służbę w wojsku moskiewskiem; udałem się więc do Jenerał-kwatermistrza Wierowkina, który mi okazywał nadzwyczaj wielką sympatję i opowiedziawszy mu rozmowę z ministrem, prosiłem o dymisję.

— Cóż pan robić będziesz po wyjściu do dymisji.

— Pojadę za granicę i będę się kształcić w agronomji.

— Szkoda pana, zostań z nami, pojmuję położenie każdego Polaka w teraźniejszym czasie... dam panu miejsce takie, do którego wielu wzdycha, żeby pana odsunąć od polskich wypadków; dam panu miejsce Oberkwatermistrza wschodniej Syberji, tylko

nie porzucaj pan służby, bo chciałbym zatrzymać w jeneralnym sztabie zdolnego i porządnego człowieka.

— Nie panie jenerale, dziękuję za dobre chęci, lecz nie chcę teraz być nigdzie w służbie, gdy powrócę z zagranicy, po roku lub po dwóch, wtedy pomyślę co z sobą zrobić.

— Dobrze więc, odrzekł Wierowkin, dymisję pan otrzymasz, lecz jeszcze raz oświadczam panu, że przyjmę pana z otwartemi rękoma zawsze „jeżeli pan nie zerwiesz stosunków z Rosją".

Wierowkin domyślał się po co wybierałem się za granicę. Pożegnaliśmy się bardzo serdecznie. Doręczyłem mu na odjezdnem pisane po moskiewsku, tylko co wyszłe z pod prasy moje „Obrazy wszechświata".

W początku maja 1863 r. otrzymałem dymisję, w parę tygodni potem uporządkowałem moje interesa majątkowe, ile było można i otrzymałem paszport za granicę.

Prawie na wyjezdnem przyszedł do mnie Zygmunt Sierakowski, który niedawno ożenił się z panną Dalewską. Był on w rozpaczy, że powstanie wybuchło i płakał przedemną rzewnie, iż musi rzucić wszystko i iść na wezwanie kraju, nie mając żadnej wiary w powstanie, żadnego zaufania w szczęśliwy rozwój wypadków. — „Mój kochany, rzekłem, teraz już płakać zapóźno, gdy działać czas i gdy potrzeba życie oddać za kraj. Bądź zdrów, może obaczymy się na polu bitwy, a może już nie obaczymy się nigdy".

Rzeczywiście to było nasze ostatnie spotkanie. Przed wyjazdem postanowiłem się jeszcze pożegnać z kolegą lat dziecinnych i młodzieńczych, kapitanem Dragomirowem, rusinem, z którym kilkanaście lat żyłem w największej przyjaźni, dzieląc się ostatnim groszem, ostatnim kęskiem chleba. Był on wtedy profesorem taktyki i strategji w akademji jeneralnego sztabu.

— Kto wie czy w życiu obaczymy się jeszcze. Obowiązek wzywa mnie do Polski, gdzie prawdopodobnie czeka mnie śmierć. Bądź zdrów Michale, dziękuję ci za przyjaźń twoją i życzę ci szczęścia zdrowia i powodzenia.

— Prawdopodobnie i ja pojądę do Polski. Jestem profesorem taktyki, a nie byłem w żadnej bitwie, nie wypróbowałem swych zdolności, w wojnie w Polsce będę mógł przestudjować przynajmniej działania wojsk w małych oddziałach i wojnę podjazdową.

— Poczekaj Michale, być może wkrótce będzie jaka większa wojna, tam wypróbujesz zdolności swoje, bo żaden uczciwy

człowiek teraz nie powinien iść do Polski, teraz gdy naród tyle lat gnębiony i nieszczęśliwy dobija się swobody i praw ludzkich.

— A co to mnie obchodzi! pojadę. Gdybyśmy się spotkali, wybacz mi, jeżeli ci kulę w łeb wsadzę.

— Wiesz co Michale, odpowiedziałem — byliśmy przyjaciółmi od lat dziecinnych i lepszego przyjaciela nie miałeś, jeżeli więc spotkamy się, to każ komu innemu, żeby do mnie strzelał i nie rób mnie przed smiercią tej przykrości, abym ginął z ręki najbliższego człowieka, bo jeżeli ja cię spotkam, to strzelać nie będę.

Taka była rozmowa i takie pożegnanie dwóch przyjaciół od serca — Polaka i Rusina.

WYJAZD Z PETERSBURGA DO POWSTANIA

Na brzegu Newy, między dwoma sfinksami egipskimi, stojącymi naprzeciwko petersburskiej Akademji sztuk pięknych jest przystań parostatkowa. Tu dnia 26 maja 1863 zebrało się grono przyjaciół moich Moskali, odprowadzających mnie do Kronsztatu, gdzie miałem przesiąść na szwedzki statek i udać się do Altony. Wszyscy wiedzieli dokąd i po co jadę, bo przed nimi nie taiłem zamiaru mego udania się do powstania. Dymisja ze służby i paszport zagraniczny głosiły, że jadę dla ratowania zdrowia do wód mineralnych.

O czwartej popołudniu podjęto kotwicę i parostatek ruszył z miejsca. Muzyka najęta grała nam w ciągu całego naszego przejazdu, to jest dwie godziny. Rozmowa toczyła się wesoło, wino ożywiło ją jeszcze: „Jedź Iwanie Teodorowiczu kurować się, szczęść ci Boże, a jak się wyleczysz, dopomóż i nam do odzyskania zdrowia", wołali moi towarzysze podróży.

Gdym przesiadł na statek szwedzki i dano znak odjazdu wszyscy odprowadzający mnie na parostatku, zdjęli czapki i tak stali długo, długo, póki tylko można było widzieć siebie wzajemnie. Tak pożegnałem się z Petersburgiem. „W dwie godziny po odjeździe Twoim, pisał potem brat do mnie, przyszła rewizja do domu, w którym mieszkałeś i rozkaz aresztowania ciebie".

Na parostatku obok mojej kabiny, znajdowała się kabina młodego Moskala, jadącego dla studjowania filozofji na uniwersytecie Heidelberskim. Śliczny widok zachodzącego słońca na morzu zupełnie cichem, wywabił wszystkich pasażerów na pokład. Jakoś zawiązała się rozmowa między nami; młodzieniec był miłym i wykształconym, znajomość zawarliśmy prędko i odtąd podróżowaliśmy razem do Bremy i do Hamburga. Z Hamburga wy-

ruszyłem do Brukseli, dążąc do Francji, gdzie miałem otrzymać wskazówki gdzie mam się udać dalej i co robić. Pożegnanie z towarzyszem podróży było szczere i serdeczne; widocznie przywiązał się do mnie, gdyż mu niezmiernie imponowało, jak sam mówił to spełnienie obywatelskiego obowiązku, bez żadnej wiary w udanie się powstania, czego nie skrywałem przed nim. Rzeczywiście wychowany wojskowo wśród Moskali, znając potęgę militarną państwa, znając dokładnie organizację wojskową nieprzyjaciół, nie byłem w stanie przypuścić ani na chwilę, że powstanie nasze nie będzie zgniecione w krótkim czasie. Lecz będąc najzdolniejszym wojskowo z braci, uważałem, iż na mnie wypadł los iść na straconą pikietę i krwią moją spłacić dług Ojczyźnie. Och! nie łatwe jest poświęcenie się, gdy się nie ma wiary w możność udania się przedsięwzięcia. Żegnałem kraj, żegnałem w myślach matkę, siostry i braci, których już nigdy nie miałem obaczyć, żegnałem marzenia młodości idąc na pewną śmierć z przekonaniem, że nie będzie nawet komu odnieść ostatniego pożegnania syna i brata osobom, które tak kochałem i wskazać miejsce gdzie kości moją leżą! Jakżesz silną jest w człowieku chęć pozostawienia po sobie wspomnienia i jakiejś pamiątki!...

W Brukseli za wskazówką Lublinera odszukałem dwóch młodych ludzi, którzy mienili się ajentami Rządu Narodowego na Belgję. Był to Olgierd Sabiński i Zdzisław Paszkowski. Zażądałem od nich wskazówek, do kogo mam się udać w Paryżu dla otrzymania przeznaczenia do oddziału. Panowie ci zachowali się względem mnie bardzo tajemniczo i z początku byli bardzo niezadowoleni, że mi ich wskazano. Lecz przekonawszy się, że nie przychodzę żądać od nich pieniędzy na drogę, zbliżyli się nieco i udzielili mi potrzebnych adresów. Na wyjezdnem przybyli do mnie obaj z żądaniem, żebym im pożyczył na sprawy narodowe 1200 zł. r., gdyż nie mogą się doczekać pieniedzy od Rządu Narodowego, które miały przybyć co chwilę i dlatego nie mogą spełnić poleceń jego. Oddając w rozporządzenie tego niewidzialnego Rządu życie, wierząc w sumienność urzędników przez niego ustanowionych dałem natychmiast ustanowioną sumę. Niestety! było to pierwsze oszustwo, którego padłem ofiarą, a w następstwie jeszcze z tego powodu, bardzo przykre zajście. Panowie ci niemieli żadnej misji od Rządu Narodowego, a siedzieli w Brukselli zdaje się dlatego, że nie mieli ochoty iść na plac boju, dokąd biegła cała młodzież polska.

Przy rewizji na granicy francuskiaj urzędnik celny zobaczywszy w walizce rewolwer i kilkaset nabojów, zapytał. — Co to znaczy? — Je suis Polonais, odpowiedziałem. — Proszę zamknąć. odrzekł grzecznie uchylając czapki i przeszedł do drugiego.

Po przyjeździe do Paryża, udałem się do pana Ordęgi, który przyjmował bardzo czynny udział w pracach poza granicami kraju, należąc do komitetu paryskiego z ramienia Rządu Narodowego. Jako znający dobrze kraj i jego stosunki, a szczególnie Żmudź i Litwę, zaproponowałem mu trzy projekta: 1. Niedawno przed tem papież Pius IX., bardzo sympatycznię odezwał się o naszym powstaniu i błogosławił kraj cały. Mowę jego przetłumaczoną w głównych zarysach na język żmudzki i wydrukowaną złotemi literami, radziłem rozrzucić na Litwie pomiędzy ludem, dla obudzenia w nim patrjotyzmu i przychylności dla sprawy polskiej. Znając religijność ludu byłem przekonany, że czyn ten może nam przysporzyć wiele ludzi i wiele sympatji u ludu. 2. Proponowałem, żeby natychmiast Rząd Narodowy przystąpił do fabrykacji moskiewskich papierowych pieniędzy na potrzeby sprawy narodowej. Gdyby rząd moskiewski nie przyjmował tych fałszowanych pieniędzy, poderwał by swój własny kredyt w Królestwie, a wtedy Rząd Narodowy mógłby wypuścić polskie banknoty mogące mieć kurs w kraju. W razie zaś przeciwnym wojnę prowadzilibyśmy na koszt nieprzyjaciół naszych. 3. Na Litwie od r. 1831, imię Henryka Dembińskiego było niezmiernie popularnie, jako wielkiego bohatera. Staruszek żył wtedy w Paryżu. Proponowałem. żeby uproszono go jechać na Litwę i objąć dowództwo nad tamecznem powstaniem, któreby wskutek tego mogło urosnąć do bardzo wielkich rozmiarów, a kierowane ręką zdolną i przez człowieka mającego takie nieograniczone zaufanie kraju, może przynieść wielkie korzyści powstaniu.

Pan Ordęga uznał słuszność i pożyteczność projektów, a co do pierwszego, odesłał mię do ajenta Wydziału Litwy do zakupna broni p. Achillesa Bonoldiego; o drugim obiecał pomówić w komitecie, a w trzeciem chciał się przekonać czy Dembiński podjąłby się takiego przedsięwzięcia.

Udałem się więc natychmiast do p. Bonoldiego. Ze zdumieniem obaczyłem, że to ten sam, którego w Litwie znałem jako nauczyciela tańców, człowieka nijakiego, niedołęgę i strachajłę. Niezmiernie był zakłopotany, gdy mu powiedziałem, iż jestem do niego posłany, jako reprezentanta Litwy, bo on chciał widocznie, żeby żywa dusza nie wiedziała o tem, bo się bał niezmiernie

rządu moskiewskiego... w Paryżu! Wysłuchawszy mnie, uznał słuszność propozycji mojej i przyrzekł, że będzie natychmiast spełniona, bo jest rzeczywiście przekonany, że to wywrze wielce dobry wpływ na fanatyczny lud litewski. Obiecanka jego była tylko odczepnem, bo sprawa ta została przez niego zapomniana i nawet jej nie poruszył na zebraniu członków komitetu.

Następnie byłem u Dembińskiego, z którym znałem się jeszcze od r. 1855, u którego miałem wielką łaskę z powodu przygotowania do druku dziełka, traktującego o słynnym jego odwrocie ze Żmudzi. Staruszkowi bardzo się podobała myśl moja. Dobrze, jadę! wprawdzie jestem już stary, ale żołnierzowi milej jest umierać na polu bitwy, niż w łóżku, tylko nie mogę być tak czynnym jak dawniej, pójdę więc na Litwę, jężeli zgodzisz się być moim szefem sztabu. Ma się rozumieć, że mu obiecałem natychmiast. Chodziło tylko o to, żeby reprezentacja Rządu Narodowego prosiła go o to, bo samowolnie nie chciał postępować. Dla uzyskania tego zaproszenia pojechałem do doktora Seweryna Gałęzowskiego, który był jednym z głównych członków komitetu paryskiego.

Gałęzowskiego znałem także jeszcze z r. 1858. Znalazłem go niezmiernie zajętego. Ciągle przerzucał Niesieckiego i rozpatrywał różne herby. Przeprosił, że niema teraz czasu, ale zaprosił mnie na drugi dzień na obiad i wtedy mieliśmy się porozumieć, pod względem moich propozycji. Na drugi dzień, mój amfitrjon był tak samo zajęty i zawsze Niesieckim, tak, że przed obiadem nie miał czasu pomówić ze mną, a w czasie obiadu były obce osoby, przy których mówić o tem nie wypadało. Po obiedzie oświadczył mi, że może ze mną pomówić tylko za dni parę, bo musi gdzieś wyjechać. Zaciekawiony nadzwyczajnie, jaka to jest ta ważna sprawa, którą się zajmuje Gałęzowski czerpiąc natchnienie w Niesieckim, gdy wyszedł do drugiego pokoju zajrzałem do książki i obaczyłem, że był to projekt nowej pieczątki Rządu Narodowego i że chodziło o zdecydowanie czy w herbie Rusi św. Michał ma trzymać tarczę podjętą do góry, czy tak, jak basetlę u nóg. Ta to więc była ważna sprawa, dla której nie mogłem przez dwa dni otrzymać wysłuchania moich propozycji. Byłem jeszcze parę razy, lecz przekonawszy się, że nic nie wskóram, zdecydowałem się pójść do Ordęgi i zapytać co to znaczy. Dowiedziałem się, że Hotel Lambert, u którego Dembiński był w niełasce, nie chciał żadną miarą poprosić starego, żeby jechał na Litwę, a jenerał nie chciał wyruszyć w drogę, nie mając mandatu Rządu Narodowego.

Cała więc ta sprawa dla osobistych nieprzyjaźni nie przyszła do skutku, choć wszyscy przyznawali, że mogła być niezmiernie korzystną dla powstania naszego. W rok potem Dembiński umarł.

Co się tyczy robienia fałszywych papierków moskiewskich, myśl moja nie była dla nich nową, komitet już bowiem zastanawiał się nad nią, lecz tak powoli, jakgdyby wieki miał przed sobą spokoju i zaczęli przeprowadzać ją do skutku wtedy, gdy już powstanie upadło i gdy produkcja ta mogła posłużyć tylko prywatnym osobom, nie krajowi, gdy stała się krzywdą nie nieprzyjaciół, a kraju, w którym emigracja dostała przytułek; zamiast więc uczciwej obrony wolności, posłużyła tylko do zbrodniczego zadowolenia potrzeb osobistych!

Widząc, że przesiadywanie dłuższe w Paryżu tylko bezużytecznie czas zabija, w tydzień po przyjeździe, otrzymawszy od p. Ordęgi rekomendacyjny list do p. Konrada Wenzla w Krakowie, wyruszyłem do Austrji. Zacny p. Wenzel przyjął mnie szczerze, serdecznie i tak sympatycznie, że od razu zyskał me zaufanie i przyjaźń. Otrzymawszy od niego list do majora Ruszczewskiego podszefa sztabu jen. Wysockiego i zostawiwszy u niego list mój pożegnalny do matki, gdybym nie wrócił z wyprawy, wyruszyłem do Lwowa.

Nie znając nikogo we Lwowie, bardzo długo nie mogłem odszukać Ruszczewskiego, który zachowywał się dość tajemniczo, chociaż jeszcze wtedy rząd austrjacki nie prześladował, nie więził nikogo. Mieszkałem jeszcze wtedy w Hotelu Langa, a nie mając żywej duszy znajomej, błądziłem od rana do wieczora po pięknych ulicach Lwowa. Brak towarzystwa ludzi był dla mnie niezmiernie dotkliwym, bo do życia pustelniczego nie przywykłem bynajmniej. To też smutek i tęsknota gnębiły mnie niezmiernie Często wdrapawszy się na wierzchołek Piaskowej góry i zwróciwszy się ku północy, gdzie zostawiłem wszystko to co kochałem, całemi godzinami tam siedziałem, bo to mi ulgę sprawiało.

Zaledwo w dziesięć dni po przyjeździe do Lwowa udało mi się obaczyć pana Ruszczewskiego. Oświadczył mi pan major, że list Wenzla przeczytał jen. Wysockiemu, lecz, że jenerał polecił mi powiedzieć, iż nie ma możności dać mi żadnego dowództwa, bo są już oddawna wszyscy powyznaczani.

Odpowiedziałem mu na to, że nie miałem nigdy zamiaru starać się o to, bo będąc oficerem wojsk regularnych, nie znam się z partyzantką, nie umiem kierować ludźmi, nie pojmującymi dyscypliny wojskowej, chcę więc walczyć tylko jako prosty żoł-



Sawicki w ostatnich latach życia.

nierz w piechocie lub kawalerji. Gdybym się z czasem poczuł na siłach podjąć czegoś ważniejszego, a moje wiadomości wojskowe umiał wykazać na polu bitwy, wtedy poprosiłbym o dowództwo jaką częścią osobną.

— Muszę uprzedzić pana, że koni mamy ilość dostateczną, dla oddziału, ale siodeł nie mamy dla oficerów i pieniędzy nam braknie na ich zakupno. Dowiedziawszy się, że siodło kosztuje 60 zł. r., dałem te pieniędze panu Ruszczewskiemu, prosząc go, aby znając dobrze miasto, kazał mi kupić siodło od Stromengera i oddać na miejscu zbioru oddziału.

29. czerwca otrzymałem uwiadomienie, że mam się udać do Wysocka pocztowemi końmi, a stamtąd będę odesłany na punkt zborny. Jutro więc będę w oddziale, a pojutrze może się zetrzemy z nieprzyjacielem, może to już ostatnia chwila życia, a wkoło ani jednej przyjaznej duszy, któraby rękę wyciągnęła na pożegnanie, ani jednego człowieka, któryby interesował się tobą, ani jednego ktoby mógł przesłać moim drogim ostatni ukłon, ostatni uścisk. Boże! z jakiej miękkiej gliny człowiek jest ulepiony i jak mu potrzebna ta wiara w nieśmiertelność duszy...

W Wysocku mieszkał p. Vivien, który przyjął mnie bardzo gościnnie. Kilka godzin przepędzonych w jego kółku rodzinnem zostały mi długo w pamięci jako jedno z najmilszych wspomnień pierwszych chwil mego pobytu w Galicji. Po obiedzie pożegnawszy się z gospodarstwem, w towarzystwie p. Czapskiego (nowokreowanego przez Langiewicza jenerała), wyruszyłem w lasy berlińskie, gdzie ściągał się oddział jenerała Wysockiego.

GALICJA W CZASIE POWSTANIA

Artykuł ten pisałem pod wrażeniem tego, co widziałem w kraju w 1863—1864 latach. Od tego czasu ogromnie wiele się zmieniło na lepsze, ale dla zachowania w pamięci, jak to też było jeszcze nie tak dawno w Galicji, powtórzę dziś to, co pisałem w owym czasie.

Niemcy wymyślili dla Austrji historyczną misję — cywilizację nawpół dzikiego południa Europy. Cóż to jest ta austrjacka cywilizacja, jakie zadania ona rozwiązała, oprócz urządzenia policji i zastosowywania różnych kar, co ona zrobiła w politycznym, handlowym lub ekonomicznym względzie?

C. k. cywilizacja jest to uciemiężenie wszystkich narodowości, niemczęnie ich. Lecz ani my, ani Włosi, ani Węgrzy nie chcemy stać się Niemcami, nie jesteśmy zdolni do przyjęcia niemieckich państwowych form życia. Cywilizować siłą jest to jedna z najokropniejszych myśli, bo bezdusznym działaniom nadaje się imię dobroczynności. Czas pędzenia rózgą do szkoły już przeszedł! Oprócz tego Austrja źle cywilizuje, — spojrzyjcie na Czechów.

Dwóch stuleci użyła Austrja na niszczenie systematyczne wszystkiego co było niezależnem i narodowem w tym ludzie. Austrja popełniła takie zbrodnie, przed któremi bledną zbrodnie protestanckiej Anglji w Irlandji. Kary, konfiskaty, prześladowania ciągnęły się przez kilka pokoleń pod kierunkiem biurokratów, na rozkazy których było oddane bydlęco-okrutne wojsko, które zachowało jeszcze w pamięci tradycję Walenstajnowskich czasów i trzydziestoletniego rozboju. Wieszali, siekli, morzyli głodem w więzieniach, palili książki, grabili, przesiedlali i doszli do tego, że arystokratyczna mięszanina i część mieszczan stała się niemiecką, a lud został czeskim, i w pierwszej chwili gdy tak zmę-

czony opuścił rękę i dał odpocząć ofierze — pojawiła się zupełnie niespodzianie cała czeska literatura.

Czy gdziekolwiek indziej udało się Austrji zaszczepić germanizm? Nigdzie! Nawet narodowe niechęci, naprzykład między Słowianami i Węgrami po roku 1848 zaczęły niknąć wobec nienawiści do wspólnej ojczyzny. Dopóki Austrja schlebiała narodowościom i rozdmuchiwała nieprzyjaźń, niechęć pozostawała, lecz gdy po 1848 zaczęła wszystkich przyprowadzać do jednego mianownika, przekonawszy się że z czasem może się nie uda walka z narodowościami, wtedy ludy pojęły, gdzie się znajduje ich wróg prawdziwy.

Polityka austrjacka w drugiej połowie bieżącego stulecia ogranicza się na ciągłem poskramianiu, duszeniu, morzeniu z jadowitą złośliwością, ze skąpą chciwością, z dumną zuchwałością i z zimnem brutalstwem koszarowem. Ruch umysłowy w Austrji nigdy nie był silnym, żeby uzyskać jakiekolwiekbądź prawa. Wiedeń jest sławny kuchnią swą, obżarstwem i pokątną rozpustą. Literatury niema. Kilka znakomitych uczonych są albo słowianie albo cudzoziemcy. A gdzież są świetne wspomnienia tego państwa? Czas największej jego siły, czas płaczu i jęku narodów, panowanie Karola V., tego głazu rzuconego na drodze ludzkości, który mroził żywe resztki dawnej Europy i nowe pączki. Nie było pięknych dni i po zwycięstwie nad Napoleonem, bo zaraz na drugi dzień po tryumfie poczęły się policyjne śledztwa, któremi Austrja zajmowała się do r. 1848 i po 1848. Wojenne sądy tajemne, kije, łańcuchy, carcer durum na 10, 15 i 20 lat. Czy to nazywa się cywilizacją?

Cała historja narodów zbitych żelazną państwową obręczą jest i była historją męczeństwa, krwi, łez i przekleństwa!

Galicja z Krakowskiem zachowały także swą polskość pomimo germanizatorskich wysiłków, ale spojrzyjcie co się tam dzieje: miasta w ruinach, pamiątki narodowe zniszczone lub zbezczeszczone brutalstwem żołdackiem, fundacje dobroczynne skradzione przez rząd, niemiec zasiadł w trybunale, niemiec zasiadł w szkole i w kościele, klasy ludności pokłócone stoją przeciwko sobie, wszystko odarte przez rząd, wspólną tylko mają niedolę i wspólne uciemiężenie!

Konstytucja, sejmy, są to blichtry, bo pogwałcenie jak jednej tak i drugiej stało się rzeczą powszednią. Opinja publiczna tak się do tego przyzwyczaiła, że odwraca się z obojętnością, lub z niemem oburzeniem przed farsą, która nazywa się reprezen-

tacją kraju, a której członkowie nie mogą wypędzić ze swego grona Chomińskiego[1]), złowionego na kradzieży, dlatego tylko, że on zawsze głosuje w myśl rządu. W publicznem wychowaniu obliczono z największą przezornością żeby powstrzymać rozwój umysłowy i swobodę myśli, a głowy wszystkich poddanych trzymać w ciągłym stanie oblężenia. Cała administracja cywilna od góry do dołu kradnie. Proces Brucka i Einantena, ministrów obwinionych o kradzież kilkunastu miljonów, został zaniechany, nie z powodu ich samobójstwa, lecz dlatego, że w kradzieży tej były zamieszane osoby stojące blisko tronu. Ministrowie austrjaccy (Metternich) otrzymywali żołd od rządu rosyjskiego, a namiestnicy Galicji ordery z Petersburga, niżsi zaś urzędnicy — łapowe od moskiewskich policyjnych ajentów (Merkel) za szpiegostwa. Zdemoralizowanie od góry do dołu tak wielkie, że każdy sprzeda się temu kto da więcej. Z historji wiadomo, że gdy Marja Teresa prowadziła wojnę z Fryderykiem II, mąż jej był liwerantem owsa i siana dla pruskiej kawalerji. Rząd Narodowy powstańczy nie miał takich wielkich środków jak Fryderyk II, nie mógł więc przekupywać z góry, ale za to z dołu rzecz się zawsze udawała. Podpułkownik Kunze za 400 zł. r. za które sprzedał swego kulawego 25-letniego konia powstańcom, obiecał nie przeszkadzać jenerałowi Wysockiemu w czasie wyprawy jego na Wołyń, ale jako prawdziwy rycerz teutoński dał o tem wiedzieć władzom moskiewskim, także pewno nie za darmo. List jego był przejęty przed samą radziwiłłowską bitwą przez powstańców.

Że w administracji panuje samowola, bezprawie i rozbój, można się przekonać czytając krajowe dzienniki, notujące wypadki dzienne. Dziś hr. Mensdorf Pouilly, namiestnik Galicji tak mocno uderzył w twarz jakiegoś Niemca, śpieszącego po doktora do chorej żony, że ten się krwią oblał, wczoraj jenerał Reichard zdarł kapelusz z głowy panny Papary, która przyszła obaczyć się ze znajomymi siedzącymi w więzieniu; tam znowu patrol strzelała do spokojnie przechodzącej ludności, nie wezwawszy nawet żeby się rozeszła i t. d.

Ale nie skończyłbym tego wykazu tak prędko, a obiecałem pomówić o stanie galicyjskiego społeczeństwa i jak przystoi

---

[1]) Joachim Chomiński, rusin, komisarz tarnowskiego obwodu skompromitowany w czasie rzezi, kreatura rządu austrjackiego, następnie dyrektor policji, wybrany później w r. 1861 jako kandydat ruski na posla, był ostoją stronnictwa rządowego. Wskutek nadużyć przy wyborach sejm wybór unieważnił, ale rugów dokonano dopiero w r. 1863.

w arcy-katolickiem i apostolskiem państwie, zacznę od duchowieństwa.

Stan duchowieństwa w Galicji jest smutny. Rząd widząc, że duchowieństwo może okazać wielki wpływ na naród, umie zręcznie siać w nim rozdwojenie i osłabić kongregacyjną siłę tego stanu, przywiązując do siebie wyższe duchowieństwo za pomocą materjalnego interesu. Każdy biskup ma krewnych, ma siostry i braci, kuzynków i kuzynki, które karmić należy: ma długi, które go niepokoją, a na zaspokojenie wszystkiego tylko te dochody, które rząd im wziąć pozwala. Biskup tarnowski Wojtarowicz stracił djecezję za to, że nie chciał dopomagać rządowi do zatarcia śladów udziału rządu w rzezi szlachty w Galicji. Cóż więc dziwnego, że w biskupach rząd po większej części ma najniższych sług swoich, najpokorniejszych wykonawców rozkazów administracyjnych. Kto uwierzy temu, że administrator djecezji krakowskiej ks. Gałecki do tego stopnia utracił wstyd wszelki, że djecezję objeżdżał w austrjackiej czapce wojskowej z orzełkiem dwugłowym, że od rana do nocy siedział w przedpokoju Merkla, wroga Polaków, płatnego przez Moskali. Arcybiskup Wierzchlejski dawniej był bardzo liberalnym biskupem, pisał i mówił kazania w duchu narodowym, gdy zawakowało arcybiskupstwo, na obietnicę rządu, że otrzyma to miejsce jeżeli odwoła publicznie to co pisał i mówił, spełnił życzenie rządu. Ten sam Wierzchlejski w r. 1847 otrzymał z Wiednia ministerjalne wezwanie, żeby w djecezji przemyskiej dał rozkaz wszystkim księżom nie odmawiać absolucji tym chłopom, którzy należeli do rzezi. Gdy po raz pierwszy zwołany był Sejm, szlachta wiedząc o rozkazie przysłanym z Wiednia, żądała od biskupa, aby okólnik ten zakomunikował Sejmowi, Wierzchlejski z początku wymawiał się, potem obiecał, że sam go przeczyta w Sejmie, ale gdy Sejm nastąpił, złamał obietnicę. Biskup Monastyrski sprzedał i duszę i ciało swe władzom, nawet posłuszeństwo głowie kościoła, bo gdy Pius IX nakazał publiczne nabożeństwa za Polskę i zgromił Aleksandra II, przepowiadając mu karę boską, w Galicji nakazano, żeby nigdzie nie było nabożeństwa za Polskę, tak bowiem zarządzili Wierzchlejski i Monastyrski.

To co z góry występowało w całej nagości bezwstydu, na dole musiało znaleść echo tem silniejsze, o ile przestrzeń oddzielająca biskupów od kleru niższego była mniejsza. Proboszczowie po większej części zakrywali się rozkazami swych duchownych

pasterzy. Ale duchowna sukienka, ale materjalna strona życia nie wszędzie zabiła polskie serca w duchowieństwie. Spód był polski i stamtąd wychodzili kapłani poświęcenia dla Ojczyzny i ludu. Tylko arystokracja kościoła, tylko szaty świąteczne były zwalane błotem samolubstwa. Niższe duchowieństwo nie wiele miało z nim wspólnego, ale nie posiadając kongregacyjnej siły, mogło działać indywidualnie i oprzeć się nie było w stanie, gdy rząd, działając przez biskupów, starał się postawić jedną warstwę społeczną przeciwko drugiej i zabić w nich poczucie miłości ojczyzny wspólnej i sprawiedliwości.

Szlachta, obywatele Galicji, zawsze była kozłem ofiarnym rządu w każdym ruchu narodowym. Dla otrzymania większych dochodów, przyłączając Galicję do Austryi rząd rozdał mnóstwo tytułów. Nie ma zapewne kraju tak przepełnionego utytułowaną szlachtą jak Galicja, ale to nie przeszkadza policji okuć pana hrabiego lub barona w kajdanki przed śledztwem i posadzić do więzienia. Pospolitość tytułu zmniejszyła wartość jego wobec Niemców, którzy mając w naturze swojej wiele lokajskiego, zawsze się przed nim rozpływają.

Ogromne podatki w Austrji i nieświadomość, ile płacić należy, stawi szlachtę w zupełnej od rządu zależności. Na dowód przytoczę jeden z artykułów prawa wekslowego. Pierwszy lepszy oszust i złodziej może wystawić weksel na kogo mu się podoba i zaintabulować się na jego majątku, a potem procesuj się z nim, jeżeli chcesz przy istniejącym przekupstwie sędziów. Adwokaci mówili mi, że są sprawy tego rodzaju, które się już ciągną lat kilkadziesiąt, a które zupełnie zniszczyły dotkniętych klęską. Według austryjackiego prawa wekslowego, gdy na kogo podany weksel fałszywy do uzyskania, ten powinien z początku wnieść do sądu sumę oznaczoną na wekslu, a potem zacząć proces. Gdy zaś nie może przedstawić tej sumy, idzie do więzienia za długi. Sędzia zaś ze swojej strony ma prawo wydać te pieniądze stronie skarżącej, jeżeli uzna ją za wypłacalną na wypadek, jeżeli będzie dowiedzionem, że weksel jest fałszywy. Znając przekupstwo sędziów w Austrji, można wyobrazić sobie, do jakich nadużyć prowadzi podobne prawo. Pod ochroną takich praw w kraju rozwinęła się liczna klasa z żydów-fałszerzy złożona, jak pijawki wysysające kieszenie obywateli, namawiając ich niepełnoletnie dzieci do podpisu fałszywych weksli, aby potem groźbą procesu kryminalnego zmusić krewnych do wypłaty długu.

Jakiemi dziwnemi prawami rządzą się tutaj, przytoczę przykład, którego byłem świadkiem, Pewnej pani skradziono zegarek, pamiątkę rodzinną, którą ona nadzwyczajnie ceniła. Złodziej sprzedał ją szynkarzowi, ten zegarmistrzowi. Właścicielka zegarka przypadkiem obaczyła swoją własność u zegarmistrza i zaskarżyła go do policji. Rozpoczęto śledztwo, które się ciągnęło dziewięć miesięcy. Przekonano się, że szynkarz kupując zegarek, wiedział dobrze, że jest kradziony. Według logiki, według wszelkich praw ludzkich, należało właścicielowi oddać zegarek, a szynkarzowi nakazać zwrócić sumę, za którą ten ostatni sprzedał zegarek, a nadto ukarać go za współudział w kradzieży. W Galicji nie tak się dzieje. Urzędnik policyjny zażądał od właścicielki 10 guldenów, jeżeli chce przyjść do swojej własności, a gdy ta będąc pewną, że musi otrzymać swój zegarek bez tej straty, odmówiła łapówki, wypadł wyrok następujący: zegarek zostawić zegarmistrzowi, szynkarza pociągnąć do odpowiedzialności za zakupno skradzionej rzeczy, a właścicielowi udzielono prawa procesowania szynkarza o zwrot tej pamiątki rodzinnej. Ma się rozumieć, że sprawa skończyła się tem, że właścicielka nie chcąc narażać się na wydatki sądowe, zrzekła się własności.

Ogromne podatki, brak dobrych dróg, obciążanie wszystkich majątków długami, niski kurs papierów wskutek niesumiennego postępowania rządu w swoich pieniężnych operacjach (obacz Wołowski), które doprowadziło wielu do samobójstw, nieuregulowanie stosunków z włościanami, brak solidarności między szlachtą — zrobiły tę klasę zupełnie bezsilną. Rząd nie bał się szlachty i nie wysoko ją cenił, bo według ogłoszenia tarnowskiego starosty Breinla, które rozwoził po kraju faktor jego żyd Luxemburg w r. 1846, rząd wyznaczył za głowę każdego zabitego obywatela 10 zł. r., a za żywego tylko pięć. Że nie z własnego pomysłu działał Breinl w podobny sposób, widzimy z wysokiego stanowiska, które ten zajmował w Grazu i z rachunku podanego rządowi o wydanych w obwodzie tarnowskim pieniądzach na urządzenie rzezi, nareszcie z odezwy wydanej na trzeci dzień „że rząd pozwala jeszcze grabić szlachtę, ale już nie zabijać“. Widać iż spostrzegł się, iż zanadto drogo płacił za ich głowy, osobliwie gdy chłopi wozami zaczęli zwozić na podwórze starostwa ciała zabitej szlachty, ich żon i dzieci, wyciągając z łona matek jeszcze nie urodzone i żądając za to jednakowej zapłaty, jak za dorosłego. Nie możemy przemilczeć, że i te pieniądze, któremi rząd płacił za głowy szlacheckie były zebrane ze składek obywateli. W roku

1846 po strasznej powodzi w Galicji, obywatele tarnowscy złożyli na ręce starosty ze składek 6 tysięcy zł. r. Tych pieniędzy użył Breinl na zapłatę za ich głowy. Do 2 tysięcy szlachty wycięto w Galicji; Benedek wówczas poszedł w górę, a chłopom mordercom rozdano medale, Metternich tryumfował. Lekceważenie względem obywateli, było tak daleko posunięte, że do towarzystwa rolniczego kazano przyjąć Chomińskiego, znanego złodzieja, który brał udział w rzezi.

Na sejmie, gdzie szlachta mogła wypowiedzieć potrzeby swoje i żądać zmian lub różnych gwarancji, rząd przytłumiał ich głos rządowym krzykiem ruskich księży i włościan. Między posłami wybranymi do rady państwa nie było żadnej solidarności, chyba w milczeniu. Rząd gwałcił prawa krajowe, a nikt się nie śmiał odezwać. Kto uwierzy, że jednego z posłów (Grosa) uwięziono przed sądem, a drugiego (Karola Hubickiego) policja z majątku wysłała do Wiednia z policyjnym ajentem, żeby po drodze nigdzie się nie zatrzymywał. Kto uwierzy temu, że sprawie wynagrodzenia za ziemię, zajętą pod kolej żelazną, sprawie krzywdzącej polskie prowincje, za te ostatnie wstawiał się arcyksiążę austryjacki, a przeciwnikiem był poseł krajowy. Kto uwierzy temu, że wobec barbarzyńskiego wydawania przez rząd powstańców polskich Moskalom [1]), którzy ich zaraz wieszali tuż nad granicą, żaden z posłów pary z ust nie puścił w obronie praw ludzkości, w obronie rodaków swoich! Któż dziś uwierzy, że posłów sejmu krajowego, w kajdanach wrzucano do więzienia (Piotr Gros) i żaden z kolegów nie interpelował rząd za to bezprawie; żaden poseł słowa nie powiedział, gdy ich rodakom zamkniętym w fortecach postawiono alternatywę, być oddanym Moskalom, na śmierć, albo jechać do Meksyku bronić cesarza Maksymiljana przeciwko republikanom. Moskiewski pułkownik, przyjmując więźniów-Polaków od Merkla, nie mógł powstrzymać się od powiedzenia: „potrzeba być tak podłym, jak rząd austryjacki, żeby wydawać tych ludzi na śmierć pewną“, a żaden poseł powiedzieć tego nie ośmielił się. To zaś, co mówiono, było tak pokorne i słabe. że nawet uwagi niczyjej nie zwróciło. Piękny przykład Węgrów, którzy dbając o godność narodową, umieli uzyskać dla kraju szacunek i poważanie, a do tego prawa, był przed oczami polskich posłów lecz oni go nie rozumieli, czy zrozumieć nie chcieli. Im milszy był uśmiech Schmerlinga, aniżeli wdzięczność

---

[1]) Między innymi Agatona Gillera.

całego kraju! Po co oni jeździli do Wiednia, nikt nie odpowie. Biedna ziemio Polska, gdzie się podzieli Rejtanowie twoi!

Szlachtę galicyjską można podzielić na dwie kategorje: 1. bogatych i wpływowych obywateli, zasiadających w radzie państwa, a nawet czasem odzywających się, jeżeli tem mogą zrobić usługę rządowi, 2. drobną szlachtę, patrzącą na nich, jak na swoich naturalnych zastępców i kierowników i nareszcie 3. na różnych żydów, niemców, czechów, najczęściej dawnych urzędników, którzy dobrze się nakradłszy kupili majątki od biednej szlachty zniszczonej ich nadużyciami i przekupnem sumieniem.

Z bogatej szlachy niewiele ludzi sympatyzowało z powstaniem; materjalizm, brak wiary w siły narodowe, zabił w nich patrjotyzm dawnej bogatej szlachty polskiej. Niektórzy do tego stopnia zniemczeli, że do żon, swoich dzieci, sług, ba, nawet do psów mówią po niemiecku. Czuli ci magnaci, że jako Polacy nie mogą i nie powinni pod obawą ogólnej wzgardy i utraty znaczenia w kraju usuwać się od roboty; uczuli więc potrzebę stanąć na jej czele, aby kto inny tam nie stanął, dlatego też gotowi byli poświęcić część swego mienia, ale pod warunkiem, aby osobiście nie bardzo się narażać.

Drobna szlachta z małemi wyjątkami była polską i patrjotyczną, gotowa na wszelkie poświęcenia i na pracę jak zawsze, ale przywykłszy chodzić na pasku wielkich panów, szła według ich wskazówek.

Z trzeciej kategorji, niektórzy chcąc mieć spokój płacili podatki narodowe i nieśli ciężary kwaterunku, wtedy gdy się nie mogli od nich uchylić; drudzy oddawszy majątki swe żydom w arendę (Hausner), powynosili się do różnych krajów niemieckich na czas trwania ruchu narodowego. Do liczby tych ostatnich musimy zaliczyć niektórych z magnaterji naszej. Nareszcie i w tej kategorji byli i tacy co nie zapomnieli dawnych przyzwyczajeń: szpiegowali prace narodowe i donosili rządowi austryjackiemu o wszystkiem co im było wiadomem.

Część bogatszej szlachty, która uczuła potrzebę stanąć na czele ruchu, postanowiła wziąć ster do ręki dla obrony materjalnych i prowincjonalnych interesów, którym mogła zagrażać zbyteczna siła Rządu Narodowego, jak i dlatego, żeby nie dać tej rewolucyjnej sile głęboko zapuścić korzenie w Galicji.

Klasa średnia, klasa mieszczańska jest jednym z najlepszych elementów polskich, tu znajdziesz prawdziwy patrjotyzm, tu poświęcenie, tu polskie uczucia, któremi są wszyscy przepełnieni,

zacząwszy od ojca rodziny, aż do ostatniego sługi domu. Do klasy tej zaliczamy doktorów, adwokatów, artystów, wszystkich ludzi żyjących z pracy umysłowej, dla których tam się znajduje majątek i środki utrzymania, gdzie jest potrzeba nauki, sztuki i poświęcenia. Ta klasa ludzi, nie będąc majętną, nie obawia się zmiany losów, ale ucisk moralny i polityczny, na który nie są czułe masy, najsilniej ją dotyka, bo życie jej i istnienie związane są z nauką i postępem. Dla tej klasy powstanie polskie było jutrzenką postępu, nadzieją sławy, zmartwychwstaniem dawnych naszych republikańskich cnót. W tej też klasie powstanie Ojczyzny naszej poczerpnęło najwięcej sił żywotnych.

Pod rządem austrjackim klasa ta nie jest majętną, może żyć tylko miernie i zostawić dzieciom skromny kawałek chleba, rzadko zaś dochodzi do tego kolosalnego bogactwa, które widzimy za granicą, już to dla braku wyższego handlowego wykształcenia, jak i dla braku tych swobód, tej pewności dnia jutrzejszego, które istnieją tylko za granicami słowiańskich ziem Austrji. Niepewny stan finansów państwowych, brak dobrych komunikacji, brak kredytu z powodu wadliwości praw wekslowych i handlowych, brak swobody handlu, nadużycia policji i administracji biurokratycznej, konieczność opłacania się austrjackim urzędnikom — oto są przyczyny niskiego rozwoju handlu polskiego w Galicji.

Oprócz kupców, inni należący do tej klasy nie mogą być wzięci w karby posłuszeństwa zachciankom urzędowym, gdyż w sobie samych posiadają kapitał, którego wielkość zależy od ich pracy i który unika kontroli łakomego oka fiskalnego. Klasa ta jednak nie ma siły i znaczenia w ziemiach polskich jako całość korporacyjna, jak to widzimy we Francji, albowiem instytucje despotyczne nie pozwalają w kraju skonsolidować się jakiejkolwiek sile, mogącej być nieprzyjazną rządowi.

Polskie miasta, najlepiej usposobione, dały wiele przykładów poświęcenia, dały dzieci swoich, dały zbywający im grosz, dzieliły się pomieszkaniem i chlebem z żołnierzami narodowymi, ale same w sobie nie stworzyły żadnej siły, na której mógłby się oprzeć powstający naród.

Żydzi, którzy tak patrjotycznie zachowali się w Polsce, w Galicji byli nieprzyjaznymi powstaniu, jak są nieprzyjaznymi wogóle elementowi polskiemu w Galicji, co jest następstwem handlowego antagonizmu, zabiegów rządu, który starał się obudzić nienawiść między nimi i galicyjskimi chrześcijanami i skutkiem ciemnoty

mas narodowych, którą na nieszczęście podtrzymują nawet przodujący w literaturze naszej pisarze.

Teraz powiemy o włościanach. Od czasu jak Austrja urwała szmat dawnej Polski, staraniem rządu było wprowadzić do zajętego kraju system: „divide et impora“, to jest rozdziel i panuj. Dopiąć tego było łatwo, zostawiając chłopów w tejże niewoli jak poprzednio. Austrja kazała szlachcie pełnić wszystkie te obowiązki, których nienawidzi włościanin, to jest ściąganie podatków, wybieranie rekruta, jurysdykcje, w mniej ważnych wypadkach karanie chłopa za przekroczenia. Administracja rządowa, owi tak zwani mandatarjusze stanowili kontrolę nad szlachtą, która odpowiadała majątkiem swoim za każdy grosz nieściągniętego podatku. Rozumie się, że taki stosunek musiał prędko postawić chłopa przeciwko panu, w którym widział swego ciemiężcę i niszczyciela. Najmniejsze nieukontentowanie rządu, pierwszy znak dany z ministerstwa urzędnikom prowincjonalnym, a miecz Damoklesa mógł spaść na głowy szlachty; potrzeby tylko tej Austrja jeszcze do r. 1846 nie widziała.

W r. 1846, czując zapach przyszłej rewolucji w powietrzu, widząc dążenie narodów do swobód, których rząd dać nie chciał, Metternich postanowił przerazić strasznym przykładem i na kozła ofiarnego wybrał szlachtę polską w Galicji. Wypuszczeni z wiezień zbrodniarze otrzymali swobodę, pod warunkiem zbuntowania chłopów przeciwko panom; do pomocy dodani zostali urlopnicy wojskowi i urzędnicy starostw. Dla większego zachęcania do rzezi. rząd jak powiedzieliśmy wyżej, wyznaczył cenę za każdą głowę szlachecką.

W jednym dniu Galicja pokryła się dymem pożarów i krwią nieszczęśliwych ofiar. Ale po krwawej stypie, w której legło dwa tysiące szlachty, chłop zbroczony krwią uczuł zgryzoty sumienia, ręka jego zmęczyła się topiąc topór w krwi bratniej, urzędnicy wypłacający premje za głowy, zaczęli dostawać obłąkania wobec okropności zbrodni, do której ich użyto za narzędzie. Pomimo spodlenia całej Europy, rząd zląkł się sądu historji i po trzech dniach rzezi posłał rozkaz powstrzymania chłopów od niej, używając nawet do tego siły wojskowej. Wiele chłopów padło w starciu z wojskiem, reszta rozbiegła się do domów obciążona łupami. Rząd przystąpił do wynagrodzenia tych co się najwięcej odznaczyli. Szela, mazur, najdzikszy ze zbójów, wypuszczony z więzienia przed rzezią samą, otrzymał medal z popiersiem cesarza i dobra na Bukowinie; Benedek, Breinl inni zostali awansowani. Autor-

stwo tej tragedji należy do Metternicha. Cesarz Ferdynand, kompletny idjota, dowiedziawszy sie z gazet o rzezi galicyjskiej z przerażeniem zawołał: „jakiż to kraj nieszczęśliwy ta Galicja, w jakiem to państwie ona się znajduje. U mnie by to zdarzyć się nie mogło".

Wrócić do dawnego systemu rządzenia krajem było niepodobna. Szlachta poznała się na polityce austrjackiej i za nic w świecie już nie przyjęłaby na siebie tych obowiązków, które rząd pierwej wkładał na jej barki. Nastąpiło oswobodzenie włościan i poddanie ich pod zarząd urzędników cesarskich. Ale nie chcąc odrazu odjąć sobie możności w danym wypadku użycia podobnegoż środka, rząd ciągle zwlekał z ostatecznem uregulowaniem stosunków włościan do szlachty, rozpatrzeniem z tak zwanych serwitutów, a podtrzymując o ile możności ciemnotę w ludzie, nie daje mu zajrzeć światłem okiem i poznać, kto jego właściwym wrogiem. Spokojnego charakteru i posłuchu lud polski, bez wykształcenia, odarty i obciążony ogromnymi podatkami, wszystkie myśli sweześrodkował ku ulepszeniu swego materjalnego bytu, oddając się zupełnie pod kierownictwo kościoła i rządu, bez najmniejszej możności samorządu, bez najmniejszej myśli, aby się mógł obyć bez tej opieki ojcowskiej, która mu zostawiała tylko to, czego potrzeba było, byle nie umrzeć z głodu. Duch narodu polskiego złamany, duch niewoli przygniótł całą krainę swemi skrzydłami. Pałka, urzędnik i policja, święta Trójca austryjacka, dotąd panuje nad nieszczęśliwą Galicją. Chłop i szlachcic, ci naturalni sprzymierzeńcy, te dzieci jednej matki-ziemi polskiej, stali się prawie obcymi, prawie wrogami jeden dla drugiego, bo ukończeniu dawnych zatargów, uregulowaniu stosunków, ostatecznemu rozgraniczeniu gruntów, rząd ciągle przeszkadza, bo nie chce porozumienia, nie chce aby chłop przejrzał, że ma wspólne interesa ze szlachtą. Prawda, że ta niewiara i nienawiść zmniejszyły się, że ciągłe stosunki zbliżyły ich do siebie, ale jeszcze daleko do tego, żeby włościanin poznał swego rzeczywistego wroga, swój prawdziwy interes, swe obowiązki.

Chłopi dwóch narodowości polskiej i ruskiej, zamieszkujący Galicję różnią się jedni od drugich tylko językiem, tylko pewnymi zwyczajami, oddzielenie zaś jednej narodowości od drugiej jest tylko sztuczne, podtrzymywane przez rząd austrjacki i przez rubelki moskiewskie, któremi ajenci tego państwa starają się pozyskać sobie przyjaciół, szczególnie między księżami i dziennikarzami, podtrzymywane przez część egzaltowanej młodzieży, nie pojmującej,

że jest tylko narzędziem w ręku wrogim tak dla nas, jak i dla nich i że rozwój narodowości nie może iść inaczej, jak z rozwojem niepodległości i swobody osobistej.

Stan włościański w Galicji w czasie naszego powstania jeszcze nie dojrzał do wspólnego działania; krwawy ruczaj, który rozdzielił włościan od szlachty, nie wysechł jeszcze zupełnie, jednak już chłop nie przeszkadzał pracom narodowym, a w niektórych miejscowościach nawet czynnie im pomógł. Było wiele przykładów zdrady, szpiegostwa, przeciwdziałania: warty włościańskie dały się wielu we znaki, lecz nie można odpowiedzialnym czynić ciemnego ludu, ciągle szczwanego przez szczwaczów.

Takim był stan Galicji w r. 1863 i 1864. — Nad ludnością tak usposobioną czuwała administracja podejrzliwa, sprzedajna, złośliwa i kradnąca na wszystkie strony. Uważamy za potrzebne powiedzieć słów kilka o austrjackiej policji w ziemiach polskich, jako instytucji najważniejszej w każdem absolutnem państwie.

Policja austrjacka składa się z wyrzutków społeczeństwa, których za ogólną pogardę rząd wynagradza tem, że zostawia im zupełną swobodę czynności, zupełną bezkarność za sprzedajność. Niezdolności jej towarzyszy pedantyzm, zarozumiałość i gburowatość, służalcze posłuszeństwo przed starszymi, połączone z największym despotyzmem względem młodszych. Ogromna liczba członków policji nie pozwala im dać dobrego utrzymania i zmniejsza przed rządem winę nadużyć, których się dopuszczają urzędnicy policyjni. Rząd Narodowy wiedział bardzo dobrze o sprzedajności urzędników policji i pełnemi rękami czerpał wiadomości o rozporządzeniach władz austrjackich, szczególnie od Niemców. Polak, gdy się stanie urzędnikiem, gdy zniemczeje lub zmoskwiczeje, robi się największym prześladowcą swoich, jak każdy neofita; za wzgardę, która spotyka go wszędzie, stara się zemścić większym uciskiem rodaków, wynagrodzeniem ambicji swojej urzędem lub krzyżykiem. Niemiec nie znajduje się w tem położeniu i nie tylko rząd, nietylko Ojczyznę, ale i Boga sprzeda byle mu dobrze zapłacono. Rząd Narodowy miał ajentów swoich wszędzie, dopóki dobrze płacił. Portfel ministra spraw wewnętrznych w Wiedniu[1]), był dlań otwarty; około każdego wyższego urzędnika, mogącego szkodzić powstaniu, stał szpieg, regularnie dono-

---

1) Tak n. p. Adam Sapieha kupił za 4000 zł. r. szyfrę depesz ministra policji od jednego z urzędników.

stwo tej tragedji należy do Metternicha. Cesarz Ferdynand, kompletny idjota, dowiedziawszy sie z gazet o rzezi galicyjskiej z przerażeniem zawołał: „jakiż to kraj nieszczęśliwy ta Galicja, w jakiem to państwie ona się znajduje. U mnie by to zdarzyć się nie mogło“.

Wrócić do dawnego systemu rządzenia krajem było niepodobna. Szlachta poznała się na polityce austrjackiej i za nic w świecie już nie przyjęłaby na siebie tych obowiązków, które rząd pierwej wkładał na jej barki. Nastąpiło oswobodzenie włościan i poddanie ich pod zarząd urzędników cesarskich. Ale nie chcąc odrazu odjąć sobie możności w danym wypadku użycia podobnegoż środka, rząd ciągle zwlekał z ostatecznem uregulowaniem stosunków włościan do szlachty, rozpatrzeniem z tak zwanych serwitutów, a podtrzymując o ile możności ciemnotę w ludzie, nie daje mu zajrzeć światłem okiem i poznać, kto jego właściwym wrogiem. Spokojnego charakteru i posłuchu lud polski, bez wykształcenia, odarty i obciążony ogromnymi podatkami, wszystkie myśli swe ześrodkował ku ulepszeniu swego materjalnego bytu, oddając się zupełnie pod kierownictwo kościoła i rządu, bez najmniejszej możności samorządu, bez najmniejszej myśli, aby się mógł obyć bez tej opieki ojcowskiej, która mu zostawiała tylko to, czego potrzeba było, byle nie umrzeć z głodu. Duch narodu polskiego złamany, duch niewoli przygniótł całą krainę swemi skrzydłami. Pałka, urzędnik i policja, święta Trójca austryjacka, dotąd panuje nad nieszczęśliwą Galicją. Chłop i szlachcic, ci naturalni sprzymierzeńcy, te dzieci jednej matki-ziemi polskiej, stali się prawie obcymi, prawie wrogami jeden dla drugiego, bo ukończeniu dawnych zatargów, uregulowaniu stosunków, ostatecznemu rozgraniczeniu gruntów, rząd ciągle przeszkadza, bo nie chce porozumienia, nie chce aby chłop przejrzał, że ma wspólne interesa ze szlachtą. Prawda, że ta niewiara i nienawiść zmniejszyły się, że ciągłe stosunki zbliżyły ich do siebie, ale jeszcze daleko do tego, żeby włościanin poznał swego rzeczywistego wroga, swój prawdziwy interes, swe obowiązki.

Chłopi dwóch narodowości polskiej i ruskiej, zamieszkujący Galicję różnią się jedni od drugich tylko językiem, tylko pewnymi zwyczajami, oddzielenie zaś jednej narodowości od drugiej jest tylko sztuczne, podtrzymywane przez rząd austrjacki i przez rubelki moskiewskie, któremi ajenci tego państwa starają się pozyskać sobie przyjaciół, szczególnie między księżami i dziennikarzami, podtrzymywane przez część egzaltowanej młodzieży, nie pojmującej,

że jest tylko narzędziem w ręku wrogim tak dla nas, jak i dla nich i że rozwój narodowości nie może iść inaczej, jak z rozwojem niepodległości i swobody osobistej.

Stan włościański w Galicji w czasie naszego powstania jeszcze nie dojrzał do wspólnego działania; krwawy ruczaj, który rozdzielił włościan od szlachty, nie wysechł jeszcze zupełnie, jednak już chłop nie przeszkadzał pracom narodowym, a w niektórych miejscowościach nawet czynnie im pomógł. Było wiele przykładów zdrady, szpiegostwa, przeciwdziałania: warty włościańskie dały się wielu we znaki, lecz nie można odpowiedzialnym czynić ciemnego ludu, ciągle szczwanego przez szczwaczów.

Takim był stan Galicji w r. 1863 i 1864. — Nad ludnością tak usposobioną czuwała administracja podejrzliwa, sprzedajna, złośliwa i kradnąca na wszystkie strony. Uważamy za potrzebne powiedzieć słów kilka o austrjackiej policji w ziemiach polskich, jako instytucji najważniejszej w każdem absolutnem państwie.

Policja austrjacka składa się z wyrzutków społeczeństwa, których za ogólną pogardę rząd wynagradza tem, że zostawia im zupełną swobodę czynności, zupełną bezkarność za sprzedajność. Niezdolności jej towarzyszy pedantyzm, zarozumiałość i gburowatość, służalcze posłuszeństwo przed starszymi, połączone z największym despotyzmem względem młodszych. Ogromna liczba członków policji nie pozwala im dać dobrego utrzymania i zmniejsza przed rządem winę nadużyć, których się dopuszczają urzędnicy policyjni. Rząd Narodowy wiedział bardzo dobrze o sprzedajności urzędników policji i pełnemi rękami czerpał wiadomości o rozporządzeniach władz austrjackich, szczególnie od Niemców. Polak, gdy się stanie urzędnikiem, gdy zniemczeje lub zmoskwiczeje, robi się największym prześladowcą swoich, jak każdy neofita; za wzgardę, która spotyka go wszędzie, stara się zemścić większym uciskiem rodaków, wynagrodzeniem ambicji swojej urzędem lub krzyżykiem. Niemiec nie znajduje się w tem położeniu i nie tylko rząd, nietylko Ojczyznę, ale i Boga sprzeda byle mu dobrze zapłacono. Rząd Narodowy miał ajentów swoich wszędzie, dopóki dobrze płacił. Portfel ministra spraw wewnętrznych w Wiedniu[1]), był dlań otwarty; około każdego wyższego urzędnika, mogącego szkodzić powstaniu, stał szpieg, regularnie dono-

---

1) Tak n. p. Adam Sapieha kupił za 4000 zł. r. szyfrę depesz ministra policji od jednego z urzędników.

szący o każdym kroku rządu, o każdem rozporządzeniu, o każdym telegramie. Dla tego policji narodowej było tak łatwo dobyć korespondencję Merkla, donoszacą do Warszawy Namiestnikowi o wszystkiem co mu było wiadomem o ruchach powstańczych, o przejeździe przez Kraków różnych osób, o tem jakie domy w Warszawie należy przetrząść, kogo aresztować i t. d. Dlatego też policja narodowa miała listy Mecserego, ministra policji do Merkla przezydenta komisji administracyjnej w Krakowie, z poleceniem szpiegowania ruchów powstańczych i donoszenia o nich Moskalom, starając się jednak o to, żeby nie skompromitować rządu cesarskiego wobec Europy. Listy te były publikowane w prasie zagranicznej. Policyjni urzędnicy przewozili broń do powstania, przewozili osoby, których aresztowanie było im poruczone, zacierali ślady, po których można było dojść do odkrycia robót powstańczych, przechowywali u siebie przewódców ruchu powstańczego, pomagali uciekać z więzień, wskazywali niebezpiecznych szpiegów, dawali nietylko do czytania, ale i do odpisywania tajemne zarządzenia rządu swego i wszystko za pieniądze. Patrząc na to, co się działo w policyjnych urzędach Austrji, przyszedłem do przekonania, że w tym państwie sprzedadzą ci wszystko: tytuły, posadę, nawet wszystkie trzy osoby Trójcy przenajświętszej, razem albo oddzielnie.

Udział mój w powstaniu i rola, którą w niem odegrałem, opisałem w „Szkicach z powstania 1863“, w książce „Ludzie i Wypadki“ w r. 1863 i 1864, w artykule: udział Galicji w Powstaniu r. 1863, (Materjały do Historji Powstania) T. II. W czasie powstania przybrałem imię Strusia, pamiętając, że w r. 1612, pułkownik Struś dobrze dał się we znaki Moskalom. Tu opiszę jeden epizod, którego nigdzie nie pomieściłem.

TRAGEDJA OMYŁEK

Wojna — wyraz okropny, wyraz oznaczający mord i pożogę, zniszczenie pracy ludzkiej, ubezwładnienie prawa, koniec panowania sprawiedliwości i obowiązków ludzkości, Trzy razy byłem na wojnie, trzy zaglądałem śmierci w oczy, trzy razy przypatrywałem się, czym się staje człowiek, pod wpływem politycznych namiętności i pod wpływem trwogi o życie własne, chciwości wzbogacenia się i chęci odznaczenia. Boże mój, co za zwierzę krwiożercze! I szakal i hjena nie są gorsze od niego! Z jaką obojętnością w czasie wojennym traktuje się prawa cudze, dzieło sztuki, sławą ludzkości i honor kobiety; z jakiem lekceważeniem poświęca się życie bliźniego, jeżeli tylko tak zwane potrzeby wojenne wymagają tego. Ileż to krwi ludzkiej wylano najniewinniej, żeby się tylko zabezpieczyć przed zdradą lub przed urojonem nieraz niebezpieczeństwem. Napoleon w r. 1799 w Syrji, kazał tysiącom Arabów wziętych do niewoli poucinać prawe ręce, żeby nie mogli już walczyć z Francuzami. Moskale w r. 1812 wziętych do niewoli Francuzów setkami zakopywali żywcem w ziemię, delektując się widokiem, jak ziemia się porusza wskutek przedśmiertnych kurczów tych nieszczęśliwych. W r. 1831 w Warszawie, bataljony polskie wzięte do niewoli rozstrzelano przystawiwszy do murów, jak to potem czynili wersalczycy z żołnierzami komuny w r. 1871. Prusacy żywcem palili wolnych strzelców wziętych do niewoli w Alzacji i Lotaryngji. Było to dziełem armij regularnych i działo się to pod okiem oficerów i jenerałów ucywilizowanych, których jedno słowo mogło powstrzymać te hekatomby ludzkie! A jednak słowa tego nie wymówiono!

Przypatrując się rycinom Grottgera, podziwiając talent tego mistrza-poety i głęboką myśl tkwiącą w każdym rysunku jego, zawsze najdłużej przypatrywałem się jego „losowaniu" i „pojmaniu szpiega". Ta postać pięknego młodzieńca, z trwogą wyjmującego los z urny, los mogący mu dać swobodę, lub skazać na rolę kata i uprzywilijowanego, protegowanego przez prawo zbója, przejmuje serce największą sympatją dla niego. W drugim zaś przerażona twarz szpiega, pojmanego na uczynku, drwiące fizjonomje żołnierzy rewidujących kieszenie jego, surowe twarze oficerów, badających dokumenta znalezione przy winowajcy, przygotowują do sceny, która nastąpi natychmiast, sceny w czasie której oczy nieszczęśliwego nie spotkają nigdzie litości, nigdzie wzroku miłosierdzia.

Obrazy podobne napotykałem już nieraz w czasie wojen i w czasie walki powstańczej. W tej ostatniej były one częstsze wskutek sposobu prowadzenia wojny małymi oddziałami, otoczoczonymi całą siecią szpiegów dobrowolnych niedobrowolnych, przez których wróg starał się dowiedzieć o zamiarach dowódców tych oddziałów. Ale ileż to ludzi zginęło wskutek samego tylko podejrzenia, nie mając żadnej możności usprawiedliwienia się z niesprawiedliwie rzuconego podejrzania. W wojnach ludowych szczególnie łatwo spotkać się z wypadkami, przerażającemi okropnością, szczególnie tam, gdzie przywódcy nie umiejący utrzymać podwładnych w karbach należytego posłuszeństwa, zezwalali im sądzić i rozprawiać się według swego uznania z podejrzanymi.

Jednego dnia przyszli do mnie chłopcy, opowiadał ataman Wyleżyński, z doniesieniem, że pojmali szpiega i powiesili go. — A któż wam powiedział, że to szpieg? — Proszę pana pułkownika, odrzekł jeden, gdyśmy go powiesili, obejrzeliśmy kieszenie jego i znaleźliśmy dowód, że to był szpieg moskiewski, nosił bowiem zegarek robiony w Petersburgu. Oczywiście więc, był to szpieg moskiewski.

W czasie wyprawy Komorowskiego na Wołyń, zaledwie udało mi się wyratować jednego z najgorliwszych patrjotów Dubieckiego, brata Marjana, którego co tylko nie rozstrzelał Sienkiewicz, gdyż nie mógł wylegitymować się dostatecznie z pobytu swego nad moskiewską granicą, dokąd go posłano dla urządzenia nagranicznej komunikacji. Posłaniec wysłany przezemnie z pismem do dowódcy i znający osobiście, jak jednego tak drugiego, gdyby o godzinę później przyjechał do obozu powstańców, znalazłby już tylko trupa najniewinniejszego człowieka.

W jednym dniu pamiętnym mi zawsze byłem świadkiem całej serji wypadków podobnego rodzaju. Było to w dzień bitwy pod Radziwiłłowem.

Gdyśmy byli jeszcze w lasach łopatyńskich gotując się do przejścia granicy, złowiono w obozie niejakiego Krzeczkowskiego, który notował sobie różne wiadomości dotyczące oddziału, liczebnej jego siły, podziału na bataljony i kompanje, nazwy dowódców, kierunek ruchu oddziału i t. d., pytany zaś nie mógł dać odpowiedzi, poco to zbierał wszystko. Po przeczytaniu tych notatek, jenerał Wysocki kazał go wziąć pod straż, a po przejściu granicy powiesić na pierwszem drzewie. W tymże dniu aresztowano jeszcze kilku, których podejrzywano o szpiegostwo.

W wilję dnia, kiedyśmy mieli wyruszyć w drogę, oddział nasz został zaalarmowany przez zbliżających się Austrjaków, którzy czy chcieli, czy udawali, że chcą nas rozbroić. Musieliśmy zwinąć obóz nasz na prędce i zostawiwszy niedogotowaną kaszę naszą Austrjakom, ruszyliśmy w drogę. Jakiś głupi żandarm austrjacki uniesiony gorliwością, chciał wyrwać broń jadącemu w arjergardzie powstańcowi, padł trupem, poczęstowany kulą rewolwerową.

Nad ranem około ósmej godziny, po całonocnym uciążliwym marszu, byliśmy za granicą Galicji w oddaleniu jednego kilometra od Radziwiłłowa. Słońce podnosiło się w górę, skrywając się co chwilę za chmurami, które jak stada owiec ciągnely po niebie. Żołnierze posilali się przed bitwą, a jenerał wezwawszy dowódców jeszcze raz powtórzył rozkazy i polecenia. Potem dano znak, oddziały stanęły pod bronią i każdy z dowódców poprowadził swój oddział wę wskazanym kierunku.

W tej chwili zbliżył się do Wysockiego powstaniec z zapytaniem, co zrobić ze szpiegiem?

— Teraz każdy żołnierz jest potrzebny, niema ludzi zbytecznych aby strzec takich łajdaków. Strzelić mu w łeb.

Powstaniec oddalił się.

Bitwa zawrzała o dziewiątej z rana. Poświęcenie dowódców, przykład Wysockiego, który wszędzie był w najgorętszym ogniu, wysiłki męstwa i rozpaczy nie przyniosły pożądanych owoców. Straty były wielkie, szczególnie w oficerach; żołnierz zmęczony całonocnym marszem i pięciogodzinną walką, upadły na duchu, przemokły do nitki, nie mógł iść w głąb kraju, potrzeba było zatrzymać się, zreorganizować małą naszą armję i dać jej odpocząć.

Jenerał Wysocki kazał mi objąć obowiązki szefa sztabu, który leżał ciężko ranny na wozie. Natychmiast zebrałem ludzi i kazałem im odstąpić ku komorze celnej. Strzały ustały. Idąc pod zasłoną lasu starałem się ukryć kierunek marszu i zaleciłem cichość jaknajwiększą.

Z arjergardy nadbiegł żołnierz zapytując jenerała, co zrobić ze szpiegiem? Dowiedziawszy się że szpieg żyje jeszcze, jenerał z nieukontentowaniem odpowiedział: więc roztrzaskajcie mu kolbą głowę, a nie strzelajcie, aby nie zdradzić kierunku ruchu naszego.

Około komory celnej stanęły wojska w gotowości do przyjęcia nowego boju, gdyby nieprzyjaciel wyszedł ze swoich legowisk i chciał nas zaatakować. Lecz i Moskale mieli znaczne straty i czekali posiłków z Dubna. Dowiedziawszy się o zbliżającym się nieprzyjacielu, oddział nasz skierował się na południe, na spotkanie oddziału Miniewskiego, który miał się złączyć z nami. Tak szliśmy do godzinv szóstej wieczorem. Zmęczenie młodego żołnierza było tak wielkie, że już niepodobna było iść dalej nie dawszy ludziom choć parę godzin odpoczynku. Stanęliśmy więc na wzgórzu, postawiwszy pikiety ku stronie skąd spodziewaliśmy się przybycia wroga. Wysocki wezwał dowódców na naradę co robić dalej.

Gdy jenerał zlazłszy z konia rozmawiał z dowódcami, przybył podoficer arjergardy z zapytaniem, co robić ze szpiegiem Krzeczkowskim? — Toż kazałem go uśmiercić!

— To nie jego pan jenerał kazał zabić, a innego, który był wzięty w drodze, bo był bardzo podejrzany. Tamtego już zastrzeono w czasie bitwy.

— To zakłujcie go bagnetem, bo strzelać teraz nie można.

— Według rozkazu, panie jenerale.

Odpoczynek w lesie dowiódł, że oddział wskutek przegranej bitwy i utraty wielu oficerów jest zupełnie zdezorganizowany i że dalsze działania z takim oddziałem, który w dodatku wystrzelał już wszystkie naboje, byłby tylko próżnem narażaniem życia tylu ludzi, bez nadziei żadnej korzyści. Postanowiono więc odpocząć do północy, a potem przejść napowrót do Galicji około Brodów, tem więcej, że według otrzymanych wiadomości oddział Miniewskiego jeszcze nie przeszedł granicy, nie był bowiem jeszcze należycie zorganizowany.

W chwili gdy już mieliśmy wyruszyć z miejsca, nadbiegł strzelec zapytując, co robić ze szpiegiem Krzeczkowskim? — Toż kazałem go przekłuć! odpowiedział jenerał.

— To nie o niegośmy pytali, ale o żyda którego złowiliśmy, gdy się przekradał przez obóz; ten już dawno leży w lesie z dziurą w piersi.

— Przekłujcie tam go bagnetem, żebym więcej o nim nie słyszał.

Strzelec znikł w zaroślach, kierując się ku stronie arjergardy, ale że noc była bardzo ciemna, zabłądził w lesie i nad ranem został schwytany przez patrol kozacki, jak dowiedzieliśmy się o tem w dni kilka.

Jenerał Wysocki wyruszył o północy z miejsca odpoczynku i po dwugodzinnym uciążliwym marszu po strasznem błocie okrążywszy Brody przeszedł granicę i stanął w Klekotowie, który dzierżawił hr. Oldi. Tu nakazano było piechocie złożyć broń palną, a kawalerji zabrać konie i ulokować je po dworach szlacheckich.

Można wyobrazić sobie jaki nieład zapanował w małym dworku, na którego dziedzińcu skupiło się najmniej pięćset ludzi piechoty i ze dwieście kawalerji. Krzyki, nawoływania, zapytywania dokąd iść, co robić. Wysocki wyjął pięćset rubli, które miał przy sobie i prosił abym je rozdał pomiędzy żołnierzy, którzy mieli daleką drogę do domu. W chwili gdy się odbywała dość trudna czynność, dwaj strzelcy przyprowadzili więźnia związanego i prosili mnie, abym zapytał jenerała Wysockiego, co robić ze szpiegiem Krzeczkowskim.

Ze zdumieniem po raz czwarty w tym dniu usłyszałem powtórzone imię szpiega, który w prawdziwie cudowny sposób, kosztem życia być może najniewinniejszych trzech ludzi ocalał aż do tej chwili. Na ziemi galicyjskiej niebezpiecznie było karać go śmiercią, lecz niebezpiecznie było puścić go spokojnie, bo do rana mógł sprowadzić z zemsty wojsko austrjackie, by zabrało i amunicję sprowadzoną z takim kosztem i trudem z Wiednia i z za granicy.

— Niema co robić, rzekł jenerał, przetrzymajcie go nieco w oddaleniu od dworu, żeby nie widział gdzie się schowa broń, a potem puścić, niech idzie do djabła.

— Proszę mnie pozwolić panie jenerale, rzekł doktór Lutostański, ja go zgładzę w sposób nie pozostawiający żadnych śladów. Mam tu zatrute cygara, potraktuję go niemi, a nim poranek nastąpi, już go nie będzie na świecie.

— Możesz to zrobić doktorze, odrzekł jenerał, ale tymczasem zawiązać mu oczy, żeby nie widział gdzie będą broń składać.

Wyszedłem z Lutostańskim na podwórze, a widząc więźnia związanego, kazałem mu rozwiązać ręce, ale wyjąwszy batystową chustkę z kieszeni zawiązałem mu oczy i odprowadziłem po drodze o jakie dwieście kroków, w miejsce gdzie pochyłość ziemi była tak wielka, że stamtąd nie było widać dworu i kazałem przetrzymać go tam godzinę. Lutostański potraktował go cygarem, dał ognia i z przyjemnością patrzał, z jaką chciwością więzień zaciągał się dymem z cygara...

W miesiąc potem byłem we Lwowie i brałem czynny udział w organizacji nowych oddziałów. Jednego dnia dano mi znać, że dwaj bardzo niebezpieczni szpiegowie śledzą czynności nasze i donoszą o nich policji austrjackiej. Jednym z nich był radca P. krewny Wincentego Pola, którego syn był w powstaniu, a drugim był Krzeczkowski.

O pierwszym uwiadomiłem Wincentego Pola, o drugim zaś komisarza Rządu Narodowego, prosząc aby ptaszka tego zrobił nieszkodliwym.

Ale i teraz Krzeczkowski się uratował, wyjechawszy na prowincję, dla pełnienia tam swego rzemiosła, cztery razy uratowany od śmierci kosztem życia innych, prawdopodobnie najniewinniejszych ludzi.

DZIAŁALNOŚĆ W POWSTANIU[1])

Ażeby czytelnikowi dać pełny obraz życia Sawickiego, w kilku słowach postaramy się naszkicować udział jego w powstaniu, który to opisał autor w trzech wyżej wymienionych dziełach. Zdawałoby się, że Struś jako zawodowy wojskowy o tak wybitnem wykształceniu i doświadczeniu odrazu zostanie powołany do prac organizacyjnych. Tak jednak nie było. Sawicki wyruszył w pole jako zwykły szeregowiec i dnia 30 czerwca przybył do oddziału jenerała Wysockiego, który w lasach berlińskich koło Brodów gromadził swój oddział. Ale już zaraz w obozie zwrócił na niego uwagę Wysocki i zapytał, co sądzi o sytuacji i o zamiarze zaatakowania Moskali pod Radziwiłłowem. Zapytany odradzał stanowczo na razie wszelkich starć z nieprzyjacielem, natomiast namawiał, by posunąć się naprzód ku borom Polesia. Rady jego nie usłuchano i akcja pod Radziwiłłowem, jak przewidywał, skończyła się sromotną porażką; w czasie bitwy został ciężko raniony szef sztabu Domagalski, a na jego miejsce powierzył Wysocki tę władzę Sawickiemu.

Rozbitki cofnęły się do Galicji, gdzie trzeba było siły na nowo zorganizować; uratowawszy co się dało z broni, udał się Sawicki do Lwowa, czekając na dalsze rozkazy.

Wysocki został uwięziony przez Austrjaków, a na jego miejsce zamianował Rząd Narodowy naczelnym wodzem ziem ruskich Edmunda Różyckiego, ten zaś powołał Sawickiego na szefa sztabu

---

[1]) Ustęp ten w całości pochodzi od Wydawcy i został skreślony na podstawie już wydanych, pamiętników Sawickiego.

i w ręce jego złożył śledzwo przeciw Wysockiemu i Miniewskiemu w sprawie klęski Radziwiłowskiej.

Przedewszystkiem poświęcił się Sawicki pracy organizącyjnej, która nastręczała nieprzezwyciężone trudności. Powołano dzięki jego zabiegom centralną komisję wojskową, która miała za zadanie usuwać niedostatki w formacjach poszczególnych oddziałów, czuwać nad organizacją nowych, przygotowaniem żołnierzy i ich zaopatrzeniem. Instrukcje dla tej komisji wypracował Sawicki — i wszystko było na dobrej drodze, ale gdy się okazało, że wprowadzenie podobnej instytucji musiałoby odjąć wiele atrybucji naczelnej władzy Komitetu Galicji wschodniej, projekt spotkał się z opozycją Komisarza Rządu Narodowego Majewskiego.

Po wprowadzeniu nowego ustroju władz powstańczych został Sawicki mianowany organizatorem wschodniej Galicji i szefem I. wydziału; jednak wszelkie wysiłki natrafiały na trudności nieprzezwyciężone. Uczynił to co było w jego mocy, opracował regulaminy dla piechoty, jazdy, instrukcje dla oficerów i kodeks karny, a nadto poświęcił się zorganizowaniu oddziałów powstańczych III—VIII, podczas gdy Różycki pozostawił sobie organizację dwu pierwszych oraz jazdy.

Wskutek ciągłych zwlekań ze strony Komitetu i zupełnej jego bezwładności komisarz Rządu Narodowego rozwiązał ten Komitet a atrybucje jego oddał w ręce dowódcy Różyckiego. W ten sposób Komisja ekspedycyjna przeszła pod władzę wojskową, pod bezpośrednie rozkazy pułkownika Strusia. Teraz poszły prace organizacyjne w przyspieszonem tempie, ściągano energicznie podatek narodowy i w przeciągu miesiąca cztery oddziały stanęły gotowe do wymarszu.

Było to w znacznej części dzieło Sawickiego. Lecz niestety zbyt szybko cała ta praca poszła na marne, bo oddziały te oddane do dyspozycji jenerała Kruka w nieszczęśliwej jego wyprawie zostały zupełnie rozbite.

Trzeba więc było teraz zająć się zorganizowaniem rozbitków; zaniechał tym razem Sawicki formowania większych oddziałów a zajął się wyprawianiem za granicę Galicji oddziałów mniejszych.

Niepowodzenie powstania wogóle, a operacji wojennych w szczególności i zupełna dezorganizacja władz powstańczych spowodowała Rząd Narodowy do wysłania do Galicji nadzwyczaj-

nego Komisarza Władysława Przybylskiego celem utworzenia tu Wydziału Rządu Narodowego, jako naczelnej magistratury. Ponieważ Różycki miał się udać do Turcji, zlecono zastępstwo Sawickiemu. Miał on brać udział w posiedzeniach Wydziału, głównem zaś zadaniem jego miało być wzmacnianie oddziałów i podtrzymywanie powstania w południowych województwach Kongresówki za pomocą podsyłania małych uzbrojonych oddziałów i dostarczanie broni.

Nieobecność Różyckiego przeciągnęła się nadspodziewanie długo, a na przesyłane do niego przez Strusia raporty, telegramy, zapytania o decyzje, nie nadchodziły żadne wiadomości. Żali się Sawicki w swych pamiętnikach, że mógł zastąpić Różyckiego i obejść się bez niego w organizacji, ale w dowództwie na polu bitwy był Różycki koniecznie potrzebny, bo posiadał prócz potrzebnej rutyny zupełne zaufanie żołnierzy, którego Sawicki nie miał.

Tymczasem rosło zniechęcenie, Moskwa uderzała wszędzie wielkiemi siłami, lud stał na uboczu, w Prusiech i Galicji chwytano broń, więziono powstańców, zapał stygł, zamiast pomagać, krytykowano tylko wszystko zawzięcie. Na posiedzeniach Wydziału Rządu Narodowego, w których i Sawicki brał udział, zajmowano się niestety przeważnie kwestjami teoretycznemi, raczej planami przyszłego urządzenia Polski niż środkami podniesienia powstania.

Przedewszystkiem zasadniczo zmieniła się postawa rządu austrjackiego — przystępował on już całkiem stanowczo do stłumienia ruchu powstańczego, a dnia 28. lutego ogłoszono stan oblężenia w Galicji.

Trzeba było myśleć o ratowaniu tego co pozostało, bo sytuacja stawała się coraz bardziej krytyczna, przytem fundusze wyczerpywały się zupełnie, wszędzie piętrzyły się trudności, intrygi. Nadeszła w końcu długo oczekiwana wiadomość od Różyckiego; przybył do Lwowa jego adjutant i przywiózł Sawickiemu w prezencie od niego piękną lunetę, a na zapytanie o tak niecierpliwie oczekiwane instrukcje odpowiedział, że jenerał kazał się pięknie kłaniać...

Jasnem więc było, że wszystko stracone. Ażeby nie kończyć z hańbą, pozwolić na rozbrojenie coraz bardziej topniejących oddziałów przez policję austrjacką, postanowił Sawicki wyruszyć z pozostałemi resztkami na Wołyń, by choć bohatersko zginąć. Ale

tu w tej chwili ukazał mu delegat Rusi Żukowski odezwę Wydziału, oświadczającą, że Ruś nie życzy sobie wkroczenia i że na wypadek wkroczenia nie otrzyma żadnej pomocy ani w ludziach ani w broni.

Nie pozostawało więc nic innego jak stać się grabarzem powstania...

PO POWSTANIU

Po ogłoszeniu stanu oblężenia w Galicji przez rząd austrjacki, prace organizacyjne dla podtrzymania chylącego się do upadku powstania stały się niemożliwe. Konfiskata wojennych przyborów, aresztowania ludzi mających wstąpić do oddziałów były na porządku dziennym; rwało się na wszystkie strony, a środków materjalnych nie było i Ruś nie przysyłała obiecanych pieniężnych zasiłków. Robiłem jednak co mogłem dla podtrzymania ruchu powstańczego w lubelskiem i krakowskiem, ale straciwszy zupełnie wiarę w możność udania się powstania, prosiłem Rząd Narodowy o udzielenie mi dymisji z obowiązku organizatora Galicji i danie pewnych wskazówek memu następcy. W miesiąc później otrzymałem odpowiedź Rządu Narodowego[1]), zawierającą uwolnienie od czynności w Galicji wraz z podziękowaniem za podjęte prace.

Obok tego pisma otrzymałem jeszcze drugie:

W Warszawie dnia 8. maja 1864.

Wydział wojny
Nr. 272.

Do pułkownika Strusia.

Zawiadamiamy Was Pułkowniku, że postanowieniem z dnia 6. maja r. b. Rząd Narodowy, przychylając się do Waszej prośby uwolnił Was od obowiązku zastępcy Organizatora Galicji.

Reskrypta te otrzymałem w początku czerwca 1864., kiedy już mowy nie mogło być, nie tylko o tajnej, ale o żadnej organizacji. Już w Królestwie nie było oddziałów powstańczych więk-

---

[1]) Wydrukowana w Wydawnictwie materjałów do historji powstania. T. II. str. 136—8.

szych, gdzieniegdzie tylko kręciły się kupki nieszczęśliwych, nie wiedzących co mają począć ze sobą. Bosak wyjechał do Drezna, co było lepszego padło, zwątpiło, lub przekroczyło granicę Galicji i kryło się po lasach i pomiędzy szlachtą przed obławami policji. Rozprzężenie było takie, że niemożliwem było osiągnięcie jakiegokolwiekbądź posłuchu, jakiejbądź pomocy. Co gorzej, męty społeczne i to najbrudniejsze zaczęły na wierzch wypływać. Ojczyzna-Matka konała, a jej dzieci rozszarpywały nędzną spuściznę; każdy chwytał co się dało pochwycić. Kilka tysięcy zł. pozostałe w różnych kasach zniknęły; efekta, konie, uprząż — rozkradziono. W przemyskiem obywatel Jan U......., u którego skrył się pułkownik Sawa, mający z małym oddziałkiem przekroczyć granicę, wziął na przechowanie 6. tys. zł. obiecując je oddać w dzień wystąpienia oddziału. Lecz tegoż dnia w nocy, wszedłszy do pokoju, gdzie spał dowódca i obudziwszy go zagroził mu oddaniem go w ręce austrjackiej policji, jeżeli nie podpisze natychmiast kwitu, że już odebrał depozyt. Przestraszony Sawa podpisał, lecz obawiając się zdrady, przez okno w nocy uciekł od tego znakomitego patryjoty i przybył do mnie do Lwowa ze skargą na ten rabunek; oddział zaś jego nie doczekawszy się dowódcy rozsypał się na wszystkie strony. Oddałem U.......... pod sąd obywateli z przemyskiego, przed którymi zeznał, że postrachem rzeczywiście zabrał te pieniądze u Sawy, lecz zwrócić pieniędzy nie może, bo je wydał na różne gospodarskie potrzeby. Sąd obywatelski orzekł, że przestępca będzie ratami spłacać co zabrał w tak zbójecki sposób!... W okręgu lwowskim, obywatel pewien zabrał nową uprząż posłaną do obozu małego oddziałku powstańców, kręcącego się nad granicą, a na miejsce jej wysłał starą swoją, powiązaną sznurkami i rzemykami... Wobec rozprzężenia, wobec tych smutnych obrazków nikczemności ludzkiej i utraty wstydu nie było co robić. Na mocy danego mi przez Rząd Narodowy prawa, mianowałem Organizatorem Galicji Tomasza Winnickiego, który jeszcze marzył, jeszcze wierzył, że coś da się zrobić, a sam zacząłem myśleć o wyjeździe z kraju na tułaczkę. Chwile te dla mnie były okropne. Idąc do powstania byłem przekonany, że albo zginę, albo Polska będzie, tymczasem i nie zginąłem i Polski nie było, a przedemną stała przyszłość wygnańca. Były chwile w których już się decydowałem przedrzeć się przez granicę Polski i tam dać zabić Moskalom; rozpacz jednak ustąpiła miejsca rozwadze, że nie wszystko jeszcze skończyło się, że okoliczności zmienią się i że jeszcze będę mógł oddać usługi krajowi.

Wyjazd z Galicji, dla mnie, za którego wykrycie wyznaczono 3 tys. zł., nie był tak łatwy. Radzono mi wyjechać przebrawszy się za księdza, potem jeden z oficerów austrjackich (Rozwadowski) chciał mnie wywieść do Wiednia jako służącego swego, potem handlarz końmi (Barącz) miał zamiar wysłać mnie do Wiednia z końmi, ale zawsze coś stanęło na przeszkodzie, a przedewszystkiem wielka odpowiedzialność, bo sądy wojskowe nie żartowały. Znudziło to mnie, wyjechawszy więc z fałszywym paszportem do pierwszej stacji koleji, siadłem na pociąg i wyruszyłem do Krakowa. W Krakowie oglądali pasporta i jadącego ze mną obywatela, mającego najlegalniejsze papiery pociągnięto do komisarza policji do tłumaczenia się; mnie zaś nikt nie zaczepiał i w nocy na drugi dzień już byłem w Dreźnie.

Nie umiem opisać jakiego ciężkiego uczucia doznałem przejeżdżając granicę Polski, którą żegnałem na długie lata. Cała przeszłość moja, całe dzieciństwo, młodość, nadzieje, stanęły przedemną rozbite, potrzaskane, a tam... w mglistej przyszłości widziałem ciężką walkę o chleb, nędzę, zwątpienie, tęsknotę i rozpacz!... Wrogowi nie życzyłbym przechodzić chwile podobne... Miałem takie uczucie, jakby odcięto z mej duszy te struny, które mnie z życiem łączyły, a nie nawiązano żadnych nowych...

W Dreźnie stanąłem w hotelu w Alt-Markt i po obiedzie przepatrując dzienniki. Między przyjezdnymi znalazłem imię Borysa Stala-von-Holstein, jenerała brygady 1. dywizji kawalerji, w której byłem szefem sztabu, z żoną, a że kiedyś żyłem z nimi w wielkiej przyjaźni, pobiegłem do nich. Zdziwienie tych ludzi, gdy obaczyli mnie w czamarce i konfederatce, było niezmierne. Utyskiwaniom tych ludzi, żem rozbił tak świetną karjerę, nie było końca. Rozpytywali o mojem życiu, o przebieg powstania i o plany moje na przyszłość, a współudział ich był tak serdeczny, tak przyjazny, że wzruszył mnie prawdziwie, opowiadałem im o przeszłości, lecz cóż mogłem powiedzieć co myślę począć, dokąd się udać, kiedy sam nie wiedziałem tego. Dawny wojskowy, nic nie umiałem gruntownie oprócz wojaczki; wykształcenie miałem encyklopedyczne: wszystkiego liznąłem, ale w żadnym przedmiocie nie byłem silny. A jednak potrzeba było decydować się na coś, bo w kieszeni było bardzo niewiele, oddałem bowiem co miałem na powstanie; ale wówczas miałem 33 lat, kiedy to człowiek ma siłę, ma moc woli, energję i ambicję. Zdecydowałem się więc udać do Szwajcarji, gdzie miałem kilku przyjaciół z dawnej emi-

gracji, z którymi zaprzyjaźniłem się jeszcze w czasie pierwszej mojej podróży za granicę w r. 1856.

Przybywszy do Genewy, nająłem pomieszkanie u pp. Beurrié, mieszczan genewskich na placu de la Fusherie, gdzie za 100 fr. miesięcznie miałem pomieszkanie, wikt, opał, światło, pranie i obsługę. Było to dość wiele na kieszeń wygnańca, ale spodziewałem się, że mi nadejdą pieniądze z domu, bo tam zostawiłem część mego mienia, nie wiedząc co się ze mną stanie, a zresztą że coś także zapracuję.

W końcu r. 1864, gdy się już wszystko skończyło w Polsce, zaczęły się zwolna opróżniać więzienia pruskie, austrjackie, a więźniowie-Polacy szli na wygnanie za granicę. Do Genewy przybyło więcej niż 70 obdartych rodaków, bez środków do życia, bez znajomości kraju i obyczajów, po większej części chłopków naszych i małomieszczan. Wiedząc, że bieda i nędza są matkami zbrodni, udałem się do zacnego p. Aleksandra Stryjeńskiego, kapitana artylerji, z r. 1831, proponując mu, aby jako najstarszy, wiekiem stanął na czele młodej emigracji i utworzył komitet bratniej pomocy, któryby zajął się zbieraniem środków na ubranie i nakarmienie biedaków nie wiedzących co ze sobą począć. Będąc przekonany, że dawanie pomocy tylko demoralizuje człowieka, podjąłem się wyszukania pracy dla każdego z nich i ulokowania w jakimkolwiekbądź rzemiośle. Nie łatwo było to zrobić, bo ani jeden nie rozumiał po francusku, ani po niemiecku,

Poznajomiłem się z różnymi majstrami i rzemieślnikami, a ponieważ w Szwajcarji interesu nie robi się bez traktamentu, poiłem więc ich i sam piłem z nimi, chodziłem od szynku do szynku, bawiłem opowiadaniami i zyskawszy ich przyjaźń, zacząłem jednego do drugim umieszczać naszych biedaków przy różnych rzemiosłach. Od rana do wieczora biegałem po przedmieściach i po wsiach okolicznych, szukając zatrudnienia dla nowej tej emigracji. Nieraz o zmierzchu wracałem do domu, pokryty kurzem, ze strasznym bólem głowy, wskutek wypitego w ciągu dnia nędznego wina, rzucałem się na łóżko ledwo żywy ze zmęczenia, a na drugi dzień zaczynałem tąż samą pracę. W ciągu dwóch miesięcy wszyscy już byli umieszczeni, wszyscy zaczęli pracować i przy pomocy komitetu, każdy już miał zapewniony kawałek chleba. Dokonawszy tej wielkiej pracy, postanowiłem jeszcze dwa razy na tydzień odwiedzać pracujących, żeby pośredniczyć między nimi a majstrami, usuwać nieporozumienia i nie dopuszczać żeby wyzyskiwano nieszczęśliwych wygnańców, Praca ta jakkolwiek

ciężka, dawała mi wielkie wewnętrzne zadowolenie, uważałem ją bowiem za służbę dla kraju, nie chciałem, aby Polacy byli ciężarem kraju, który dał im przytułek i pragnąłem dowieść Szwajcarom, że umiemy być wdzięczni za gościnność. Niektórzy z nich w stosunkowo bardzo krótkim czasie stanęli tak dobrze, że nie potrzebowali pomocy komitetu. Pamiętam, że jeden z nich nazwiskiem Bandurski uczeń 3-ciej klasy, umieszczony w szkole zegarmistrzowstwa na koszt komitetu, w pierwszym roku już otrzymał wielki srebrny medal za pracę konkursową. W kościele protestanckim zebrała się publiczność dla przypatrywania się rozdawaniu nagród. Z ciekawości zaszło i nas tam kilku, nie przewidując, jaka nas tam czeka niespodzianka. Wtem prezydujący ogłasza, że wielki srebrny medal został przyznany naszemu rodakowi i przywołuje go do odebrania nagrody. Biedny chłopiec, ubrany w ubogą połataną sukmankę, nie rozumiejąc języka, a słysząc swe imię, nie wiedząc o co chodzi, z przestrachu chciał się wymknąć za drzwi. Złapaliśmy go w drodze i popchnęliśmy na środek, aby szedł po otrzymanie pierwszej nagrody. Nieborak zbladł i tak się przeraził, że ledwie na nogach się trzymał. Gdy Szwajcarowie obaczyli tego biedaka nędznie odzianego, który talentem swoim tak się odznaczył, sypnęli mu huczne brawo. „Brawo Polaku!“ Dzień ten był początkiem karjery Bandurskiego. W rok potem ukończył szkołę z wyszczególnieniem i wstąpił do fabryki Patka. Miał szczególny dar do zastosowania nowych pomysłów w zegarmistrzostwie do zegarków, a że to jest bardzo popłatne, był poszukiwany przez majstrów. Nie mała to też rzecz zasłynąć jako dobry zegarmistrz w mieście zegarmistrzów. To też gdy odwiedziłem Genewę 1873 roku, Bandurski miał swoją własną willę pod miastem i zarabiał do 10. tys. fr. rocznie.

Drugi, który z emigracji naszej zrobił znaczną fortunę, był Czesław Rymtowt, Litwin, były porucznik wojsk moskiewskich. Przybywszy do Szwajcarji i nie umiejąc żadnego rzemiosła, wstąpił na naukę do pieczętarza w Nefshateln, żeby się nauczyć rżnąć na metalu i na kamieniu. Gdy po niejakim czasie nauczył się tego rzemiosła, przybył do Genewy i tu pożyczywszy 300 fr. najął mały sklepik i zaczął wyrabiać pieczęcie. Ale był to zanadto mały interes, aby człowiek mógł się przy nim utrzymać bez wielkiej biedy. Wprawdzie bank genewski dla handlu i przemysłu przekonawszy się, że to jest uczciwy i pracowity człowiek, otworzył mu kredyt w banku, ale ten kredyt był bardzo ograniczony i przyszłość nie uśmiechała się biednemu pracownikowi. Wyjecha

więc do Nefshateln i tam ożenił się ze Szwajcarką panną Prince, byłą guwernantką, już nie bardzo młodą i piękną, ale nadzwyczajnie zacną, poczciwą, miłą i wykształconą, która miała mały kapitalik wynoszący około 12 tys. fr. — Z tym kapitalikiem otworzyli magazyn papieru i potrzeb kancelaryjnych. obok wyrzynania pieczęci. Na sklepie szyld oznajmiał, że to jest „Papeterie de Rymtowt Prince". W Genewie znajduje się mnóstwo dawnych rodzin arystokratycznych, które tu emigrowały w czasie francuskiej rewolucji, unosząc z sobą majątek i dawne tradycje. Chociaż instytucje republikańskie zrównały wszystkich przed prawem, jednak tradycje arystokratyczne w rodzinach tych pozostały, skojarzywszy się między sobą związkami rodzinnemi i interesami, utworzyli partję arystokratyczną w Genewie, która nieraz już przychodziła do władzy, do kierownictwa sprawami rzeczypospolitej. Partja ta jest bardzo zamknięta w sobie i nie dopuszcza do swego kółka intruzów. Któryś z tych panów, przeczytawszy nadpis „Rymtowt-Prince" powziął przekonanie, że to jakiś polski arystokrata straciwszy fortunę osiadł w Genewie i w ten sposób zarabia sobie na chleb, a domysł swój zakomunikował krewnym i znajomym. Potrzeba mu pomódz, rzekli sobie i zaczęli u niego kupować wszyscy. Napływ gości w magazynie naszego Litwina stał się tak wielki, że interes zaczął się rozwijać bardzo pięknie, grzeczność i dobre wychowanie kupców potwierdziło powzięte przekonanie. Widząc, że ciągle się dopytują o różne albumy kosztowne i cacka z bronzu, zaczął sprowadzać takowe z Wiednia i Paryża, a ponieważ w Szwajcarji istnieje zwyczaj podawania podarunków dzieciom i krewnym przed świętami, sprzedaż tych przedmiotów szła nadzwyczajnie prędko i z wielką korzyścią. Małżonkowie pracowali od rana do wieczora i w bardzo krótkim stosunkowo czasie zrobili ładną fortunę, a wkrótce magazyn ich rozszerzony i upiększony należał do najlepszych i najpiękniejszych magazynów w całej w Genewie. Gdym odwiedził ich w r. 1873, inwentarz magazynu ich rachowano na 200 do 300 tys. fr. — A wszystko to zrobiło maleńkie „Prince" dołączone do nazwiska, praca, uczciwość i wychowanie dobre!

Po umieszczeniu wszystkich nie mających zatrudnienia, potrzeba było pomyśleć i o sobie. Dostałem w krótce kilka lekcyj matematyki, fizyki, botaniki i fizjologji, oprócz tego rysowałem plany różne i to wszystko przynosiło mi zwyż 130 fr. na miesiąc. W chwilach wolnych od lekcji i od przygotowania do nich pisałem korespondencje, robiłem różne zabawki dziecięce z drutu,

znając pyrotechnikę robiłem ognie bengalskie dla magazynów; wszystko to przynosiło mi także pewne dochody, bo za granicą wszelka praca opłaca się. Nareszcie zająłem się mikroskopowem badaniem najniższych organizmów. To ostatnie interesowało mnie niezmiernie, bo świat ten drobnowidzowych żyjątek bardzo mało mi był znany, a tak pełny tajemnic i nieoczekiwanych niespodzianek! Często po kilkanaście godzin przesiadywałem nad mikroskopem, zapisywałem spostrzeżenia, porównywałem je z opisami najsłynniejszvch badaczy, robiłem rysunki i z prac tych utworzył się spory tom, który mi potem oddał wielkie usługi po powrocie do kraju. Co więcej, badania te rozwoju pierwotnych form życia tyle zajmywały czasu i tak uspakajały, że w tęsknocie za krajem, która mnie nadzwyczaj często męczyła, praca ta była znakomitem lekarstwem.

Prace Stowarzyszenia bratniej pomocy szły swoją drogą, i ktoby uwierzył, że w dwa lata zebraliśmy i wydaliśmy na pomoc biednym wygnańcom około 50 tysięcy franków, oprócz bielizny różnej i odzienia, a większa część tych pieniędzy była zebrana z nas samych, stowarzyszonych. Nawet gdy był głód w Galicji w roku 1865, stowarzyszenie nasze na propozycję moją wysłało od siebie zasiłek pieniężny dla cierpiących braci, aby w kraju obudzić większą ofiarność dobrym przykładem. Oto jest list który otrzymałem od hr. Reya Mieczysława po tej posyłce: „Kochany Janie! Wszyscy tutaj zachwyceni są postępkiem naszej emigracji w Genewie. Wierzaj mi, dar wasz, ten grosz wdowi ciężko zapracowany a od niezbędnych potrzeb odjęty, znalazł powszechne uznanie i admirację. Nie wam biedakom zasilać datkiem dotknięte głodem okolice Galicji, ale kraju staraniem być powinno, przychodzić wam w pomoc. Daliście nam słuszną naukę, a owe 100 franków z Genewy najlepszą są odpowiedzią na wszystkie oszczerstwa dzienników moskiewskich. Przeczytawszy w gazecie o waszym datku, nasamprzód zawołałem: „ot znowu to warjacisko wydarł coś od biednego narodu, dla jeszcze biedniejszych“, ale zaraz się poprawiając, poszedłem uściskać twoją fotografję, nie mogąc uściskać Ciebie samego. Nie mogliście zrobić nic piękniejszego, a wiem, że nie jeden tutaj uprzedzony do emigracji, nawrócił się widząc owe poczciwe serca naszych biedaków i gotowość nieustającą poświęcenia się dla kraju. Wdzięczny ci jestem mój drogi osobiście za tę propagandę czynu. Szlachetna myśl rzucona przez Cie-

bie, przyjęła się w kraju: dziś wszędzie zbierają składki i loterje na głodnych".

Nie mogę się powstrzymać, żeby nie przytoczyć drugiej części listu, bo w niej jest nakreślony stan Galicji w dwa lata po powstaniu.

„Lwów i kraj cały jest dość ożywiony. Inny to ruch, inne ma podstawy i cel jak w czasie powstania, ale zawsze jest życie, a i to już wiele. Galicję zastałem nie taką jak sobie przedstawiałem, znalazłem, ją o wiele lepiej. Przeklinają wprawdzie przeszłość, ale rąk nie zakładają i nie kładną się do długoletniego snu z przekleństwem na ustach. Konstytucja, jaka ona jest, zrobiła tyle dobrego, że obudziła ludzi, postawiła ich na nogi do walki umysłowej. W tej walce najsprzeczniejsze elementa ścierają się, zaglądają sobie w oczy i serca a prawda wcześniej lub później musi wyjść na jaw. Gdyby nie ta komedja konstytucyjna, byłaby Galicja upadła w długoletni letarg, kołysana pieśnią Popielów i całym chórem zaprzańców! Dzisiaj atoli ta partja z każdym dniem traci na wzięciu i mam nadzieję, że wkrótce zniknie z powierzchni. Ruch umysłowy w jakimkolwiekbądź kierunku rozbudzony, ma to dobre za sobą, że zmusza do pracy intelektualnej, z której wytryska światło, a ginie cień a z nim owe mgliste postacie fałszywych proroków i uwodzicieli narodu. Z konstytucji zaś ekonomicznej zdaje się nic nie będzie".

Wiadomości otrzymane od rodziny w ciągu dwóch lat pobytu mego w Genewie były bardzo smutne. Brat mój starszy Adolf był zesłany do Czerdynia za granicę Syberji; brat cioteczny Stanisław Olendzki, druh dni młodzieńczych — do katorgi na lat piętnaście.

Wtedy gdy bracia moi męczyli się, jeden na wygnaniu, a drugi w katordze, ja żyłem wśród najpiękniejszej natury i zabezpieczony pod względem materjalnym niezbyt uciążliwą pracą. Jedna rzecz która mię ciężko gniotła, była tęsknota straszna do kraju, tęsknota, która czasem dochodziła do rozpaczy, do marzenia o samobójstwie, przy myśli, że już nigdy mego ukochanego kraju nie obaczę. Czasami tęsknota przechodziła w rodzaj choroby umysłowej. Sam jeden w ciszy wydany na łup własnych myśli czułem, że zginę, jeżeli nie wrócę do kraju: oczy zachodziły łzami, ręce drżały, w piersi brakło tchu, czoło było zimne, ale wewnątrz czułem płomienie. Wówczas jak widmo stawały przedemną młodość, matka, rodzina, Kowno ze swoim cmentarzem na którym spoczywała ukochana siostra, zmarła w czasie narze-

czeństwa, ogród nasz, drzewa, dolina Mickiewicza, powietrze, dźwięk dzwonów... Jakaś siła niepojęta, straszna i gwałtowna ciągnęła mnie ku ziemi. Gdym chciał się modlić, tak jak to było dawniej, gdym był pobożnem dzieckiem, słyszałem śpiew dzieci w naszym szawelskim kościele, gdziem kiedyś do mszy służył z taką dumą; gdym chciał pracować umysłowo, przychodziła mi myśl, poco i naco to, komu to się przyda nauka moja.

Oprócz tego na tułaczce jedną rzeczą bardzo przykrą było, iż człowiek musiał żyć jako kolega często obok różnych wyrzutków społeczeństwa, niekiedy zupełnie spodlonych, a nie wolno mu było odosobnić się zupełnie, już choćby dlatego, aby niedopuścić do nowych podłości i kalania imienia polskiego przez zmiażdżonych życiem, nieraz zbrukanych niedobitków, szumowin i śmiecia. Ci, około których człowiek przeszedłby, nie zatrzymając się, żądali aby ich traktowano jako kolegów i oddawano koleżeńskie usługi, otrzymując za to w nagrodę bardzo często niewdzięczność, lub takie nieprzyjemności, jakich w życiu nie miał nigdy. Losy i potrzeby życia równały wszystkich.

Zdecydowałem się w końcu na powrót do kraju, chociażbym miał cierpieć, choćbym zginął nawet. Potrzeba jednak było zrobić to co odemnie zależało, to jest dostać naturalizację szwajcarską, którаby mogła mnie pokryć choć niewielką chorągwią rzeczypospolitej szwajcarskiej w jakimkolwiekbądź nieszczęśliwym wypadku.

Dostać szwajcarską naturalizację nie było tak łatwo. Na czele rzeczypospolitej stała partja tak zwana „Niezależnych“ (les independents): tak zwała siebie partja arystokratyczna, wtedy gdy partja demokratyczna Fasiego nazywała siebie — radykałami (les radicaux). Partrja „niezależnych“ zamknięta w sobie, konserwatywna, niechętnie zezwalała na naturalizację cudzoziemców, bo ci zwykle powiększali obóz przeciwnej partji, w której było więcej życia i więcej dążności liberalnych. Że względu iż rządowa partja w Genewie była bardzo silną, niepodobna było starać się o obywatelstwo w samem mieście Genewie. Za poradą więc Patka, którego dzieciom dawałem lekcje, pojechałem do gminy Verseix gdzie i on był naturalizowany. Sekretarzem gminy był niejaki Lafontaine. Darowałem mu ładny pierścień z krwawnikiem na pamiątkę i przez to pozyskałem go zupełnie dla mojej sprawy. Rząd genewski zapytany przez zwierzchność gminną, jakiej należy żądać odemnie taksy naturalizacyjnej, odpowiedział: „najwyższą“ (800 fr.), żeby utrudnić otrzymanie obywatelstwa. Pojechałem do gminy,

kupiłem beczkę wina, zaprosiłem moich przyszłych współobywateli na kieliszek, a gdyśmy już byli dobrze podochoceni, zapadła jednogłośna decyzja, żeby mnie przyjąć do związku gminy za najniższą taksą 200 fr. Podpiwszy razem z mymi współobywatelami musiałem wysłuchać oracji miejscowego nauczyciela szkoły, który bardzo niegrzecznie zaczął porównywać panowanie Aleksandra II. do Neronowego. Chciałem go prosić, żeby nie krzywdził nieboszczyków, ale zamikłem bo wiedziałem, że mowa jego zbliża się do końca. Dwóch silnych chłopów chwyciło mnie pod ręce i postawiło na stół wołając: „parlez, notre concitoyen“. Musiałem im wyciąć mówkę z której nic nie pamiętam, ale widać, że się podobała słuchaczom, bo po ukończeniu mowy, zaczęli wołać: „vive notre concitoyen, vive notre Général“. Z restauracji zaproszono mnie na posiedzenie zwierzchości gminnej i tam doręczono mi dekret przyjęcia. Z pułkownika moskiewskiego zostałem chłopem szwajcarskim i za ten zaszczyt zapłaciłem 200 fr. Byłem zdumiony, słuchając jak zdrowo, rozumnie i praktycznie kierowali sprawami gminy. To na co u nas potrzebaby komisyj, ekspertów, planów i kosztorysów, u nich się załatwia w krótkiej drodze, a zważcie, żeśmy byli wszyscy tęgo podpici. W kilka dni potem, w sali „wielkiej Rady“ w Genewie złożyłem przysięgę na wierność konstytucji i prawom i otrzymałem dyplom obywatelstwa kantonu genewskiego. Nic więcej nie stało na przeszkodzie do wyjazdu, bo już na drugi dzień miałem paszport szwajcarski w kieszeni.

Składając mój urząd sekretarza w Towarzystwie bratniej pomocy podałem jako powód, że jadę do Belgji szukać szczęścia i zwinąwszy manatki moje, a mając w trzosie zaoszczędzonych 2500 franków w złocie ruszyłem w drogę przez Wiedeń do Galicji. W Krakowie zatrzymałem się dni kilka, żeby obaczyć się z przyjaciółmi i za pomocą ich znieść się ze Lwowem dokąd dążyłem.

Nie umiem wyrazić słowami tej radości, której doznałem stanąwszy na ziemi ojczystej. Choć przyjechałem w późnej jesieni, kiedy nie tak wesoło w kraju naszym, jednak wszystko mi się uśmiechało: i zczerniała trawa i pożółkłe liście i smutne słonko wyglądające z poza chmur jak z pod welonu. Ale niestety na pierwszym kroku na ziemi ojczystej spotkała mnie zdrada. Niegodziwiec jeden, brat mego szczerego przyjaciela, dowiedziawszy się kto jestem, doniósł policji oznaczając dzień i godzinę mego

wyjazdu do Lwowa[1]). Ponieważ jednak nie siadłem na kolej żelazną w Krakowie, a tylko na innej stacji, krakowska policja zatelegrafowała do lwowskiej, żeby mnie tam przetrzymano. Wprawdzie już w drodze powziąłem podejrzenie, że jestem szpiegowany, ale licząc na moją szczęśliwą gwiazdę, nie przedsięwziąłem żadnych ostrożności. W Mszanie znalazłem powóz, który miał mnie odwieść bezpiecznie do Lwowa. Lecz na rogatce czekał mnie już komisarz policji Bleim z całym oddziałem policjantów. Zatrzymany przedstawiłem mu paszport szwajcarski, ale to nie posłużyło do niczego. Pan komisarz wlazł do karety z żandarmem, drugi żandarm siadł na koźle, a dwóch stanęło za karetą i z taką asystencją przybyłem do gmachu policji.

Dyrektorem policji wówczas był bardzo poczciwy człowiek p. Hammer[2]). Wezwany do niego powiedziałem mu, że jestem szwajcarem przyjeżdżającym dla dawania lekcji francuskiego języka.

— Skąd pan tak dobrze mówi po polsku?

— Długi czas poprzednio mieszkałem w Warszawie, gdzie uczyłem dzieci języka francuskiego.

— Zrewidować rzeczy tego pana, rzekł do komisarza, który mnie aresztował, a potem proszę mi zdać sprawę.

W tłómoczku moim nic nie znaleziono, ale tam było kilka notatek ręką moją pisanych, a że charakter mej ręki był dobrze znany policji, bo imię moje było na wszystkich prawie rozporządzeniach rewolucyjnych w r. 1863 i 1864, nie było więc dla nich żadnej wątpliwości kogo mieli w rękach swoich. Przewieziono mnie do więzienia, które wówczas było na placu Chorążczyzny w domu Duchińskiego. Komisarz Bleim spisał zemną protokół. Ma się rozumieć prawdy mu nie powiedziałem.

---

[1]) O przybyciu Sawickiego do Krakowa doniósł Namiestnikowi, zastępca szefa komisji Namiestnictwa w Krakowie Cavriani dnia 27 listopada l. 202 (Arch. państw. Lwów) — zwracając uwagę, że ma on paszport szwajcarski na nazwisko Stella wystawiony, że jedzie z misją od Mierosławskiego i że pozostaje w porozumieniu z Hercenem i Mazzinim — co było wogóle niezgodne z prawdą.

[2]) Wszyscy, którzy mieli sposobność zetknąć się z Hammerem wyrażają się o nim jak najprzychylniej i stwierdzono powszechnie, że gdzie tylko można było, na powstańców patrzał „przez palce". Wiemy skąd inąd, że Gołuchowski zarzucał mu zbytnią wobec emigrantów pobłażliwość i z tego powodu nie chciał go przedstawić do awansu. Potomkowie Hammera są dobrymi Polakami i szanowanymi obywatelami kraju.

Następnie wrzucono mnie do więzienia. Jedenaście dni przesiedziałem w tej obrzydliwej dziurze, w której okna były opatrzone nie tylko kratami, ale i koszami drewnianemi, żeby więzień nic nie mógł widzieć prócz nieba. Robactwa była taka moc niezliczona, że nie dawało mi spokoju ani we dnie, ani w nocy. Lecz jest to właściwość każdego więzienia, uskarżać się więc na to nie miałem żadnego prawa.

Obchodzono się jednak ze mną względnie. Zostawiono mi rzeczy moje, książki, pozwolono widzieć się z przyjaciółmi i pisać artykuły do dzienników. Dozorca więzienny czyli kerkermajster odwiedzał mnie często: traktowałem go winem, po które posłałem do miasta i zrobiłem mu plan domu, który miał sobie zbudować. Stąd pochodziła wielka jego pobłażliwość dla mnie i różne grzeczności, na jakie tylko mógł się zdobyć.

Po dwóch dniach pobytu w więzieniu, widząc, że dalsze zapieranie się nie ma żadnego sensu, prosiłem dyrektora policji, żeby mnie odwiedził, bo chcę z nim pomówić. Hammer przyjejechał natychmiast i zaprosił mnie do swojej kancelarji.

Tu opowiedziałem mu cały przebieg życia mego, moje dawne stanowisko i cel przyjazdu do kraju.

— Opowiadanie pańskie bardzo mnie zainteresowało, czemu pan nie opisze życia swego tak pełnego różnych ciekawych wypadków?

— A to poco? Jeżeli opowiedziałem panu, to jedynie dlatego, żeby nie bawić się w chowankę i nie kłamać, bo do tego wstręt czuję, lecz dawszy się poznać, prosić pana o dopomożenie mi do otrzymania pozwolenia pozostania w kraju. Znam pana od dawna, chociaż nieznany panu i dlatego śmiało udaję się do pana z tą prośbą.

— A skądże pan mnie zna?

— Pan dyrektor był szefem policji w r. 1863 i 1864, wtedy gdy i ja miałem dobrą policję własną, która mi donosiła o każdym kroku pańskim, o każdem zarządzaniu pana. Wtedy to nauczyłem się szanować pana, bo nigdy nie robiłeś więcej nad obowiązek swój i ani razu nie byłeś przyczyną czyjegobądź nieszczęścia.

Słowa te moje widocznie bardzo go ujęły.

— A ja powiem panu, że wiedziałem gdzie mieszkałeś w czasie powstania, jednak nie kazałem aresztować pana.

— Wybacz więc panie Dyrektorze, że w to nie uwierzę, bo za złowienie pułkownika Strusia wyznaczono było 3. tys. zł.; na taką nagrodę skusiłby się nietylko prosty ajent policyjny, ale i komisarz policji. Pan Dyrektor dowiedziałeś się o miejscu mego pomieszkania wówczas gdym już wyjechał ze Lwowa i gdy nie było potrzeby robić z tego tajemnicy. W czasie pobytu mego we Lwowie pięć razy robiono rewizję w tym domu, w którym ja mieszkałem, lecz zawsze umiałem szczęśliwie uniknąć pazurków policji.

— Nieszczęśliwy czas obrałeś pan dla przyjazdu, rzekł Hammer. Namiestnikiem jest Gołuchowski, rodak, który musi być mniej względnym dla pana, aniżeli cudzoziemiec. On żadną miarą nie zgodzi się dać panu pozwolenia pozostania w kraju. Masz tu pan w kraju nieprzyjaciół, którzy się bardzo źle o panu odzywają wobec Namiestnika i o celach, które pana tu przyprowadziły (był to, jak się potem dowiedziałem, Ksawery, Abancourt). Obiecuję panu, że zrobię co będzie można na korzyść pańską, lecz uprzedzam, że nie wiele zrobić mogę, bo Gołuchowski, jest tak źle uprzedzony do pana, iż się odezwał, że bardzo żałuje, że pan uzyskałeś obywatelstwo szwajcarskie, bo wydał by pana Moskwie.

Rozstałem się z Hammerem, zadowoleni jeden z drugiego. Robiłem wszelkie starania aby pozostać w kraju. Dobrzański ofiarował się natychmiast dać mi miejsce w redakcji, żeby zapewnić rząd, iż będę miał utrzymanie, ale wszystko to było napróżno, Gołuchowski nie chciał słyszeć o tem, bo pamiętał jeszcze to, jak go zmusiłem zapłacić podatek narodowy. Opowiadano mi, iż w dzień aresztowania mego, był wieczór u Gołuchowskiego, na którym znajdował się hr. Alfred Potocki po powrocie z polowania, które się niezwykle dobrze udało. Hammer zbliżył się do Potockiego i winszował mu szczęśliwego polowania, na którem zabito olbrzymiego dzika. Potocki wiedział już o mojem aresztowaniu, bo wieść ta zaraz rozniosła się po mieście, które mnie dobrze znało, odpowiedział mu więc: „co to znaczy polowanie moje w porównaniu z pańskiem. Myśmy zabili dzika, a pan upolowałeś dzisiaj żywego Strusia!

Po jedenastu dniach pobytu w zgniłem i wilgotnem więzieniu dano mi urzędnika policyjnego, któremu wręczono moje pieniądze i papiery i o godzinie 5 z rana kazano mnie wywieść za granicę, wziąwszy poprzednio przyrzeczenie na piśmie, że nigdy

nie przekroczę granicy austrjackiej. Dałem podpis mój, lecz oświadczyłem, że za lat parę wrócę znowu[1]).

Na kolei żelaznej starałem się, żeby nikt z jadących ze mną nie domyślił się, że jadę z aniołem stróżem, ale nie było żadnej możności: podła szpiegowska fizjonomja policyjnego szpicla, jego zaszargane odzienie i śledzenie mego każdego kroku zwracało uwagę wszystkich. Robiłem co mogłem, aby mego arhuza zrobić grzeczniejszym, traktowałem cygarami, karmiłem wszędzie gdzie tylko jeść chciał, lecz nic nie pomogło. Nareszcie dojechałem do Krakowa, gdzie dano mi innego szpicla, żydowskiego pochodzenia. Na stacji koleji komisarz policji przerachował moje pieniądze i z nich wypłacił memu aniołowi stróżowi ze Lwowa 50 zł. — Ależ panie komisarzu, ja go karmiłem w drodze, ja sam płaciłem za drogę i za fjakra, dla czegoż każesz pan płacić za to powtórnie? Komisarz popatrzył na mnie z pogardą i szyderstwem, a potem wpisał do rachunku wydatek, nie racząc nawet dać mi żadnej odpowiedzi. Ha, pomyślałem sobie, policja wszędzie policją, czy to w Moskwie czy w Austrji; jestem w jej ręku, więc tu mówić nawet napróżno. Wsiadłem do wagonu, który mi wskazano, a obok posadzono jakiegoś emigranta wysyłanego także za granicę z asystentem. Komisarz podszedł do wagonu i rzekł do mego szpicla: „z pieniędzy tego pana, i wskazał na mnie palcem, zapłacisz drogę za wszystkich, a także weźmiesz sobie i swemu koledze na powrót, bo ten pan jeszcze ma pieniądze, a tamten nie ma“. Milczałem, patrząc jak łupią dobro moje: ileż to nocy spędziłem w pracy, ile to razy odmówiłem sobie koniecznego pokarmu, żeby uzbierać tę małą sumkę i nie być w kraju ciężarem nikomu, a tu rządowi urzędnicy rozkradają moje mienie, jak gdyby na drodze je znaleźli.

---

[1]) Po wydaleniu Sawickiego wydało Prezydjum Namiestnictwa następujący okólnik do wszystkich Starostw:

L. 10294/pr. Lwów 5. stycznia 1867. Odwołując się do okólnika z dnia 1. grudnia 1866 oznajmia się Panu, że przydybany we Lwowie 27 listopada 1866 polski emigrant Michał Sawicki już przez Salzburg poza granice kraju został usunięty. Ponieważ tu się rozchodzi o osobistość w kołach emigracyjnych wybitną i ponieważ Sawickiego podejrzywano także, że jako emisarjusz Mierosławskiego w Galicji usiłował nawiązać stosunki, przeto wzywam Pana, ażebyś na wypadek jego powrotu do kraju postąpił z nim z całą stanowczością, a zarazem uczynił doniesienie po myśli powyższego okólnika. C. k. Namiestnik Gołuchowski. — Do okólnika dołączono rysopis, który wspomina, że jest to bardzo wykształcony człowiek, usposobienia łagodnego, obejścia uprzejmego, spokojnego.

O 5. z rana w niedzielę stanęliśmy w Wiedniu. Zaprowadzono mnie z początku do kancelarji policyjnej. Jakiś Niemczura w szlafroku i papuciach wyszedł zaglądnąć mi w oczy, a potem pod konwojem dwóch żołnierzy z nabitemi karabinami odesłał mnie do więzienia. Dziękowałem Bogu, że jeszcze było ciemno i że nikt nie widział mnie idącego w tej asyście. W kancelarji więziennej podoficer odebrał mi wszystkie rzeczy jakie miałem przy sobie, przetrząsł kieszenie, odebrał nie tylko cygara ale i czapkę moją abym uciec nie mógł, przez długi korytarz zaprowadził mnie do sali, w których kilkudziesięciu aresztowanych różnego gatunku wylegiwało się jeszcze na pryczy lub wstawało ze snu. Smrodliwa, dusząca, napełniona obrzydliwymi miazmatami atmosfera odurzała mnie, brud otaczający, wstrętne fizjonomje nowych towarzyszy napełniły zbolałą duszę moją takim bólem, takim żalem i wściekłością, że omało nie płakałem w mojej bezsilności, nie wiedząc co robić, gdzie stać, gdzie siąść. Usiadłem nareszcie na rogu tapczanu na którym spali więźniowie, lecz wnet odskoczyłem, obaczywszy przy świetle kaganka pełzające po nim baranki egipskie. Wtedy gdym stał pod ścianą oszołomiony i ogłupiały, jakiś łysy z wybitemi zębami Niemiec dźwignąwszy się z ławy podsunął się do mnie z zapytaniem: „Mein Freund, was haben Sie gestohlen“? Na zapytanie to krew rzuciła mi się do głowy tak silnie, że omało nie upadłem, dowiedziawszy się, że jestem osadzony w więzieniu, gdzie przetrzymują złodzieji i rzezimieszków, złowionych w mieście na gorącym uczynku! Czując, że mdleję, tem więcej, że ze smutku już więcej niż 24 godzin nic nie miałem w ustach, blady oparłem się o ścianę, a łzy puściły mi się z oczu, bo ciągle stała mi przed oczyma myśl, że jestem zamknięty ze złodziejami! ze złodziejami!...

Jeden z wieźniów, jakiś żydek galicyjski, bo mówił po polsku, ulitował się nademną: „tu złe powietrze rzekł, ciągnąc mnie za rękę, ja wyprowadzę pana na podwórze więzienne“. Powlokłem się za nim. Świeże powietrze orzeźwiło mnie nieco. Pomimo dość wielkiego zimna pozostałem bez czapki na podwórzu aż do jedenastej z rana, kiedy mnie znowu wezwano do kancelarji, dano czterech żołnierzy do konwoju i tak bez czapki jak złoczyńcę jakiego, pędzili przez miasto do zarządu głównego policji. Com wycierpiał moralnie przez tych kilkadziesiąt minut, nie jestem w stanie wypowiedzieć: twarz była w ogniu, a febra mnie trzęsła, nic nie widziałem idąc przez ulicę, nic nie słyszałem. Wstyd i rozpacz myśl mi prawie odejmowały. Chciałem skoczyć na żołnierza, wyr-

wać mu bagnet i bronić się, żeby mnie na miejscu lepiej zakłuto lub zastrzelono, aby nie pastwiono się w tak haniebny sposób. Usłyszawszy jednak, że na zapytanie jakiegoś oficera, żołnierz odpowiedział: „das ist ein Pole"! wstrzymałem się od tego czynu rozpaczy, przypomniawszy sobie, że inni Polacy jeszcze więcej cierpieli.

Stawiono mnie przed jakimś wyższym urzędnikiem, który przerachowawszy pieniądze sprawdził rachunek podany przez dodanego mi szpicla. Okazało się, że przez tę noc wydano z moich pieniędzy 117 zł. Cyfra ta uderzyła urzędnika. Dowiedziawszy się, że w Krakowie kazano mi zapłacić za drugiego jadącego razem ze mną, oburzył się na to postępowanie krakowskiej policji i powtarzał co chwilę: „Diebe, Spitzbuben!" „Pan powinieneś przesłać skargę z zagranicy i żądać zwrotu tego co wydarto panu podle". Odpowiedziałem mu, że oddam wszystko co mam, wszystko do koszuli i o kiju wyjdę za granicę, żeby mnie tylko wybawili od towarzystwa w którem siedzę od rana i od włóczenia się po mieście bez czapki pod eskortą żołnierzy, jak złoczyńca jaki. Nareszcie prosiłem go, ażeby dano mi osobny pokój w więzieniu, gdziebym mógł doczekać 10 godziny wieczorem, kiedy pociąg wychodzi do Salzburga. Urzędnik był widocznie nieco skonfundowany, bo Niemcowi zdawało się, że strata pieniądza jest najboleśniejszym ciosem, który może spotkać człowieka i wydał odpowiednie rozkazy. Znowu mnie prowadzono przez miasto do więzienia policyjnego, gdzie zgodnie z prośbą moją posadzono mnie do osobnego numeru i zaparto ryglami podwójnemi. Czułem żem chory, gorączka trawiła mnie, lecz nie odważałem się prosić o wodę, bo było tam wszystko tak brudne, że myśl o jakimś pokarmie lub napoju odstępowała od człowieka.

Nie długo jednak byłem samotny. Klucz zgrzytnął w zamku i wepchnięto do mej celi jakichś ichmościów. Jeden z nich siadł na krześle i dumał, drugi zaś Słowak, zaczął zaraz utyskiwać: „Cóżem ja zrobił złego. Tamten kradł, a ja tylko świeciłem mu, a teraz pewnie sąd skaże mnie na cztery lata więzienia. Dobrze jak cztery lata tylko a może i więcej"...

W miłem towarzystwie przesiedziałem do 7 wieczorem, kiedy przyszedł jakiś szpicel mający mnie odstawić do granicy. Spotkałem go z taką radością, z jaką pewnie św. Piotr nie spotkał anioła przychodzącego do więzienia jego. Nowy mój towarzysz w ciągu całej podróży był niezmiernie grzeczny i usłużny. To też

zapewne nie żałuje tego, bo z radości iż znowu się zbliżam do mej drugiej ojczyzny zapłaciłem mu za fatygę sowicie.

Na drugi dzień przekroczyłem granicę Austrji; oddano mi paszport i resztę pieniędzy. Wizyta którą zrobiłem krajowi ojczystemu trwała zaledwie dwa tygodnie, a pochłonęła niemal cały dwuletni mój zarobek...

Ciężko było w duszy, próba dostania się do kraju nie udała się. Czyżbym był skazany na wieczne tułactwo? Chwilkę tylko mego pobytu w Krakowie byłem szczęśliwy. Już tam teraz zostało po mnie tylko krótkie wspomnienie, a jutro, pojutrze wszelki ślad zostanie zatarty... Tak rozstępują się fale pod wiosłem, zaszumią, opadną i śladu nie pozostanie którędy łódź popłynęła!...

WALKA Z NĘDZĄ

Na granicy w Salzburgu towarzyszący mi anioł stróż doręczył 30 zł., jako resztę z moich 2000 fr. w złocie, które przywiozłem ze sobą. Reszta została wydana na opłatę podróży przymusowej mojej, podróży ajentów policyjnych, djety ich i t. d. Zresztą nikt się nie troszczył o wydanie mi jakiegoś rachunku z sumki ciężko zapracowanej w ciągu dwu lat, a roztrwonionej szybko przez ajentów bezpieczeństwa publicznego, dla którego miałem być tak strasznym. Zmęczony więzieniem i wstydem, iż byłem traktowany jak złoczyńca jaki, rad byłem, iż znowu poczułem się na swobodzie i ani mi do głowy nie przychodziło, co pocznę z sobą bez środków do życia, bez znajomości niemieckiego języka i bez żadnego fachu. Wziąłem bilet do Monachium, lecz z odurzenia z którego wyjść nie mogłem, zamiast dwóch dziesiątek dałem kasjerowi trzy i otrzymałem kilka guldenów reszty, a omyłką oddane 10 zł. r. szlachetny Teuton włożył sobie do kieszeni. Ledwo w Monachium spostrzegłem, że byłem okradziony, ale cóż było robić. Obrachowawszy się przekonałem się, iż już mi nie wystarczy dla dostania się do granicy Francji, dokąd dążyłem mając nadzieję, że tam znajdę jakąś pracę, jakiś zarobek. Przywiązałem rzemienie do mego tłómoczka, narzuciłem go na plecy, a zapytawszy o drogę, ruszyłem piechotą do Augsburga. Prawie cały dzień szedłem bez odpoczynku, a posiłkiem moim był kawałek chleba, kupiony u przekupki we wsi na drodze; noc przepędziłem w polu, chociaż to była jesień późna i przymrozek pokrył szronem pola i drzewa. Zziębnięty bardzo, bo nie miałem żadnego ciepłego ubrania, nad rankiem puściłem się w dalszą podróż. Przyszła chwila refleksji, zastanowienia się, co z sobą pocznę i myśli te tak mnie nerwowo rozdrażniły, taka rozpacz

niepojęta mnie opanowała, że szedłem i szedłem nie czując zmęczenia. I jeszcze jedną noc przenocowałem pod mostem w rowku, który mnie choć cokolwiek zakrywał od wiatru zimnego, przenikającego do kości. Na trzeci dzień dopiero doszedłem do Augsburga i stanąłem w oberży.

Czy wskutek ciężkich przejść moralnych i zawiedzionej nadzieji pozostania w kraju ojczystym, czy z przeziębienia i zmęczenia dostałem nerwowej gorączki. Trzy dni i trzy noce przeleżałem bez przytomności i bez pokarmu. Na czwarty, strasznie osłabiony wstałem z łóżka i wyszedłem do miasta, żeby zjeść coś gorącego, bo głód mi zaczął dokuczać, a przytem aby się rozejrzeć co dalej robić. Wracający apetyt przekonywał, że silny mój organizm przezwyciężył chorobę i że wracam do zdrowia. Chodząc po mieście obaczyłem szyld: „Zakład galwanoplastyczny“. Gdy byłem jeszcze młodziutkim oficerem w Petersburgu, uczęszczałem do wieczornej szkoły galwanoplastyki, wtedy właśnie wynalezionej przez Jakobiego i nauczyłem się robienia odlewów, form, złocenia i srebrzenia miedzianych rzeczy. Żeby tu znaleść pracę, pomyślałem sobie! Nie namyślając się długo wstąpiłem do zakładu i zapytałem o właściciela. Tłusty opasły Niemiec, zapytał czego potrzebuję? Powiedziałem mu, że jestem Francuzem, nazywam się Duval, że znam się na galwanoplastyce i szukam pracy. Niemiec z początku odpowiedział, że nie potrzebuje więcej robotników, ale potem namyśliwszy się, powiedział, żebym został na próbę na dni kilka. Podziękowawszy mu grzecznie, co się Niemcowi bardzo podobało, bo nie przywykł do grzeczności ze strony robotników, wróciłem do domu. Potrzeba było kupić proste płócienne spodnie i bluzę, bo przy tej robocie niezmiernie niszczy się odzienie, a w kieszeni mojej było tylko dwa guldeny. Na szczęście pozostały mi moje ordery, z których jeden natychmiast sprzedałem za 25 guldenów. Zapłaciłem oberzyście, kupiłem odzienie robotnicze, nająłem małe pomieszkanie na przedmieściu za 4 zł. r. miesięcznie i na drugi dzień stanąłem do pracy.

Werkfürer czyli starszy dozorca polecił mi posrebrzyć dwa tuziny łyżek i wskazał mi kadź, która miała służyć do tego. Wziąłem się natychmiast do roboty, oplotłem zgrabnie łyżki drutem po oczyszczeniu ich poprzedniem i połączyłem je z baterją elektryczną. Nadzorca patrzał ciekawie na to co robię, bo widział, że znam się na tem, ale robię inaczej, aniżeli inni robotnicy tej fabryki, jednak nic nie powiedział, łyżki bowiem natychmiast zaczęły się pokrywać bardzo równą warstwą srebra. W kilka godzin

wyjąłem łyżki już dobrze posrebrzone i przystąpiłem do szlifowania. Ale ta ostatnia praca nie szła mi dobrze, chociaż robiłem ją według wskazówek nadzorcy, po chorobie mocno osłabłem i nie miałem tej siły w rękach co inni. Grzeczność w odpowiedziach i w zachowaniu się względem kolegów i pana nadzorcy Schlagera, zyskała mi jego względy, tak, że udał się sam do właściciela, i wyjednał, że zostałem przyjęty do fabryki z płacą 60 krajcarów dziennie. Było to już dobrze, bo przy bardzo skromnem życiu mogło wystarczyć na utrzymanie.

Cały tydzień zajmowałem się jedynie złoceniem i srebrzeniem, jednak łyżki moje Schlager oddawał do szlifowania innemu, zręczniejszemu odemnie, co ubodło moją miłość własną.

Przechodząc około wielkiej kadzi, w której przygotowywał się bronzowy horeljef S. Jana Ewangelisty, zwróciłem uwagę kolegi robotnika na niedokładność w ustawieniu formy, która mu mogła popsuć robotę jego. Dostrzegłszy to Schlager wezwał mnie do siebie i zapytał czy nie chcę robić odlewów, że za tą pracę otrzymam 1. guldena dziennie. Ma się rozumieć z radością przyjąłem propozycję i podziękowaniem mu szczerze. Dał mi natychmiast wielki wizerunek Św. Piotra, polecając zrobić formę do odlewu z gipsu. Wiedzac, że piękność odlewu zależy od wielkiej akuratności i czystości formy, rozmieszałem gips bardzo dokładnie i niczego nie zaniedbałem, żeby forma wyszła mi dobrze. Pracę moją uwieńczył nadzwyczajnie szczęśliwy skutek; forma była prześliczna i prawie nigdzie nie zostało żadnych zagłębień, wysuszyłem ją w piecu, wygotowałem w wosku czystym, wygładziłem wszelkie nierówności szydełkiem, okleiłem brzegi ołowianym papierem i pokryłem formę grafitem, a następnie przymocowawszy druty zanurzyłem w roztworze siarczanu miedzi. Odiew mój na drugi dzień był tak ładny, że właściciel zakładu nie mógł się nachwalić i kazał go natychmiast posrebrzyć matowo.

Pracując starannie od g. 6. z rana do g. 12 w południe i od 2 do 6 wieczorem wkrótce zyskałem takie uznanie, że w trzecim tygodniu pobytu podniesiono mi płacę 1.60 na zł. dziennie.

Jak powiedziałem wyżej, gniewało mnie bardzo, że szlifowanie nie udawało mi się tak dobrze jak innym. Wróciwszy więc do domu, zacząłem przemyśliwać jakby i w tem nie dać siebie wyprzedzić. Po wielu próbach wymyśliłem proszek, który nazwałem koralinem. Odtąd moje szlifowanie rzeczy posrebrzonych stało się najlepszem. Widząc, że do tego używam własnego proszku, właściciel zakładu zapytał mnie co to za proszek. Jest to se-

kret mego wynalazku, odpowiedziałem mu: w pańskim zakładzie pozostanę jeszcze sześć tygodni, jeżeli mi pan da płacy 7 guldenów dziennie, to sekret mu odkryję. Właściciel zgodził się po pewnym namyśle. Od tej chwili położenie moje znacznie się zmieniło. Mogłem sobie pozwolić i na lepszy wikt i niektóre wygody, a mianowicie palenia tytoniu, do którego mocno tęskniłem.

Życie pośród robotników było dla mnie wielką męką, bo pozbawieni wykształcenia nie przywykli myśleć o przyszłości, marzyli tylko o hulance, o szynku i piwie. Rzemieślnicy nasi wyżej stoją pod tym względem od niemieckich, bo mają punkt honoru, ambicję i myślą o kształceniu się. Życie zaś i instynkta niemieckiego robotnika są czysto zwierzęce, a rozmowa zwykle tyczy się rozkoszy szynkowych i domów publicznych. Spokojnym charakterem i usłużnością zjednałem ich przychylność, ale nie spotykając mnie nigdzie w knajpie, a w niedzielę widząc mnie samotnie przechadzającego się nad brzegiem Lechu nie bardzo zbliżali się do mnie, podejrzywając, że jestem arystokratą-robotnikiem.

Zostawać długo w tym zakładzie nie myślałem, bo żadnej przyszłości nie widziałem przed sobą. Myśli moje skierowały się ku Mülhuzie, gdzie przemysł jest bardzo rozwinięty, gdzie dla człowieka z silną wolą i pewnem wykształceniem otwiera się karjera i gdzie zręczni i dbali robotnicy przychodzą niekiedy do ogromnych majątków. W trzy i pół miesiąca pobytu mego w Augsburgu zaoszczędziłem około 200 zł. reńskich, które stanowiły dość znaczną sumę na początek, nim znajdę pomieszczenie i robotę. Miałem wówczas 35 lat skończonych, potrzeba było śpieszyć się ze zrobieniem karjery, z wybiciem się na wierzch, bo już człowiek zasmakował w innem życiu, w innem towarzystwie, innych zajęciach, żeby wegetowanie podobne mogło mu przypaść do gustu.

W lutym 1867, pożegnawszy się z pryncypałem moim i poczciwym Schlagerem, który polubił swego podkomendnego-francuza, a wreszcie z kolegami, porzuciłem mój zawód i udałem się do Alzacji. Mając zamiar pisania korespondencji, zniosłem się listownie z redakcją „Gazety Narodowej“ i otrzymałem odpowiedź od Jana Dobrzańskiego, iż chętnie będzie drukować listy moje, płacąc za każdą korespondencję po dwa talary.

PRÓBY ODSZUKANIA PRACY

Zamieszkawszy w Mülhuzie, zacząłem starać się o zatrudnienie. Pierwszą rzeczą było skomunikować się z „Gazetą Narodową“, czy i nadal będzie przyjmować artykuły moje; odpowiedziano mi z redakcji, że chętnie przyjmą wszelkie korespondencje. Zawód, który mnie spotkał w kraju ojczystym, strata materjalna którą poniosłem, niepewność jutra i potrzeba zrobienia sobie jakiegoś znośnego stanowiska obudziła we mnie niezmierną energję i chęć do pracy, a ponieważ jej jeszcze nie znalazłem, rzuciłem się do nauki i pisania. Wiele już w życiu widziałem, wiele ludzi znałem, wiele czytałem, więc korespondencja szła za korespondencją i nie było prawie żadnego numeru Gazety i Dziennika literackiego, gdzieby nie było czegoś mego pióra. Wtedy to także napisałem botanikę z rysunkami, wtedy zacząłem pisać moje „Obrazy wszechświata“, które następnie udało mi się wydać w Galicji.

W Mülhuzie poznałem się z p. Antuszewiczem, emigrantem z 31. roku, który osiedliwszy się w Alzacji, doszedł do znacznej fortuny i zyskał ogólny szacunek. Życie jego było także dość ciekawe. Będąc jeszcze chłopięciem, wstąpił do wojska w czasie powstania, nie mógł więc otrzymać wyższego wykształcenia, lecz z powodu charakteru miłego i usłużności był bardzo lubiany wszędzie i umiał zjednać sobie wielu przyjaciół. Poszedłszy na wygnanie i mając trochę pieniędzy, które mu matka dała na drogę, osiedlił się w Strasburgu, kupiwszy francuską i niemiecką gramatykę, zaczął uczyć się tych dwóch języków tak potrzebnych w Alzacji.

Gdy już się mógł rozmówić, poradzono mu zostać komisantem wina. Komisant taki jeździ od domu do domu i stara się

wysprzedać jaknajwięcej wina wziętego u jednego z największych producentów i otrzymuje za to pewien procent za pracę swoją. A że wszędzie widziano z przyjemnością miłego, wesołego, ugrzecznionego i ładnego chłopca, sprzedaż wina poszła bardzo szczęśliwie, tak że po roku dochód p. Antuszewicza wynosił około 4. tys. franków, a w następnym roku do 6 tys. Mógł więc żyć dobrze, nie żałował też dla przyjaciół i coraz więcej zyskiwał ogólnej sympatji. Nastąpił rok 1848, Antuszewicz wziął udział w ekspedycji Mierosławskiego do Badenu i po smutnem jej ukończeniu wrócił cichaczem do Mülhuzy. Tam stagnacja handlowa zrobiła mnóstwo bankructw. Dom Köchlinów zawiesił wypłaty. Nie chcąc tracić zbyt wiele, kredytorowie zezwolili na prolongotę. Köchliny z powodu ogłoszonego bankructwa, nie mogąc sami prowadzić fabryki wyrobów perkalu, szukali człowieka uczciwego, któryby się podjął tego. Wybór padł na Antuszewicza, który w ciągu tyloletniego pobytu w Alzacji zasłynął z uczciwości i umiejętności prowadzenia handlowych interesów. Jemu więc oddano prowadzenie fabryki. Antuszewicz natychmiast zniżył cenę sprzedaży do ceny wyrobu, nie szukając żadnego zysku i znalazłszy kupców na tak tani wyrób, zaczął powoli spłacać długi domu, tak, że już w r. 1849, firma Köchlinów na nowo się podniosła i z wdzięcznością przyjęła go do spółki, na równych ze wszystkimi warunkach, nie żądając od niego żadnego wkładowego kapitału. W 1858 roku Antuszewicz miał już więcej jak pół miljona franków majątku. Zbudowawszy ładny pałacyk i ożeniwszy się z Alzatką, córką jednego z bogatych kupców, porzucił fabrykę i żył w swej majętności z procentów od kapitału. Bóg dał mu na starość pięciu synów i córkę.

Obaj Litwini poznaliśmy się i zaprzyjaźnili prędko. Znając dobrze wszystkich najważniejszych przemysłowców w Alzacji p. Aleksander podjął się poznajomić mnie z nimi i dopomódz w odszukaniu odpowiedniego zatrudnienia. Chciałem dostać się do fabryki chemicznych produktów, albo do fabryki maszyn, lub fabryki bawełnianyah wyrobów, jako robotnik dobić się pracą wyższego stanowiska, a nauczywszy się dobrze jednego z tych przemysłów, pojechać do kraju i tam się stać użytecznym dla przemysłu krajowego.

Pierwsza nasza wizyta była u p. Kestnera, bogatego fabrykanta Mülhuzy.

Gdyśmy weszli do salonu, zastaliśmy tam pannę Kestner, która siedząc koło okna zajętu była wyszywaniem na krosnach.

Uderzyło mnie niezmiernie podobieństwo jej do dziewczęcia, które kochałem, a zostawiłem daleko tam na wschodzie. Dziewczyna rzuciła okiem na nas, a potem obojętnie wróciła do swej pracy. Boleśnie ścisnęło się serce na wspomnienie zmarnowanej świetnej przeszłości i ciężkiej pełnej trudu i upokorzeń przyszłości do której dążyłem. Lecz kto musi zrobić sobie położenie, powinien pożegnać się z marzeniami, wyrobić sobie hart ducha, wytrwałość i oziębić nieco gorącość serca. Połknąłem łzy cisnące się do oczu i udałem się do gabinetu przemysłowca, dokąd mnie zaprosił galonowany lokaj. Kestner w Mülhuzie był głową partji republikańskiej, niezmiernie szanowany przez wszystkich. Napolen III. chciał go kupić i przysłał mu krzyż Legji honorowej, ale dumny kupiec odesłał mu go nazad. Zięć jego Scherer, gorący republikanin jak i teść, był deputowanym w radzie państwa z Mülhuzy. Kestner przyjął mnie bardzo serdecznie, ale wręcz odmówił przyjęcia do fabryki. „Wysoko szanuję Polaków, rzekł do mnie, lecz w fabryce naszej jest mnóstwo sekretów bardzo kosztownych, które się zachowuje starannie, dlatego też na wyższe stanowiska przyjmujemy najbliższych członków rodziny. Pan nie możesz się ograniczyć do roli zwykłego dziennego robotnika zajmującego się jedną i tą samą pracą nieustannie. Radzę więc panu szukać szczęścia w innym zawodzie, a jeżeli pomoc i rekomendacja moja mogą panu posłużyć w czemkolwiek, ofiarowuję z największą ochotą",

Podziękowałem mu za to, przyznając mu w duszy zupełną słuszność, bo nie myślałem poświęcić życia mego i pracy fabryce jego. Znajomość ta jednak była mi potem bardzo pożyteczną.

Następnego dnia udaliśmy się do Gebwiller, gdzie, była fabryka maszyn p. Schlumbergera i fabryka bawełnianych wyrobów. P. Schlumberger rozmawiał ze mną parę godzin, pokazał całą fabrykę, a potem rozpytawszy mnie o mojej przeszłości rzekł: „musisz pan tu przechodzić ciężkie próby, bo uczyć się kowalstwa i ślusarstwa od ludzi mało wykształconych, niewyrozumiałych, a często nawet gburów. Po rocznej pracy będziesz pan miał zaledwie tyle, że zarabiać będziesz mógł na chleb powszedni, a wiele lat przejdzie nim pan dojdzie do stanowiska contr-majstra, który otrzymuje 20 franków dziennie. Szkoda poniewierać się panu w fabryce mojej i zaprzepaścić dla ręcznej pracy intelektualne zasoby, które pan posiadasz. Szukaj pan innego, odpowiedniejszego zdolnościom pańskim zatrudnienia". Pomimo stanowczej decyzji nie cofać się przed żadną pracą, nawet najcięższą i najnieprzyjemniejszą przy-

patrzywszy się temu co mnie oczekiwało, musiałem przyznać słuszność fabrykantowi.

Na drugi dzień byłem u fabrykanta robót bawełnianych. Przyjął mnie bardzo grzecznie, oprowadził po całej fabryce, potem zaprosił mnie na obiad i na nocleg, gdyż pociąg do Mülhuzy wychodził następnego rana. Po obejrzeniu fabryki zapytał mnie czy zrozumiałem mechanizm całej produkcji i bardzo był zdziwiony, gdym ołówkiem narysował wszystkie maszyny, znajdujące się w jego fabryce i sposób ich działania. „Panie, szkoda pańskich zdolności i nauki na tę mechaniczną pracę, którą panu damy, jeżeli pan wstąpisz do nas. Dwa miejsca są tu płatne dobrze: dyrektora i głównego dozorcy-inżyniera. Obaj jak pan widzi są to ludzie młodzi i jeszcze o śmierci nie myślą, będziesz więc pan musiał zadowolnić się 5—8 fr. dziennie, bez nadziei jakiegobądź awansu na przyszłość“. Uwagi jego były zbyt słuszne; ale co robić! co robić! było pytanie.

Będąc w Gebwiller odwiedziłem jeszcze jedną fabrykę, w której dyrektorem był p. Straszewski, Litwin, bardzo piękny mężczyzna, ożeniony z Francuzką, córką zamożnego tutejszego fabrykanta bawełnianych wyrobów. Zaproszony do niego na obiad przypatrywałem się jego pożyciu rodzinnemu. Jest to bardzo majętny człowiek osiedlony tu od r. 1831, ma dwoje dorosłych dzieci i piękną jeszcze żonę. Stosunki między małżonkami bardzo przyjazne, tylko że on zachował wszystkie sympatje dla kraju rodzinnego i do wszystkiego co było z nim w związku, ona zaś niecierpiała Polski i Polaków i nie taiła się z tem przed nikim. Jak go to bolało i męczyło można sobie wyobrazić, tem więcej, że wychowanie średniej klasy francuskiej nie grzeszy nauką delikatności. Po obiedzie wyszliśmy do ogrodu otaczającego dom jego wspaniały. „Wybacz mi pan, jeżeli cię co ubodło w domu moim, rzekł Straszewski do mnie, i ja znoszę te nieprzyjemności od żony w ciągu 20 lat pożycia. Nie żeń się pan z cudzoziemką, bo ona nigdy nie pojmie tego, co nas łączy z sobą i co przywiązuje do naszej biednej Ojczyzny. Dla nich byle znaczny kęs chleba, a zgodzą się żyć nawet w Patagonji, nigdy zaś nie podniosą się na wysokość na której stoją nasze Polki. Nieraz człowiek przeklina chwilę swego ożenienia, a wszakże ją kochałem jako przywiązaną żonę i dobrą matkę moich dzieci i dziś ją kocham, a przecież nigdy mi ona nie oszczędzi przykrości, wykazując nienawiść do tego wszystkiego co ja kocham i czemu cześć oddaję“.

Prawie to samo słyszałem i od innych Polaków, którzy pożenili się za granicą.

Po powrócie do Mülhuzy zacząłem namyślać się co począć z sobą, bo środki me pieniężne, pomimo nadzwyczaj oszczędnego życia, a nawet głodzenia się wyczerpały się powoli, a przyszłość malowała się w bardzo ciemnych kolorach. W tych jednak ciężkich chwilach życia mego, gdy niepokój o los przyszły odbierał mi sen i apetyt, przekonałem się, że są dobrzy ludzie na świecie. Najprzód otrzymałem list i 50 rubli od niejakiego Ratyńskiego, który był niegdyś rotmistrzem w I. kawaleryjskiej dywizji i któremu w chwili nieszczęścia dałem pomoc pieniężną. „Dopomogłeś nam niegdyś w biedzie, Pułkowniku, teraz my jesteśmy bogatsi od ciebie i dług nasz z wdzięcznością ci zwracamy", pisał rotmistrz. O długu tym, a nawet o nazwisku dłużnika, zapomniałem zupełnie, było więc to dla mnie nadzwyczajnie miłą niespodzianką.

Wkrótce potem otrzymałem jeszcze dwa listy, jeden od Herzena, a drugi od ks. Dołgorukiego, Moskali. Pierwszy przysłał mi rekomendacyjne listy, do różnych przyjaciół swych we Francji, drugi zaś przysłał mi 1000 franków i list do bar. Dolfusa przełożonego loży masońskiej w Mülhuzie, w którym doradzał mu wciągnąć mnie do loży jako zdolnego i uczciwego człowieka. Za list podziękowałem, bo rekomendacje za granicą znaczą wiele, pieniądze jednak odesłałem, nie chcac nic otrzymać z rąk wrogów Ojczyzny mojej. Książę Dołgoruki, którego bliżej poznałem w czasie pobytu mego w Genewie, napisał powtórny list w którym zachęcał mnie do porzucenia Europy i udania się do Ameryki, ofiarując mi pożyczkę na przejazd i na pierwszy rok życia. Listu do przełożonego masońskiej loży nie oddałem według adresu, a zachowałem sobie, nie lubię bowiem żadnych komedyj z jakiemi przyjmują do lóż masońskich i nie cierpię żadnej szarlatanerji i mistyfikacji otaczających masonów.

Chcąc jak można więcej zarobić, dzień w dzień prawie posyłałem korespondencje do Gazety Narodowej, to wstępny artykuł, to feljeton, to wiadomości naukowe, to wyjątki z podróży, datując te korespondencje z różnych miast Europy. W czasie tej pracy zaczęło we mnie wyrabiać się postanowienie wstąpienia na uniwersytet Strasburski i słuchania tam medycyny, jako nauki najwięcej kosmopolitycznej, która rzadko daje wielkie dostatki, lecz zawsze chroni od nędzy. To właśnie była okoliczność, że obrałem medycynę, a nie inżynierję, do której daleko więcej by-

łem przygotowany, posiadając dobrze matematykę i znając inżynierję wojskową. Długo jednak walczyłem z sobą, bo myśl iż potrzeba będzie poświęcić cztery lub pięć lat życia w największej biedzie studjom nauki do której nie miałem wielkiego pociągu i wtedy gdy liczyłem już 36 lat życia, mocno mię męczyła. Nakoniec nie znajdując żadnego innego wyjścia, zdecydowałem się na to. Moi znajomi w Mülhuzie nadawali mi mnóstwo listów rekomendacyjnych, między którymi list Ketnera bardzo mi dał wielkie korzyści, bo otworzył dom prof. Schützenbergera, jednego z najwięcej szanowanych ludzi w Strasburgu. Poczciwy Antuszewicz ofiarował się sam pojechać ze mną i dopomóc do instalacji w mieście i uniwersytecie, bo żyjąc długo w Strasburgu znał go doskonale i miał wiele znajomych.

POBYT NA WSZECHNICY

Po przybyciu do Strasburga udałem się do dziekana Akademji medycznej prof. dr. Ehrmanna, niegdyś domowego lekarza sterego ks. Metternicha, prosząc o zapisanie mnie w grono uczniów Akademji. Ze względu na wiek mój odradzał mi bardzo kroku tego, utrzymując, że nie obrachowałem się z siłami, że nie wiem jak jest trudną medycyna, że nie dotrwam do końca, a stracę tylko czas i zmarnuję pracę. Jednak gdym mu powiedział, że nic mnie nie zmusi do zmiany postanowienia i że jestem zdecydowany przejść najcięższe życie, byle osiągnąć cel, kazał mnie zapisać do spisu uczniów Akademji medycznej.

Muszę oddać serdeczne uznanie Francji za względy jakich doznawali wszyscy Polacy, którzy chcieli pracować naukowo; nie tylko, że nie żądano od nich żadnej zapłaty za naukę, za dostarczenie środków naukowych i wszelkie ułatwienia w dostawaniu książek, atlasów i aparatów anatomicznych, ale nie robiono nam trudności z świadectwami odbytych poprzedniu nauk. Ja naprzykład miałem tylko dwa dokumenta: świadectwo ukończonej Akademji wojskowej i świadectwa ukończenia Akademji jeneralnego sztabu. Na proste oświadczenie emigracyjnej reprezentacji w Paryżu, że ukończyłem gimnazjum i uniwersytet w Petersburgu, ministerstwo oświecenia zwolniło mnie od egzaminów „Bachelier ès lettres i Bachelier ès sciences“, czyli tak zwanej u nas matury, która by mogła mnie przyczynić wiele pracy i kłopotu. W marcu 1867 r. znów zasiadłem na ławie szkolnej, mając lat 36 skończonych.

Praca z samego początku była niezwykle twardą, bo nie mając za co kupić najpotrzebniejszych książek, dla ich bardzo wysokiej ceny, musiałem wziąć się do ich przepisywania. Przepi-

sywanie to musiałem robić prędko, nie mogąc trzymać długo pożyczonych mi książek. W dwa miesiące przepisałem dwa tomy fizjologji Beclarda i trzy tomy chemji Wurtza; przepisywanie to było bezspornie korzystne, bo zmusiło do przestudjowania tych nauk, lecz z drugiej strony osłabiło wzrok mój do tego stopnia, że musiałem na przyszłość zaniechać podobnej pracy z obawy, aby mi oczy nie odmówiły swej służby.

Mieszkanie miałem bardzo liche, z powodu źle urządzonego pieca nie można było opalać go zimową porą, bo dymił strasznie; trzeba było pogodzić się z losem i w czasie zimy pracować zawinąwszy się w kołdrę i włożywszy na głowę czapkę. Pożywienie moje z początku było bardzo skromne, gdyż cały zapas pieniężny obróciłem na zakupno książek; kupowałem więc suchary w koszarach artylerji u żołnierzy i jadłem rozmoczywszy w wodzie, ale te mi nie bardzo służyły, bo były tak twarde, że po kilku miesiącach nadwerężyłem sobie zęby, tak, że jeść nic nie mogłem. Szczęściem wkrótce otrzymałem od Jana Dobrzańskiego zapłatę za artykuły moje do „Gazety Narodowej", więc mogłem zapłacić w hotelu kilkanaście franków miesięcznie za ciepłe pożywienie i kupić nieco herbaty i cukru dla rozgrzania się z rana i wieczorem w mroźne dni zimowe.

Tryb życia mego w Strasburgu był następujący: kładłem się o 10 wieczorem, a wstawałem zawsze o 3 z rana i zaraz siadałem do książki, o siódmej spieszyłem do szpitala, żeby być przy wizycie lekarskiej i zanotować to co było warte. O dziewiątej zaczynały się wykłady i trwały do drugiej; po obiedzie około piątej znów byłem w szpitalu przy wieczornej wizycie chorych, dopomagając przy ich opatrunku i pielęgnowaniu, o siódmej wracałem do książek moich. Takie było życie moje w ciągu całego czasu studjów. Znajomości z początku nie robiłem żadnych oprócz kilku uczniów wojskowych, z którymi poznajomiłem się z potrzeby, bo oni mieli wszelkie książki, notatki, rysunki, wydawane ze skarbu, z których ja korzystałem. Wreszcie jako dawny wojskowy miałem większą sympatję i śmiałość do wojskowych niż do cywilnych, tem więcej, że ci ostatni odznaczali się lenistwem i lekceważeniem nauki mającej zabezpieczyć ich los przyszły. Z Polaków prócz mnie w Akademji Strasburskiej było jeszcze kilku, a mianowicie: Antoni Jaksa Kwiatkowski, były oficer leśnego korpusu z Petersburga, bardzo porządny człowiek, wraz ze mną ukończył Akademję medyczną, był potem w ambulansie francuskim w czasie wojny francusko-pruskiej, a po niej lekarzem fabrycznym

w St. Etienne. Marzeniem tego człowieka było uzbierać tyle, żeby mieć możność przenieść się do Galicji i zapłacić długi zaciągnięte we Francji na instalację. Już, już był bliskim celu, gdy śmierć nagła wskutek anewryzmu serca przerwała dni żywota jego. Kwiatkowski był bardzo lubiany i poważany za sumienne spełnianie obowiązków i niemało się przyczynił do tego, że imię Polaka było szanowane w Strasburgu. Cześć jego pamięci! Drugi Kawecki, były cyrulik warszawski, otrzymujący pomoc od rządu francuskiego, popadł z początku w towarzystwo burszów niemieckich.

Trzeci Witołd Urbanowicz, Żmudzin, lekarz z petersburskiej Akademji, któremu kazano nostryfikować się we Francji, bardzo miły, przyjemny i wykształcony człowiek, nie spieszył się ze zdaniem egzaminu, bo otrzymywał pomoc z domu i nic go nie nagliło. Z początku trzymałem się od niego zdala, ale gdy jakiś traf zbliżył nas do siebie, szczera przyjaźń nas związała. Przychodził on czasami do mnie na pogadankę lub ja do niego, a że bardzo pięknie deklamował i szczerze kraj kochał, przępędzaliśmy chwile na czytaniu dzieł naszych poetów. Te wieczorki literackie u mnie przy herbacie z chlebem lub sucharem miłe mi zostawiły wspomnienia, bo i uśmiał się nieraz człowiek i spłakał. Po wojnie francusko-pruskiej osiedlił się w Krakowie, otrzymawszy w spadku dość spory kapitalik; nieszczęściem zaczął grać na giełdzie i przegrał prawie cały swój kapitał. W rozpaczy podał prośbę o amnestją, a że w czasie powstania nie odgrywał żadnej ważniejszej roli, otrzymał pozwolenie powrotu; osiedlił się jako lekarz w Rossieniach na Żmudzi.

Miałem listy rekomendacyjne do kilku profesorów; z tych szczególnie Aronsohn był mi użyteczny swemi radami i poparciem w gronie profesorów, gdy następnie chodziło o prędsze ukończenie kursu. Akuratność moja w uczęszczaniu na kursa i uwaga z jaką słuchałem wykładów zjednała mi względy pp. Fée, Rameau i Sarazin'a, z którymi wkrótce przyjaźń mnie złączyła, tak, że zapraszali mnie do siebie i ułatwiali niezmiernie naukę i pracę radami swemi pełnemi sympatji, tak, że potem gdym ukończył studja, zostawałem z nimi w najserdeczniejszych stosunkach koleżeńskich. Wogóle muszę wspomnieć z największą czcią i wdzięcznością o profesorach Akademji, którzy oprócz wielkiej nauki posiadali to przywiązanie do młodzieży pracującej, która łączy najdroższemi wspomnieniami uczących się z wszechnicą. Niektórzy z nich dawali lekcje prywatne i na te

lekcje zbierało się dość wiele uczniów; wszyscy płacili za naukę, a dla nas Polaków wstęp na te wykłady był bezpłatny. Przy takiej ogromnej ilości uczniów trzeba było płacić za prawo sekcji trupów, rzeczy niezbędnej przy studjowaniu anatomji, a jednak profesorowie znajdowali możność ułatwienia nam i tego bezpłatnie. Wszystkie gabinety, wszystkie pracownie, bibljoteki, muzea i laboratorja były otwarte dla nas Polaków, tak, że pod tym względem byliśmy uprzywilejowani przed innymi, a jednak te przywileje nie wzbudzały w nikim zazdrości lub sarkania i gościnność i sympatja dla nas istniała od góry do dołu.

W lipcu 1867 r. przypadał egzamin z pierwszego kursu na drugi. We francuskich wszechnicach istnieje prawo, że każdy z uczniów na kursie musi przebywać cztery kwartały szkolne, a każdy kwartał nauki musi być wpisany do listy, którą otrzymuje uczeń przy wstąpieniu na wszechnicę. Po trzech miesiącach pobytu, pracując od rana do nocy, byłem już zupełnie przygotowany do egzaminu, ale jak obejść prawo wymagające bym przebył cztery kwartały? a tracić tyle czasu żal mi było. Udałem się zatem do p. Dubois sekretarza fakultetu o radę, przedstawiłem położenie moje i prosiłem go o pomoc. P. Dubois przyjął mnie bardzo serdecznie i po przyjacielsku. „Chociaż pan tu przybyłeś w końcu kwietnia, ja w liście pańskiej oznaczę, że już słuchasz kursu od nowego roku, a o zwolnienie od ostatniego kwartału podaj pan prośbę do rektora wszechnicy, który daje to prawo". Podziękowałem mu za radę i tegoż dnia napisawszy prośbę udałem się do rektora. Na prośbie podpisałem się jako były pułkownik moskiewskiego jeneralnego sztabu; rektor przeczytawszy podpis zapytał, czy nie przez pomyłkę napisałem moskiewskiego, a usłyszawszy jak się rzecz miała, wstał z miejca, ukłonił mi się nisko i wziąwszy pióro na prośbie mej napisał pozwolenie, które kazał zanieść do sekretarjatu. Uradowany pobiegłem do p. Dubois, żeby mu podziękować za radę, a w trzy dni później stanąem do egzaminu z chemji, fizyki, botaniki i osteologji. Egzamina udały mi się nadspodziewanie świetnie, co mię niezmiernie ucieszyło, bo od pierwszych kroków zależała przyszłość moja, położenie moje na wszechnicy i dalsze powodzenie...

Opisywać szczegółowo trzechletniego pobytu mego w Strasburgu nie myślę, bo życie moje płynęło monotonnie, skromnie, cicho, w nieustannej pracy i zajęciach. Trudność nauki, której się poświęciłem razem ze straszną tęsknotą, która mnie trapiła i żarła, nieraz doprowadzały do takiej rozpaczy, takiego zwątpienia, że

płakałem jak dziecko, z bolu tarzałem się po łóżku i nieraz myśl samobójstwa przystępowała do mnie, lecz religja i ambicja ją odpychały...

W połowie roku 1870 pozostawało mi już tylko obronić doktorską rozprawę, którą zacząłem pisać na drugim kursie, a mianowicie: „O mineralnych wodach w Polsce". Nie bardzo to był wdzięczny przedmiot, bo z wielką zaledwie trudnością zebrałem potrzebne do tego materjały, lecz jako Polak chciałem dać Francuzom pojęcie o bogactwie naszego nieszczęśliwego kraju pod względem balneologicznym. Rozprawa była gotowa od dawna, ale nie miałem pieniędzy na jej wydanie, poczciwy p. Antuszewicz przyszedł mi z przyjazną pomocą i nieproszony przysłał mi pożyczkę 350 fr. potrzebnych na wydrukowanie mej pracy[1]).

Dzień publicznej rozprawy mojej został oznaczony na 1. lipca 1870 r. i zostanie mi pamiętnym na całe życie. Już od tygodnia na ścianach uniwersytetu wisiało ogłoszenie, że dawny szef sztabu armji moskiewskiej, a teraz ekstern szpitala będzie bronił doktorskiej swej rozprawy, dzienniki ogłoszenie to powtórzyły, mnóstwo więc ciekawych zebrało się w auli uniwersyteckiej i amfiteatr przepełniony był publicznością. O godzinie 3 popołudniu ubrano mię w długą czarną togę, włożono długie kołnierzyki jak u pastorów protestanckich i fjoletowy beret na głowę. Sekretarz uniwersytetu niosąc srebrne berło owinięte wężami, godłami mądrości, szedł na przedzie, potem ja, a nareszcie czterej profesorowie w czarnych togach, różowych aksamitnych beretach złotem bramowanych i z różowemi wylotami obszytemi gronostajami na ramionach. Wszedłszy do auli zająłem miejsce na katedrze, a profesorowie przy dwu zielonych stołach, z każdej strony katedry ustawionych.

Następnie prezydujący komisji najstarszy profesor zaczął krytykować rozprawę moją; krytyka była nadzwyczajnie łagodną, bo traktowałem przedmiot zupełnie im nieznany, ale pełnemi garściami sypał mi pochwały. Dr. Schützenberger przeczytawszy w rozprawie mojej uniewinnienie, że jeżeli praca moja jest słabą, to wina leży w wyjątkowem mem położeniu, które nie pozwoliło mi swobodnie komunikować się z krajem jako wygnańcowi i że jeśli zostanę lekarzem, a nie będę zmuszony wziąć się na nowo do oręża, to dopełnię jej z czasem, wyciął śliczną mówkę o nie-

---

[1]) Tytuł jej: Les eaux minérales en Pologne. Thèse. Strasbourg 1870.

szczęśliwym stanie Polski, która gdyby i chciała naukowo się rozwinąć się, to nie może pod ciężką ręką despotyzmu, która jak zmora ciągle na niej ciąży. Biedni wy, biedni Polacy, zakończył, u was ludzie muszą po razy kilka zmieniać powołanie swoje i zdobytą wiedzę, zdobyte pracą stanowiska porzucać dlatego tylko, że potrzeba bronić najdroższych praw człowieka"!

Drugi profesor zaledwo dotknąwszy z lekka pracy mojej, zaczął mówić o swym podziwie dla owego żelaznego charakteru i niezłomnej woli, z jaką dokonałem tego, com przedsięwziął: „pracą swą i moralnością obudziłeś Pan w nas szacunek dla tego nieszczęśliwego kraju, którego dzieci przychodzą nauką dobijać się zwiększenia współczucia dla swej ojczyzny".

Trzeci dziekując, że ich poznajomiłem z bogactwem mineralnych źródeł w Polsce, o których nigdy nawet nie słyszeli, dziękował, że życiem mem dałem przykład młodzieży, jak powinien postępować człowiek w podobnem położeniu.

Po ukończeniu tego potoku pochwał nie wiele miałem kłopotu z odpieraniem zarzutów, bo mi ich nie czyniono, profesorowie odeszli do sali konferencyjnej na naradę, a wkrótce potem wszedł sekretarz z berłem w ręku i ogłosił, że zostałem uznany za godnego otrzymania dyplomu doktora medycyny i chirurgji. Cała sala zatrzęsła się od oklasków, któremi mię obsypali obecni; ludzie nieznajomi, których nigdy nie widziałem, przychodzili uścisnąć mi rękę i powinszować. Byłem wzruszony do głębi duszy takiem uznaniem i takiem współczuciem kolegów i mieszkańców Strasburga.

Miałem zostać jeszcze w Strasburgu do 1. sierpnia, chcąc słuchać nie ukończonych jeszcze kursów i uczęszczać jeszcze na klinikę, żeby jak najdłużej korzystać ze światła, którego nam darmo udzielali. Następnie zamyślałem udać się do Mülhuzy dla odwiedzenia przyjaciół i dla odpoczynku, a potem udać się do Szwajcarji, drugiej ojczyzny mojej, żeby tam obmyśleć, co mam przedsięwziąć na przyszłość, zebrać środki pieniężne i rekomendacje, uregulować stosunki moje wobec rzeczypospolitej, której byłem obywatelem, wysłać choć małą pomoc pieniężną mojej rodzinie, która była w ciężkiem materjalnem położeniu, a nareszcie popróbować na nowo szczęścia, czy mi się nie uda osiedlić w Galicji.

Muszę tu wyrazić wdzięczność człowiekowi, którego tylko dwa razy w życiu spotkałem, a który powziął dla mnie taką sympatję, że zrobił to, czego nigdy nie spodziewałem się od Niemca.

Chcę mówić tu o p. Hammerze, dyrektorze policji lwowskiej. Gdy z rozkazu Gołuchowskiego byłem wtrącony do więzienia, badał mię o celu przyjazdu p. Hammer; opowiedziałem mu przyszłość moją i moje zamiary. Hammer, jak dowiedziałem się następnie, robił różne kroki, żeby uzyskać dla mnie prawo osiedlenia się w Galicji, ale bezskutecznie, bo Gołuchowski był temu przeciwny. Gdym był w więzieniu lwowskiem, na jego rozkaz otrzymałem wszelkie możliwe złagodzenia, które mi zostały odebrane natychmiast, jak tylko przybyłem do Krakowa. Ale co ważniejsza, przez przyjaciół moich kazał, żebym na jego ręce przysłał prośbę o pozwolenie powrotu do Galicji, mając nadzieję uzyskać to od Possingera, czego nie uzyskał od Gołuchowskiego. Zabiegi jego nie odniosły pożądanego skutku, lecz za dobre jego chęci dla mnie muszę choć w tych pamiętnikach wyrazić mu wdzięczność, którą mam dla jego pamięci...

W chwili gdy wybierałem się już w drogę, nastąpiły niespodziewane wypadki, które zmieniły zamiary moje: Francja wypowiedziała wojnę Prusom. Porzucić Francję, od której doznałem tyle dobrodziejstw, uważałem za niezgodne z obowiązkiem, bo niewdzięczności i egoizmu nie cierpię u drugich i całe życie starałem się ich unikać. Zdecydowałem się więc pozostać w Strasburgu przez przeciąg całej kampanji aby zapłacić Francji krwią moją lub pracą za naukę i przytułek. Zawahałem się jednak, na jakiem polu mam jej służyć; jako lekarz mało miałem doświadczenia, nie byłem pewny siebie, lękałem się omyłek tak naturalnych w zawodzie początkującego, wtedy gdy jako wojskowy miałem odpowiednią naukę, rutynę, przyzwyczajenie do komenderowania i do posłuszeństwa, pewność siebie i wyrobiony w kilku kampanjach spokój. Postanowiłem więc odłożyć na stronę skalpel doktorski i wziąć znowu szpadę w ręce, ofiarowując Francji moje usługi.

Przedtem jednak jako obywatel szwajcarski zapytałem, czy mi będzie dozwolono służyć w wojsku francuskiem. Na to otrzymałem odpowiedź, że według prawa uchwalonego 30 lipca 1859 r. „każdy Szwajcar, który wstąpi do wojskowej służby obcego mocarstwa, będzie karany więzieniem od jednego do trzech miesięcy i pozbawieniem praw obywatelskich na lat pięć". Musiałem więc porzucić myśl służenia Francji wojskowo, postanowiłem służyć jej jako lekarz, wstępując do międzynarodowego towarzystwa Czerwonego Krzyża.

Pierwsze chwile po ogłoszeniu wojny były bardzo radosne. Robotnicy wieczorem przeciągali przez miasto spiewając Marsyljankę, „Mourir pour la patrie“ spiewano wszędzie. Mieszczaństwo tylko konserwatywne i bojące się o swe interesy pieniężne szemrało i nie podzielało ogólnego uniesienia. Codziennie przychodziły nowe pułki żuawów i turkosów dążących ku granicy; marszałek Mac Mahon, który dowodził wojskami konsystującemi w mieście robił przeglądy przybywajacych pułków. Mieszkańcy Alzacji nienawidzący Niemców radośnie przyjmowali wojska, rzucając kwiaty; starzy żołnierze płakali ze wzruszenia i mówili, że nigdzie w całej Francji nie witano ich z taką szczerością i gościnnością.

Pułki turkosów obozowały za murami fortecy. Chcąc zobaczyć obóz tych dzieci pustyni udałem się za miasto i tam poznałem jednego dowódcę kompanji arabskiej kapitana Woronicza syna emigranta i bratanka biskupa Woronicza, który już nie mówił nawet po polsku. Chwalił on niezmiernie swych turkosów, ich odwagę i przywiązanie do dowódcy, a także ich ślepe posłuszeństwo.

Widząc, że Woronicz nie posiada żadnej mapy, darowałem mu moją, na której były narysowane granice Niemiec i Francji. Nieznajomość geografji nawet między oficerami francuskiego jeneralnego sztabu była zdumiewająca. Przy mnie podpułkownik sztabu, już po ogłoszeniu wojny dopytywał u księgarza, ile jest mostów na Renie. Zarozumiałość przytem była tak wielka, że nikt nie wątpił, że pokój zawarty będzie w Berlinie.

BOMBARDOWANIE STRASBURGA

Opiszę co widziałem w ambulansach, szpitalach, w prywatnych domach, w mieście i na przedmieściach, które zostały dotknięte krwawą ręką zniszczenia, bo zdarzeniom tym przypatrywałem się z bliska jako lekarz od początku do końca bombardowania miasta, a słaby ten opis niechaj powie, czem jest nasza zachwalana cywilizacja i jak mało mamy prawo do wynoszenia się nad barbarzyńców północy i wschodu.

Ambulans, którego dyrekcję mi powierzono, znajdował się w pałacu cesarskim, naprzeciw katedry Strasburskiej oddalonej nie więcej nad trzysta kroków od pałacu. Obowiązkiem moim było podać pierwszą pomoc, przedsiębrać nieodbyte operacje rozsyłać następnie rannych do szpitalów wojskowych i cywilnych, bo ambulans z początku nie miał personalu koniecznego do obsługi wielkiej ilości rannych, którzy przybywali z miasta, przedmieść i z wałów fortecy. W ambulansie byłem tylko ja, dwóch felczerów, aptekarz i ekonom, pod którego zawiadywaniem znajdowała się bielizna, łóżka, meble i t. d. i cztery kobiety do gotowania jedzenia i usługiwania chorym. Następnie dodano mi jeszcze dziesięciu żołnierzy do noszenia rannych. Przed bombardowaniem miasta w ambulansie znajdowało się trzydziestu rannych bitwy pod Froeschwiller.

16 sierpnia o godzinie 8. wieczorem posypały się bomby, granaty i race na miasto. Noc była ciemna, wiatr północny dął z wielką siłą, na ulicach była cisza ponura, gdzieniegdzie tylko przestraszony przechodzeń tuląc się do murów spieszył do domu. Ogień bateryj niemieckich był skierowany na katedrę, na publiczną bibljotekę, na pałac cesarski i na kościół protestancki. O go-

dzinie dziewiątej trąba strażnika postawionego na terasie katedry wśród ciszy nocnej odezwała się: „au feu á la bibliothèque, au feu au temple protestante!“ W dziewięć minut później ułyszeliśmy turkot kół sikawek spieszących dla opanowania pożaru. Lecz pomoc ich była próżna. Niemcy ciągle sypali granaty tam gdzie się już paliło, żeby nie pozwolić zbliżyć się z pomocą i kończyli dzieło spustoszenia. Kościół i znakomita bibljoteka, posiadająca do 200 tys. książek i do 7 tys. nadzwyczajnie rzadkich rękopisów, odnoszących się do historji protestantyzmu w Niemczech, poszły z dymem. Nic nie uratowano, jak dowiedzieliśmy się na drugi dzień rano.

Pałac cesarski nie wiele uszkodzono, chociaż i tam padło nie mało pocisków na dach i na podwórze. Jedna bomba pękła nad kominem i ogromny odłam wleciał do kuchni ambulansu, potłukłszy mnóstwo naczyń, lecz nie uszkodziwszy nikogo z posługi; przestraszone kobiety schowały się do suteryn, dokąd kazałem przenieść wszystkich rannych, jak tylko przekonałem się naocznie o kierunku strzałów nięmieckich.

Około godziny dziewiątej usłyszeliśmy złowieszczy świst granatu, potem pęknięcie jego na placu katedralnym i krzyk boleści, krzyk o pomoc. Wybiegliśmy natychmiast na plac z noszami i znaleźliśmy dwoje ludzi leżących na trotuarze pośród ogromnej kałuży krwi, a naokoło mnóstwo obłamków cegły oderwanej z sąsiedniego muru domu. Był to Leroy, uczeń szkoły farmaceutów, który wracał do domu z siostrą swoją. Oboje byli ranni jednym i tym samym czerepem granatu. Jemu zdarło skórę prawie z całej nogi, a jej złamało nogę, przebiło brzuch i piersi. Dziewczę odniesiono do sąsiedniego ambulansu urządzonego w liceum ! kierowanego przez prof. Michela, gdzie po pięciu dniach straszliwych boleści skonała biedna; chłopca zaś przynieśliśmy do mego ambulansu.

Krew lała się strumieniem. Mięśnie były tak poszarpane, zdarte, że niepodobna było znaleść i podwiązać tętnicy, kość jednak nie była uszkodzona. Ranny jęczał z bolu, gdym oblewał nogę zimną wodą dla obmycia jej z błota i powstrzymania krwiotoku silnego i ciągle dopytywał się czy obejdzie się bez amputacji. Uspokajałem go jak mogłem słowami i dając wewnątrz morfinę, lecz niepokój mój własny rósł co chwilę. Wszystkie środki dla powstrzymania krwotoku okazały się daremnemi, trzeba było albo amputować albo podwiązać główną tętnicę nogi. Wielka utrata skóry przekonywała, że wyzdrowienie przez zabliźnienie jest

więcej, niż problematyczne, podwiązanie zaś tętnicy przy zranieniu większej części jej gałęzi prowadziło do gangreny. Nie mając żadnego kolegi do pomocy byłem w nadzwyczajnie ciężkiem położeniu. Była to pierwsza wielka operacja, którą należało dokonać na żywym człowieku, na młodzieńcu pełnym życia i nadziei; „a może inni zręczniejsi odemnie, potrafią go uratować“, wołał głos wewnętrzny. Zawahałem się wobec ciężkiej odpowiedzialności przed rannym i jego rodziną. Lecz potrzeba było powziąć stanowczą decyzję. Postanowiłem ucisnąć palcem tętnicę główną, ażeby powstrzymać krwotok i czekać do rana, póki nie otrzymam pomocy i rady doświadczeńszych odemnie chirurgów. Całą noc przesiedziałem nad rannym, uciskając tętnicę; palce drętwiały do tego stopnia, że straciły czucie zupełnie. Nad ranem tętnica zamuliła się i krew płynąć przestała. Na szczęście w tę noc do mego ambulansu więcej rannych nie przybyło. Gdy już świtać zaczęło, przyszedł profesor chirurgji operacyjnej i zadecydował, że można czekać, azali młodość rannego nie pozwoli przebyć ciężkiej choroby i uratować mu nogi. Był to pierwszy ciężko ranny czerepem granatu. Doświadczenie następne pokazało, że zastosowanie chirurgji konserwacyjnej do tego rodzaju ran było niepodobieństwem. Biedny młodzieniec w dziesięć dni potem, przeniesiony do szpitala wojskowego, umarł wskutek gangreny prawie całej skóry nogi i podbrzusza.

Na drugi dzień do ambulansu mego przyniesiono trzech chłopów alzackich z Königshofen, rannych w czasie pracy w polu. Prusacy strzelali do nich jak do kaczek, chcąc się zemścić za to, że kilku żołnierzy pruskich, którzy nieostrożnie zasiedli w rotundzie kolei żelaznej zostali schwytani i dostawieni do fortecy przez urzędników koleji, przebranych po cywilnemu. Po raz pierwszy przy tej okoliczności widziałem jaka nienawiść panowała w prostym ludzie przeciwko Prusakom. Prawie każdy z tych rannych mówił mi po niemiecku: „niech no tylko wyzdrowieję, ja tym łajdakom i psubratom zapłacę za moją ranę, choćbym miał być zabitym“.

Nie będę opisywał dzień po dniu bombardowania, lecz przejdę do nocy 23. sierpnia, która zostawiła w mej pamięci niezatarte wspomnienia.

Już od samego rana ogień bateryj niemieckich był nadzwyczajnie silny, paliło się tu i ówdzie, lecz mieszkańcy z godnem największego uwielbienia poświęceniem gasili pożar. Mając trzy sale chorych w szpitalu cywilnym, musiałem dwa razy dziennie

porzucać mój ambulans na kilka godzin, ażeby opatrzyć rannych, przepisać lekarstwa i wyegzaminować nowoprzybyłych, lecz noc całą przepędzałem w ambulansie moim, bo tam nie było innego doktora, któryby mógł dać pomoc w razie gwałtownej potrzeby.

Zaledwo wróciłem do pałacu nastąpiła noc. Widząc, że prawie wszystkie niemieckie pociski lecą na katedrę i na otaczające ją domy, przeniosłem znowu mych rannych do suteryn i kazałem zawiesić materace przed oknami sali operacyjnej, ażeby uchronić i siebie i rannych przynajmniej od małych odłamków bomb i granatów, które co chwilę wlatywały do sali, druzgocąc szyby i łamiąc ramy. Robota ta jeszcze nie była skończona, gdy wleciał ogromny granat do pałacu, połamał żelazne poręcze głównych schodów i wyrwał kawał muru, który je podtrzymywał. Stary pułkownik komendant pałacu z kilku ludźmi pobiegł w tę stronę, aby ogień ugasić, bo do swych pocisków Niemcy kładli nie tylko kule, lecz siarkę i naftę, ażeby utrudnić gaszenie ognia. Na szczęście granatu nie rozerwało. W mieście już się w kilku miejscach paliło, przeczucie mi mówiło, że tej nocy będę świadkiem scen okropnych. Przygotowawszy wszystko co potrzeba było dla opatrywania rannych, których się spodziewałem, wyszedłem na plac przed ambulansem aby obaczyć co się tam dzieje. Gwiazdy z wysokości spokojnie patrzyły na ziemię, łuna pożaru oświecała wierzchołki domów, granaty świszcząc przeraźliwie krzyżowały się nad głowami, dziurawiąc mury, waląc kominy, druzgocąc dachy i pękając z piorunowym trzaskiem. Skorupy rozerwanych w górze bomb brzęczały jak bąki w jesieni, szukając ofiary i przebijając najgrubsze mury. Race z ognistemi ogonami jak komety przelatywały nad domami. Małe ogniki zapalających się dachów pokazywały się tu i ówdzie. W tem z daleka usłyszałem krzyk przerażenia i płacz dzieci, tłumem biegnących przez plac ku pałacowi. Były to sieroty z domu przytułku, który Niemcy zapalili. Czemprędzej otworzyłem bramę i wprowadziłem dzieci do korytarza. Przestraszone dziatki tuliły się do mnie i do siostry miłosierdzia, która ich przyprowadziła. Ta ostatnia przyszedłszy cokolwiek do siebie z przerażenia, zaczęła rachować swe wychowanki i z najokropniejszym przestrachem spostrzegła, że jej brakuje siedem dziewcząt. Zaczęła płakać, chciała biec szukać ich, ale dzieci uczepiły się jej sukni i nie puszczały jej, bo pioruny pękających co chwila granatów napełniały je nieopisanym przestrachem. Widząc skostniałe od zimna rączki dziatek, kazałem przynieść z magazynu trzydzieści kołder, żeby obwinąć to biedactwo i ogrzać,

lecz z powodu sztraszliwego huku strzałów w pustym pałacu i pękających naokoło granatów, taki paniczny przestrach napadł nawet i na starych żołnierzy, że nikt nie chciał iść do składu, przed którym granaty pękały nieustannie. Musiałem więc sam pobiec, zabrać po ciemku kołdry i po połamanych schodach, potykając się co chwilę na oberwanych kamieniach i cegłach, znieść je na dół. Biedne dziatki od zimna już dzwoniły zębami. Zaprowadziłem je w cokolwiek bezpieczniejsze miejsce, ochronione mocnemi murami, przyniosłem ławki, aby nie siedziały na zimnej podłodze i owinawszy je dobrze, pobiegłem znowu ku bramie przez którą tłumnie tłoczyli się starcy, kobiety i dzieci z zapalonych domów, płacząc, szlochając i wrzeszcząc z przerażenia. Scena była okropna w całem słowa tego znaczeniu. Wielu z nich potraciło wszystko a wszystko, prócz tego co na sobie mieli. Każdy się obrachowywał kogo nie dostaje z rodziny i prawie każdemu brakowało kogoś. W tej chwili głos trąby strażnika odezwał się złowieszczo: „feu à l'hopital civil!“ Więc i tego pomieszkania boleści i cierpienia nie oszczędzili północni cywilizatorowie, pomimo wszelkich czarnych i międzynarodowych chorągwi wywieszonych na wieży szpitala.

Co się tam dzieje, gdzie do tysiąca ludzi jest złożonych na łożu boleści! Chciałem biec do moich chorych, lecz co się stanie z tymi rannymi, których mogą lada chwila przynieść do ambulansu. Wtedy gdym się wahał co robić, żołnierze wnieśli na noszach szesnastoletnią dziewczynę, której granat urwał całą rękę: krew się lała strumieniem, kawały mięśni i nerwów wisiały brocząc suknię i ziemię. Co prędzej ścisnąłem palcami tętnicę, kazałem złożyć ranną na łóżku, przewiązałem arterję i poodcinałem kawałki zgangrenowanych mięśni. Biedactwo utraciła już tyle krwi, iż była prawie bez przytomności, myślałem nawet że skona natychmiast, pierwsze jej pytanie gdy przyszła do siebie było: „czy umrzeć już potrzeba“. Gdym ją uspakajać zaczął, z przerażeniem spojrzała w tę stronę w której nie było ręki i z rozpaczą zawołała: Ach ja nieszczęśliwa, w szesnastym roku życia umrzeć, lub być tak strasznie pokaleczoną!“ i ze wzruszenia zemdlała znowu. Poleciwszy jednemu z felczerów robić okłady z zimnej wody do rany i dawać co pół godziny uspakający napój, pobiegłem do dwóch nowych rannych, których przyniesiono. Jedna była dziewiętnastoletnia dziewczyna, której czerep pękniętej bomby straszliwie zraniwszy nogę, połamał w wielu miejscach kość powyżej kolana, drugą była staruszka lat sześćdziesięciu z głową

rozciętą od czerepu; przez dziurę w głowie sączyła się krew, pomięszana z mózgiem.

Zaledwie dałem im pierwszą pomoc i zaniosłem do łóżka, gdy zaczęto przynosić nowych rannych. W ciągu paru godzin przyniesiono siedemnaście osób, ranionych w najokropniejszy sposób: wnętrzności u jednych wypadały, u drugich klatka piersiowa była rozdarta, lecz jeszcze dyszeli i widać było iż serce się ściąga, a u trzecich tylko członki podruzgotane na miazgę i jeszcze wiszące na ścięgnach, lub na resztkach mięśni. Krwią się napełnił pokój operacyjny: odzienie moje, bielizna, były przesiąknięte krwią nieszczęśliwych ofiar, które operowałem i przenosiłem na łóżka. Między rannymi byli tacy, którzy stracili nogi i ręce odrazu, tak, że jedynie tułów skrwawiony pozostał. Przyzwyczajonemu już na polu bitwy do tych okropności, ciężko przecież było zostawać wobec tych krwawych obrazów i wśród tej atmosfery napełnionej oparami krwi. Wtem wniesiono trzynastoletniego chłopca, któremu granat, wpadłszy do pokoju oberwał obie nogi. Widząc to dziecko na śmierć skazane, a w najlepszym razie na wielkie kalectwo, mimowolnie wykrzyknąłem: „obydwie nogi!“ Jeden z żołnierzy, którzy go przynieśli, sądząc być może, że mi potrzeba widzieć oderwane nogi, odpowiedział „Monsieur le Major, les deux jambes sont-ici: j'ai les apporté“ i wyciągnął z pod materacu buty krwią pokryte, w których sterczały kości z oderwanych nóg.

Ma się rozumieć było niepodobieństwem nawet myśleć o amputowaniu wedle wszelkich prawideł chirurgji. Regulowałem tylko rany, wstrzymywałem krwiotoki, wzmacniałem rannych, dopóki poranek nie pozwoli ich przenieść do stałych szpitali, gdzie już operację robiono z największą starannością.

Wielu rannych przyniesionych do ambulansu konało na noszach, nie będąc w stanie powiedzieć swego nazwiska, tak, że krewni musieli szukać po wszystkich szpitalach i nakoniec znajdować w sali sekcyjnej akademji medycznej, dokąd znoszono zabitych.

Jeszcze nie zupełnie skończyłem opatrywania ostatniego rannego, gdy rozległ się po raz ostatni głos trąby strażnika z katedry: feu à l'église de St. Tomas, feu à la cathèdrale“! Płomienie ogarnęły tylną część dachu katedry i bystro się rozszerzały, niosąc się ku wieży. Mieszkańcy Strasburga, którzy z dumą patrzą na to arcydzieło architektury, zaczęli zbiegać się dla ratowania go od zniszczenia, lecz napróżno: niepodobna było zbliżyć się z powodu wielkiego gorąca i bomb niemieckich, które jedna za drugą pa-

dały wśród płomieni. Jako dawny wojskowy podziwiałem celność strzałów artylerzystów niemieckich, którzy metodycznie niszczyli ten zabytek starożytności. W ciągu nie więcej jak pół godziny naliczyłem 25 granatów i bomb, które padły na dach świątyni, prawie w jedno i tosamo miejsce; mieszkańcy niemal ze łzami patrząc na zniszczenie swej pięknej świątyni, naliczyli w ciągu nocy 75 strzałów, skierowanych na katedrę; a jakie było zniszczenie, można wnosić z tego, że jeden z granatów nierozerwanych, który znaleziono na poddaszu pałacu cesarskiego miał 55 centymetrów długości a 22 szerokości i zawierał w sobie 675 podługowatych kul z lanego żelaza.

Różowe i zielone płomienie, pochodzące od palącej się miedzi i cynku, pokrywających dach katedry takiem, jaskrawem światłem oświetliły plac katedrąlny i wszystkie domy, iż czytać można było w nocy w oddaleniu najmniej 300 kroków. Widok był niezwykle wspaniały, ale zarazem i okropny. Jedno z najpiękniejszych dzieł rąk ludzkich niszczyło się bez żadnej korzyści, bez żadnej potrzeby, jedynie z chęci zrobienia szkody nieprzyjacielowi.

Od wziętych do niewoli w czasie wycieczki żołnierzy niemieckich, dowiedzieliśmy się, że badeńscy artylerzyści, szczególnie starali się o zniszczenie katedry. Ci najbliżsi sąsiedzi Alzacji zachowali się w ciągu całej wojny w sposób godny najwyższej pogardy. Mieszkańcy obydwóch stron Renu zawsze byli w największej zażyłości z sobą; co niedzieli niezliczona ilość gości ze Strasburga chodziła do Kehl, jeździła do Offenburga i Badenu, żeby zobaczyć się ze znajomymi, pobawić się, pohulać. Te wycieczki Alzatczyków wzbogacały cały kraj badeński, wzdłuż Renu leżący na przeciwnej stronie rzeki. Otóż włościanie badeńscy, co tyle byli winni sąsiadom swoim, natychmiast po oblężeniu Strasburga, gdy Niemcy przerzucili most przez Ren, bandami udawali się do najbliższych wiosek alzackich, gdzie mieszkali ich dawni przyjaciele rozkradali wszystko co było kosztowniejszego, lub co się im podobało, maltretując tych, co się chcieli oprzeć temu haniebnemu rabunkowi. Nie tylko pieniądze, srebra i kosztowności, lecz łóżka i meble zabierali swoim sąsiadom i wieźli do siebie na drugą stronę Renu.

Słyszałem opowiadanie scen przy tem odbywających się, od chłopów z Neuhofu, wsi niedaleko Strasburga położonej i już po poddaniu się fortecy. Wierzę zupełnie temu, bo żołnierze pruscy nie słynący z rycerskości potwierdzali to, dodając, że Badeńczycy od-

znaczali się nieustannie jako rabusie pierwszej ręki. Potrzeba też powiedzieć, że nienawiść Alzatczyków od czasu bombardowania ich stolicy, szczególnie była skierowana przeciwko sąsiadom. Jeżeli nastąpi kiedyś odwet, będzie on krwawy, bo ileż to razy przy mnie mówiono: „Niczego nie chcę, tylko żeby los wojny pozwolił nam zajrzeć do badeńskiego; zapłacilibyśmy z lichwą za wszystko złe, jakie nam wyrządzili te łotry niemieckie".

Lecz wracam do mego opowiadania. Gdym przypatrywał się temu dziełu zniszczenia, doleciał mnie jęk z pokoju, gdzie złożyłem ranne kobiety. Pobiegłem natychmiast do nich w największym przestrachu. Łuna pożaru oświecała pokój krwawem światłem do takiego stopnia ostrem, że wszystkie myślały, iż pałac znajduje się w płomieniach i że ich zapomniano w sali rannych. Wszystkie moje upewnienia, że to się katedra pali, na nic by się nie przydały, gdybym im był nie obiecał, że zostanę z niemi aż do rana. Pomimo wielkiego niebezpieczeństwa od padających kamieni i odłamków bomb, ciekawość ciągle ciągnęła mnie do okien, aby jeszcze choć raz popatrzeć na pożar dachu katedry, który wyglądał jak krater ogromnego wulkanu w czasie wybuchu.

Gdy się katedra palić zaczęła, widziałem jedną zabawną scenę: księża nie czując się dość bezpiecznymi w klasztorze, przychodzili po nieszporach do katedry i tam na materacach noc przepędzali. Gdy się dach zapalił i bomby niemieckie przebiły gotyckie sklepienie, wystraszeni ojcowie nawpół ubrani wyskoczyli stamtąd, uciekając do klasztoru wśród lecących zewsząd strzałów. Na szczęście żaden z nich nie został zabity ani ranny.

Nad ranem, gdy strzały Niemców zwykle stawały się rzadszemi, wysłałem część rannych do szpitalów, innych zaś operowałem w ambulansie, korzystając z przybycia kilku kolegów, którzy zwykle przychodzili zobaczyć, co jest nowego w ambulansach po każdej nocy silniejszego bombardowania.

Nie jest, jak powiedziałem wyżej, zamiarem moim opisywać dzień po dniu bombardowanie miasta: każdy dzień przynosił nowe zniszczenia, każdy dzień widział nowe ofiary tego bezbożnego dzieła. Po spaleniu i zrujnowaniu kamiennego przedmieścia (Faubourg de Pierreo), pięćset biednych rodzin umieszczono w teatralnym budynku. W jednej loży mieściła się cała rodzina, która wszystko straciwszy, noc przepędzała pod dachem teatralnym, a jadła w ludowych restauracjach, gdzie dobroczynność bogatszych obywateli miasta dostarczała ubogim dwa razy dziennie zupę, kawałek chleba i szklankę wina. W jedną z okropnych nocy,

którą przebył Strasburg, Niemcy wiedząc dobrze przez szpiegów, co się dzieje w mieście i chcąc zwiększyć nędzę mieszkańców, skierowali ogień baterji swoich na teatr. W pół godziny od początku bombardowania budynek był już w płomieniach. Możecie sobie wyobrazić, co się działo w tem miejscu, jakie sceny rozpaczy i strachu odgrywały się, jaki popłoch powstał, gdy tyle matek z dziećmi na rękach wybiegło z tego przytułku nędznego, nie wiedząc gdzie iść, gdzie uciekać z ostatnim skarbem, który im pozostał, w nocy, wśród walących się domów, jęku rannych i trzasku pękających granatów.

Generał Uhrich posłał do głównodowodzącego armją oblężniczą jenerała Werdera parlamentarza, prosząc o dozwolenie wyjścia z miasta kobietom, dzieciom i starcom. Werder wręcz odmówił i nie ukrywając swych myśli dodał: „kobiety i dzieci w mieście, jest to moja siła“. Gdy wracał parlamentarz z trębaczem do miasta, Prusacy zaczęli strzelać do niego; trębacza zabito a parlamentarz dostał dwie rany, w nogę i w szyję. Tego ostatniego, kapitana Roedera, potem dość długo leczyłem.

Wogóle Niemcy nie odznaczali się wielkiem poszanowaniem zwyczajów wojennych i przyjętych zobowiązań, jak to nakazuje honor wojskowy. Tak naprzykład w armji ich było mnóstwo żołnierzy, którzy na podstawie genewskiej konwencji międzynarodowej nosili na ręku przepaski białe z krzyżem czerwonym; te przepaski dawało się każdemu, kto należał do służby szpitalnej i chroniły go od niewoli, jako osobę neutralną. Otóż ci żołnierze na jednem ręku nosili przepaskę a na drugim karabin, zabijając gdy było można, kryjąc się pod obroną konwencji, gdy byli słabszymi. Nawet wybiegi wojenne nie cechowały się wielką szlachetnością. Czasami zdarzało się, że na jakimś domie za murami Strasburga na strzał z miasta pojawiała się międzynarodowa chorągiew, wskazująca, że dom jest obrócony na szpital. Z fortecy zaprzestano strzelać w tym kierunku, lecz zaledwie dzień przeszedł, z za domu tego odzywał się ogień bateryj niemieckich, które korzystając ze spokoju, w nocy wybudowano dla bombardowania cytadeli miasta.

Czytałem w dziennikach niemieckich upewnienia, że to są fałsze wymyślone na armję niemiecką. Nie należałem do żadnej ze stron wojujących nie mając do tego prawa, jako obywatel neutralny Szwajcarji, mówię więc zupełnie bezstronnie i tylko to, co widziałem na własne oczy.

Będzie tu miejsce opowiedzieć o francuskiej intendanturze pod której kierunkiem znajdowały się wojenne szpitale. Jak wszystko w czasie tej wojny, tak szczególnie intendantura wykazała swą nicość kompletną. Nie było najmniejszych przygotowań, i gdyby nie stowarzyszenie czerwonego krzyża, które utworzyło tyle ambulansów, ranni byliby w najokropniejszem położeniu. Dość powiedzieć, że w szpitalu wojennym, który powinien był przecie przygotować się na przyjęcie chorych na febrę, nie było chininy. Pomimo to intendantura wojenna ciągle z góry patrzała na międzynarodowe ambulansy i wzbraniała medykom wojskowym, nie mającym co robić, wstępować do tych ambulansów na dyrektorów, tak, że gdy w ambulansach brakowało lekarzy, wojskowi lekarze siedzieli w kawiarniach i piwiarniach, przeklinając intendantów i swoją bezczynność.

Wojskowy intendant La Valette, czując się nie bardzo bezpiecznym w kazamatach cytadeli, pod pretekstem dozorowania wojskowych szpitali, przeniósł się do cesarskiego pałacu, gdzie były doskonałe sutereny i bez ceremonji zaczął tam umieszczać kuzynków swoich i znajomych, rugując chorych do pokojów wyższych piąter, narażonych na strzały, pod pretekstem, że chorym potrzeba więcej czystego powietrza, aniżeli spokoju, który tam mieli. Ponieważ sutereny były bardzo dobrze przewietrzane, oparłem się temu i po bardzo ostrem przemówieniu się, posłałem prośbę do dyrekcji stowarzyszenia, aby mię uwolniła od obowiązków dyrektora ambulansu, nie chcę bowiem pozostawać pod wojskowem zwierzchnictwem. Stowarzyszenie, ceniąc poprzednie zasługi moje odpowiedziało mi odmownie, prosząc, abym nadal sprawował przyjęty obowiązek, a zarazem napisało bardzo stanowczy list do La Valette. Nie chcąc jednak narażać się na ciągłe starcia, które były nieuniknione i mogły szkodzić chorym, odpisałem do stowarzyszenia, że mając trzy sale rannych w szpitalu cywilnym i wielu chorych w mieście, nie jestem w stanie sumiennie spełniać mego obowiązku w dwóch miejscach i że chciałbym całkowicie poświęcić się rannym cywilnym, gdyż dla pielęgnowania żołnierzy jest aż nadto lekarzy wojskowych, którzy nic nie robią. Stowarzyszenie nie mogło nie uznać sprawiedliwości mego żądania i przysłało mi dymisję z pięknym listem dziękczynnym, który mi zostanie na zawsze najmilszą pamiątką: „Le Comité certifie, que dès l'arrivée des premiers blessés à Strasbourg M. le Docteur Stella s'est mis completement à sa disposition, qu'il a organisé et dirigé jour et nuit une ambulance très

importante avec une habileté et un devouement à toute épreuve.

Monsieur le Dr. Stella a bien mérité de l'humanité et le Comité se fait un devoir de lui rendre ce témoignage et de le remercier de son concours si actif et si devoué.

Pour le comité le president I. Kablé.

O losie p. La Valette muszę dodać słów kilka. Był to tchórz najczystszej wody i cały dzień siedział pod ziemią, w piwnicy. Zrana gdy Niemcy przestawali strzelać, wychylał stamtąd głowę i odzywał się do szyldwacha: „Sentinelle! est ce que ça siffle encore là bas? — Non, votre Excellence", odpowiadał żołnierz. Wtedy pan jenerał wychodził na dziedziniec pałacu i wydawał gromkim głosem rozkazy. Po upadku Strasburga czytałem w Monitorze: „w nagrodę męstwa okazanego przy obronie Strasburga intendant La Valette mianowany komandorem krzyża legji honorowej!"...

Strasburski szpital cywilny, znajdujący się przy samym wale fortecy, od niego oddalony o jakie sto kroków, w zwykłym czasie ma cztery sale kliniczne dla chorób chirurgicznych, dwie dla mężczyzn, jedną dla kobiet i jedną dla dzieci. Ja byłem z początku internem w klinice chorób wewnętrznych, lecz gdy ilość rannych powiększała się codziennie, tak że jedenaście sal napełniło się rannymi, mnie zostały powierzone trzy sale. Dyrekcję nad wszystkimi objął profesor kliniki chirurgicznej Dr. Rigaud, który w ciągu całego czasu bombardowania miasta prawie na chwilę nie wyszedł ze szpitala. Do obsługi rannych było nas pięciu doktorów internów.

Przenosiny moje z ambulansu na stałe mieszkanie do szpitala nastąpiły po pożarze, który miał miejsce 23. sierpnia. W noc tę spalono piękną kaplicę szpitalną i mocno nadwerężono dom, w którym znajdowali się chorzy na ospę, tak, że potrzeba było przenieść ich do innego domu i ulokować na strychu, bo miejsca w szpitalu nie było.

Według opisu kolegów noc pożaru była okropna. Co chwila wlatywały bomby i granaty na dziedziniec i do sal szpitala, pękając, tłukąc okna i mury, zabijając ludzi. Krzyk i płacz kobiet i dzieci, wrzask ludzi gaszących płomienie, które już obejmowały główny korpus szpitala, przenoszenie obłożnie chorych na korytarze więcej zasłonięte od strzałów, głośne modły kobiet i starców, na klęczkach wzywających opieki i zlitowania niebios: taki był obraz szpitala w tę noc pamiętną. Jeden granat pękł

w pokoju, w którym było 30 chorych, i o dziwo! pomimo, że w granacie było 430 kul, ani jeden nawet nie był zraniony. Drugi granat rozerwało wśród tłumu otaczającego pompę, skąd brano wodę do gaszenia pożaru, trzeci nad salą położnic, czwarty w ogromnej sali starców-pensjonarzy. Trzech tylko starców straciło życie, a dwu było rannych. To cudowne prawie uratowanie szpitala siostry miłosierdzia przypisywały opiece św. Józefa, pod którego patronatem znajduje się szpital.

Na drugi dzień jenerał Uhrich prosił pruskiego dowodzącego, aby oszczędzał przynajmniej ten przybytek boleści. Werder obiecał, lecz nie mijał ani jeden dzień, żeby trzy lub cztery bomby nie padły do szpitala i na dziedziniec jego, dziurawiąc dachy, rozbijając mury, tłukąc szyby i zniewalając przenosić chorych z jednego budynku do drugiego, mniej wystawionego na pociski. Ta okoliczność była przyczyną wielkiego ścisku chorych w pozostających lokalnościach, tak że pomimo otwartych okien i palenia w piecach dla wentylacji, powietrze się psuło nadzwyczajnie prędko i było przyczyną, że przebieg choroby był dłuższy i cięższy: pod koniec bombardowania dysenterja zapanowała w szpitalu i było kilka wypadków pojawienia się tyfusu. Rany, które w pierwszych dniach goiły się dobrze, bez trudności, stały się nadzwyczajnie upornemi, gorączka przyranna występowała coraz częściej. Nieraz w czasie opatrywania rannych wlatywały kule karabinowe przez okna i raniły powtórnie już rannych, jak to się zdarzyło dwa razy w mych salach. Ciągły strach o życie, wstrząśnienie chorych przy każdym strzale z fortecy, noce bezsenne z przyczyny ciągłego huku pękających bomb i granatów i łuny pożarów oświęcające sale, wpływały bardzo niekorzystnie na leczenie rannych.

Dodać muszę, że rany od niemieckich pocisków były okropne, gangrena przychodziła w kilka godzin po zranieniu i jeżeli amputację odwleczono na dni kilka w nadziei zachowania nogi lub ręki chorego, ratunek był bezskuteczny, nawet kontuzje, które z początku zdawały się nic nie znaczącemi, sprowadzały za sobą gangrenę ogromnych kawałów skóry i mięśni i śmierć. U silnych organizmów po kontuzji odpadała skóra z całej ręki lub nogi, tak, że zabliźnienie stawało się niepodobnem i trzeba było uciekać się do amputacji. Przytem rzadko kiedy ranni mieli tylko jedną ranę: zwykle pęknięty granat albo bomba raniły w pięciu, w sześciu miejscach, nawet w kilkunastu i kilkudziesięciu, tak, że opatrywanie ran stawało się niezwykle trudnem, bo ranny cierpiał

straszliwie, gdy go potrzeba było przewracać z boku na bok. W takich razach profesor Rigaud zwykł był mawiać: „Laissez le mourir tranquillement“. Dotychczas mi stoi przed oczyma biedne dziecko lat dziesięciu, któremu granat zerwał skórę z całego brzucha, tak, że wnętrzności były odkryte i można było na nim dokładnie obserwować anatomję i fizjologję wewnętrznych organów, w ciągu pięciu godzin, które jeszcze przeżyło biedne dziecko, zupełnie nie skarżąc się na ból.

Prosty lud, widząc jak prędko gangrena przychodziła od najlżejszej rany, był pewny, że Niemcy zatruwają swe pociski.

Sale rannych napełniały się z nadzwyczajną szybkością. Zaledwie 1. września sale moje zostały otwarte dla rannych, a już czwartego dnia miałem pięćdziesięciu, a w nocy z 5. na 6. września, zrobiliśmy dziewiętnaście amputacji.

Pracy było tak wiele, że ledwo mogliśmy jej podołać. O pół do szóstej z rana zaczynałem opatrywać rannych i pomimo wprawy w tem, pomimo pomocy sióstr Miłosierdzia i felczerów kończyłem wizytę o dziesiątej lub o jedynastej, następnie od trzeciej popołudniu do szóstej lub siódmej wieczorem, tak, że nie wiele było czasu na opatrywanie chorych w mieście, szczególnie gdy jeszcze trzeba było zrobić kilka operacji. Nie będąc liczni w szpitalu musieliśmy sobie pomagać wzajemnie, tak że ciągle potrzeba było biegać z sali do sali, ażeby chloroformować, uciskać lub podwiązywać tętnice i odcinać członki.

Od początku do końca bombardowania, to jest sześć tygodni, nie rozebrałem się ani razu, spiąc na ziemi w sali wśród chorych, bo łóżek już zabrakło i co chwilę budzony to dla skonstatowania śmierci, to dla sondowania, to dla powstrzymania krwiotoku z tętnicy przegryzionej przez gangrenę, to dla uśmierzenia nieznośnego bolu.

Ciężkie to było życie i okropne zajęcie. Lecz dnie za dniami leciały szybko i nigdy mi czas tak prędko nie przechodził, jak w dniach bombardowania Strasburga. Przepędziwszy dzień cały biegając od chorego do chorego, z opuchniętemi od zmęczenia nogami, jak rzeźnik krwią zbroczony, o 10. wieczorem człowiek rzucał się na materac i spał jak zabity, nie słysząc huku armat, strzelających z wałów i pękania bomb nad szpitałem. Lecz wielka odpowiedzialność wzbudzała nadzwyczajną ekscytację i niezwykłą energję w nas wszystkich. Czuliśmy się daleko zdrowszymi, niż w zwykłym czasie: uczucie spełnionego obowiązku, zaufanie chorych, ich wdzięczność za staranne pielęgnowanie dodawały siły

i napełniały serca tym spokojem i zadowoleniem z siebie, które są najwyższem zadowoleniem człowieka.

Co mam powiedzieć o scenach, których byłem świadkiem? Wszystko co może poruszyć najzakamienialsze serce, powtarzało się codziennie. Tu ojciec umierający na noszach, otoczony rodziną składającą się z żony i sześciorga dzieci, które straciwszy wszystko od pożaru, tracą ostatnią podporę — płacz żony, przerażenie małych dziatek, nie pojmujących jeszcze wielkości straty! Tu znowu mąż na klęczkach obok umierającej żony, której granat oberwał obie nogi, woła do Boga i ludzi, prosząc o uratowanie tej, którą kochał nadewszystko. Tu matka obok łoża jedynaka syna, podpory starości, wyliczająca jego piękne przymioty, jego miłość dla niej: „Uratujcie mi go, wołała nieszczęśliwa, wszak z jego życiem i moje ustanie, bo nie mam nic droższego na świecie". Biedak miał całą łopatkę wyrwaną, płuca wyszły na zewnątrz, nie było żadnego ratunku! Obiecałem matce zrobić co tylko człowiek może, prosiłem żeby poszła do domu odpocząć, bo chciałem jej oszczędzić widoku konania tego ukochanego syna. Biedna pobiegła do domu, żeby mu przynieść konfitur, lecz gdy wróciła do sali, już syna nie było. „Gdzie on, gdzie on, pytała przerażona, pewnie go przeniesiono do innej sali". — „Biedna matko, módl się do Boga, on jeden cię pocieszy, on go zabrał do siebie", odpowiedziałem wziąwszy ją za rękę. Krzyk przerażenia wyrwał się z piersi staruszki, padła na kolana i zbłąkanemi oczyma szeptała jakąś modlitwę. Odszedłem, nie mogąc zdusić przekleństwa, które wyrywało się z piersi na tych ludzi, co prowadzili tak okropną wojnę. Siostra Miłosierdzia odprowadziła ją do bramy.

Pióro moje nie jest w stanie opisać, co się tam działo w szpitalach, dreszcz przejmuje na samo wspomnienie tych scen rozpaczy i boleści, których świadkiem byłem.

Do tysiąca ośmiuset mężczyzn w kwiecie siły, kobiet i dzieci przeszło przez szpital cywilny. Z nich 450 zostało zabitych na miejscu lub umarło po mniej lub więcej długiej chorobie. Mam spis tych co byli w salach moich; serce się wzdryga odczytując listę: noga, ręka, czaszka przebita, piersi, brzuch otwarte, szczęka dolna urwana, pięć, dziesięć, piętnaście ran na ciele; a tam niżej jeszcze ośmnaście osób, których imienia nawet nie mogłem się dowiedzieć, bo skonały na noszach, będąc tak straszliwie pokaleczonymi i popalonymi, iż krewni poznać ich nie mogli.

A co się działo w sali umarłych? Pomimo, że codziennie w nocy wywożono zabitych do botanicznego ogrodu i tam ich

grzebano, bo wszystkie cmentarze znajdywały się za miastem' prawie na każdym stole leżały trzy trupy nagie lub nawpół ubrane: tu dziewczyna w wiośnie życia z wyrwanemi wnętrznościami tam robotnik z przebitą piersią i z opaloną prochem twarzą, tu znowu na jednym stole mąż z wyrwanym bokiem, żona z urwaną głową i trzymiesięczne dziecię z rozstrzaskaną czaszką — granat jeden uśmiercił ich wszystkich razem: tam znowu cała rodzina zabita bombą, która pękła wśród zebranych u stołu. Czemuż, myślałem często, nie można przyprowadzić tu króla pruskiego z łaski Bożej i Napoleona, żeby popatrzyli ile to kosztuje łez i krwi nieszczęśliwych ofiar ich nienasycona ambicja. „Boże pomścij się na nich", powtarzał każdy, wychodząc z tego przybytku śmierci.

Jak spełniłem moje obowiązki w szpitalu w czasie bombardowania, dowodem świadectwo, które mi wydał szef kliniki, a które chowam pomiędzy memi najmilszemi pamiątkami:

„Le soussigné, Professeur de clinique chirurgicale de la faculté de Médicine à l'hopital civil de Strasbourg certifie, que pendant toute la durée de l'état de siège et du bombardement de notre ville (depuis le 14 Août jusqu'au 27 Septembre 1870) Monsieur Stella, Docteur de la Faculté de Strasbourg a fait le service dans mes salles de blessés, sans qu'il ait faibli un seul instant durant la tâche pénible et cruelle, que les circonstances de nous ont faite. — Je saisis avec bonheur cette occasion d'en faire la déclaration formelle et d'en consigner ici l'expression pleine et entière". P. Rigaud.

Wypada mi jeszcze powiedzieć, co się działo w mieście i na przedmieściach w czasie bombardowania. Po bitwie pod Froeschwiller wiele lekarzy wyjechało do Hagenau opatrywać rannych; inni przed samem bombardowaniem, może przewidując co ma nastąpić, pouciekali z miasta, tak, że w twierdzy zostało nie wiele lekarzy, a szczególnie takich, którzyby chodzili do miasta i na przedmieścia do chorych, wtedy gdy grad pocisków padał nieustannie. Według sprawozdań niemieckich dziennie rzucano do Strasburga więcej jak sześć tysięcy granatów, bomb i kul wielkich. Wygnańcowi obcemu wszędzie życie nie jest drogie, bo on nie żyje, ale wegietuje tylko; dla tego też nie odmawiałem nikomu pomocy, kto tylko zgłosił się do mnie i o ile mi czas pozwalał oderwać się od szpitala, poświęcałem go na usługi chorych w mieście. Odbywając me wizyty dwa, a czasem trzy razy na dzień, widziałem albo wiedziałem wszystko, co się w mieście działo.

Z początku nikt wierzyć nie chciał w możność oblężenia Strasburga, który od urodzenia swego nigdy nie był wzięty i tylko raz blokowany. Dla tego też, gdy po bitwie pod Froeschwiller usłyszano, że „Hannibal ante portas", strach zapanował w mieście nadzwyczajny. Panika owładła wszystkimi, zaczynając od jenerała Uhricha, który najniespodziewaniej obaczył się obrońcą pierwszorzędnej twierdzy bez dostatecznych środków obrony, do ostatniego wyrobnika, który stracił robotę w mieście, bo wszystko naraz ustało: przemysł, handel, budowy i różne konstrukcje.

Jenerał Uhrich kazał uderzyć w bębny, aby zebrać gwardją ruchomą czyli milicję (guarde mobile), która nie miała jeszcze ani broni, ani mundurów i nie znała się na obchodzeniu z bronią, ani na ruchach, ani na dyscyplinie. Pan jenerał stracił głowę do tego stopnia, że o północy przybiegł osobiście do mego ambulansu, zapytując czy wśród rannych nie ma ludzi, którzyby mogli wziąć broń do ręki, bo garnizon jest za słaby, aby się oprzeć atakowi nieprzyjaciela. Potem ni z tego ni z owego zaczął zachęcać do odwagi: „courage mes amis, courage!" Język bardzo mię świerzbiał aby mu odpowiedzieć: „Courage, mon général, courage!" bo któż takie rzeczy głośno mówi, któż przyznaje się do słabości.

Zamożniejsi mieszkańcy zaczęli się zbierać na naradę co robić. Byli tacy, którzy znając słabość fortecy, chcąc uchronić mienie swe od ognia i żelaza, chcieli żądać od Uhricha, aby oddał fortecę bez oporu, ale większość była innego zdania i postanowiła bronić miasta do upadłego, w nadziei, że główne siły francuskie odniósłszy zwycięstwo, oswobodzą Strasburg od oblężenia.

Wkrótce potem straciliśmy wszelką komunikację na zewnątrz, bo blokada zaczęła się na serjo i wszystkie drogi zostały przecięte. Dowóz żywności z bliskich wiosek jeszcze istniał, bo Prusacy nie ośmielali się bardzo zbliżyć, ale już żadnej nie mieliśmy wiadomości ani z Francji ani z Niemiec. Nie uwierzycie, jakie to przykre uczucie, być tak odciętym od świata całego. Człowiek czuje się jak na okręcie wśród oceanu, lub na oazie wśród stepu, bo nie może dostać żadnej wiadomości o krewnych i bliskich sercu, nie może czytać żadnych nowin politycznych.

Z początku nie przewidywano jeszcze tych wszystkich okropności, których następnie staliśmy się świadkami. Gdy 13 sierpnia pod wieczór pierwszy granat niemiecki wleciał do miasta i złamał słup od latarni, na drugi dzień cała ludność wylęgła z domów

i zaczęła oglądać to miejsce z największą ciekawością. W następną noc było pierwsze dość silne bombardowanie i padły pierwsze ofiary, lecz strzały Niemców były jeszcze niepewne, bo nie posiadali oni jeszcze tych strasznych dział, któremi potem tak prędko przeprowadzili dzieło śmierci i zniszczenia. Po tem pierwszem ostrzeżeniu o tem co miało nastąpić, każdy pochował co miał droższego do piwnic i sam na noc szukał w nich schronienia dla siebie i rodziny. Około każdego domu postawiono kadzie z wodą, a okna tych piwnic zakryto piaskiem, ziemią i nawozem, aby osłabić uderzenie bomb i granatów.

Od 23. sierpnia kanonada nie ustawała ani na chwilę, pożary niszczyły dom za domem, kwartał zą kwartałem, lecz im więcej ruin przybywało, tem większą siłą objawiała się w Strasburczykach chęć bronienia miasta do upadłego.

Z początku bombardowania rzadko kto, chyba znaglony potrzebą, pojawiał się na ulicy i prawie wszystkie magazyny były zamknięte, oprócz tych, które sprzedawały wiktuały. Następnie przyzwyczajono się do huku armat, do świstu granatów i do nosz z zabitymi i rannymi, co chwilę przesuwających się po mieście w kierunku szpitali i ambulansów. Piwiarnie otwarto, zaczęto przechadzać się po ulicach, gdy nie bardzo gęsto strzelano, unikając tych placów, które były najniebezpieczniejsze. Nie dość tego; w mieście utworzyła się nowa industrja: jakiś żyd zaczął skupywać żelazo z pocisków niemieckich, robotnicy więc szukali czerepów rozerwanych bomb i granatów, żeby tylko zarobić kilkanaście centimów. Ta okoliczność była nawet przyczyną wielu nieszczęśliwych wypadków, bo dzieci zaczęły chodzić w te miejsca, gdzie pociski najgęściej padały, prawdopodobnie nie pojmując niebezpieczeństwa, które im groziło. Raz gdym spieszył do chorego w mieście, w czasie przechodzenia przez plac Klebera o dwa kroki odemnie padła bomba i pękła. Jak błyskawica przeciało w mej głowie zapytanie, czy śmierć czy kalectwo. Gdy pył i dym, który mnie otoczył, w pierwszej chwili zniknął i gdy z wielką przyjemnością poczułem żem cały, już naokoło mnie kręcili się ulicznicy, podejmując czerepy bomby. W innem miejscu znowu widziałem dzieci śmiejące się i bijące brawo za każdym razem gdy czerep granatu dziurawiąc dach, zrzucał stamtąd wiele dachówek na ziemię.

Tymczasem ruiny rosły, szczególnie na przedmieściach; część pogorzelców została pomieszczona w teatrze, druga w katedrze, a trzecia w prywatnych domach: byli jednak tacy co nie

chcieli porzucić swych zrujnowanych domostw, zostając z rodzinami w piwnicach, które jeszcze ocalały.

Co się działo we Francji, nikomu nie było wiadome. Prefekt i dowodzący garnizonem przez swych szpiegów zapewne wiedzieli o stanie rzeczy, lecz nic nie komunikowali, żeby nie demoralizować mieszkańców. 4. września na proklamacji do miasta, prefekt nie podpisał się jak dawniej „baron Prou“ lecz wprost A. Prou i proklamacja nie zaczynała się według dawnej formy „empire française“, ale „w imię władzy mi poruczonej“. Zwróciło to uwagę naszą i obudziło podejrzenie, czy nie zaszła zmiana rządu we Francji. W kilka dni potem znowu dowiedzieliśmy się, że jakiś człowiek przywiózł z Colmaru prefektowi naszemu różne depesze. Ciekawość była tak wielka, że municypalność poszła in gremio do prefekta, prosząc aby raczył im zakomunikować otrzymane wiadomości, wszystko jedno, czy dobre czy złe. Prefekt udał, że nic nie wie i powiedział, że żadnych depesz nie otrzymał; dał jednak przyrzeczenie, że zakomunikuje wszystko, jak tylko coś otrzyma. Wychodząc od niego, każdy czuł, że prefekt kłamie, ale nie było możności zmuszenia go do powiedzenia prawdy.

Tymczasem siła bombardowania wciąż rosła. Czy to z braku pocisków, czy dla zabawy, 9. września Niemcy do moździerzy swych zaczęli wkładać wielkie kamienie, kawały relsów koleji żelaznej, klucze, zamki oderwane od drzwi, wagi od zegarów i t. d. Można sobie wyobrazić, z jakiem zdziwieniem patrzyli mieszkańcy na te przedmioty spadające z nieba. Obiegając miasto codziennie widziałem doskonale postęp zniszczenia po każdej nocy bombardowania. W którą stronę człowiek rzucił oczyma, spotykał się z ruiną i gruzami: ileż to bogactw, ile skarbów, ile dzieł sztuki zginęło na zawsze! Ileż to razy widziałem mieszkańców domów spalonych, stojących z załamanemi rękoma przed dymiącemi się szczątkami dawnego dobrobytu, nie wiedząc, gdzie iść, do kogo się zwrócić o pomoc... Owoce pracy lat tylu i oszczędności, zniszczone do szczętu... nic a nic nie pozostało!

Żeby dać pojęcie, jaką straszną siłą spustoszenia rozporządzali Niemcy, przytoczę dwa przykłady. Jedna z bomb ważąca 260 funtów i napełniona 675 kulami żelaza, przebiła trzy piętra domu, połamała wszystkie meble i zniszczyła całą kawiarnię. Granat rzucony z Schiltigheim przeleciał całe miasto, to jest 7 kilometrów, a uderzywszy w wieżę przy szpitalu, przebił ścianę mającą 1 metr grubości; szczęście jeszcze, że go nie rozerwało.

W ostatnim czasie prawie codziennie ktoś rozsiewał pogłoski, że jenerał Dumont z 25. tysiącami idzie na odsiecz Straburgowi; wszyscy czekaliśmy go z upragnieniem i gorączkową niecierpliwością, lecz dnie za dniami upływały, jenerał nie przychodził, nadzieje gasły, ustępując miejsca upartej rezygnacji, a ruiny rosły...

Dnia 10. września dowiedzieliśmy się, że szwajcarska deputacja udała się się do księcia badeńskiego z prośbą o pozwolenie wyjścia z nieszczęśliwego miasta kobietom, dzieciom i starcom, którym Szwajcarja obiecała dać przytułek i opiekę. Niemcom nie przypadło do gustu wstawienie się szlachetnej rzeczypospolitej, bo to był delikatny wyrzut za barbarzyński i nieludzki sposób prowadzenia wojny. Jednak to co odmówiono Uhrichowi, niepodobna było odmówić neutralnemu państwu, wzywającemu o miłosierdzie w imię cywilizacji. Werder otrzymał rozkaz przepuszczenia tej nowej emigracji przez linję awanpostów.

Dnia 11. września deputaci Helwecji przybyli pod mury miasta. Parlamentarz z białą chorągwią wyjechał na ich spotkanie i wprowadził do twierdzy przez dymiące ruiny przedmieścia narodowego (Faubourg National). Niemcy nie chcieli zaniechać strzelania nawet na czas pobytu deputacji szwajcarskiej w mieście; pomimo to masy ludu wysypały na jej spotkanie. Gdy most zwodzony opuszczono, wszyscy przytomni zdjęli czapki i kapelusze, wzruszenie było ogólne, kobiety płakały. Mer miasta otoczony municypalnością zbliżył się do przybyłych i tak przemówił:

„Panowie! Ludzkość i chrześcijańskie miłosierdzie przyprowadza was do miasta zniszczonego w imię tak zwanego wojskowego prawa. Witamy was z uczuciem największej wdzięczności. Wiele historycznych węzłów łączy nas z wami; wy przychodzicie je wzmocnić jeszcze. My zawsze znajdowaliśmy przyjaciół w szlachetnych synach Helwecji, która była naszym sprzymierzeńcem, jak niegdyś tak i potem, gdy nas los złączył z Francją.

Witamy was Panowie w chwili tak bolesnej dla miasta naszego, witamy was, coście przybyli ratować kobiety, dzieci i starców, których nie mogły uchronić ani prośby jenerała dowodzącego twierdzą, ani błaganie biskupa naszego.

Opowiedzcie Europie, coście widzieli w murach naszych: powiedzcie jej, czem jest wojna w wieku naszym. Nie przeciw wałom, nie przeciw żołnierzom ogień skierowany, lecz przeciw mieszkańcom; kobiety i dzieci nasze są głównemi ofiarami. Nasze wały, wy je widzieliście, są dotychczas całe, lecz mieszkania

nasze spalone: nasze kościoły, pomniki, historyczne pamiątki połamane, zniszczone, a nasza sławna bibjoteka zginęła na zawsze. Czyż sumienie Europy 19. wieku pozwoli, żebyśmy wpadli znowu pod panowanie praw barbarzyńskich?

Powiedźcie to wszystko Europie, lecz powiedzcie jej zarówno, że te okropności, te zniszczenia, te prawdziwe czyny barbarzyńców są bezsilne, że nie umniejszyły one odwagi naszej i że zostaniemy zawsze tem, czem byliśmy i chcemy zostać na zawsze, to jest mężnymi i zacnymi Francuzami i jak Wy Panowie, obywatelami wiernymi i oddanymi ojczyźnie swojej".

„Niech żyje Szwajcarja"! ozwało się za wszystkich stron. Lud zebrany otoczył wysłańców rzeczypospolitej, ściskając ich ręce, a tysiące głosów powtarzały wyrazy wdzięczności, szacunku i dziękczynienia.

Delegowani udali się następnie do domu, gdzie zebrała się rada municypalna, żeby oświadczyć o celu swego przybycia i o warunkach, które postawili Niemcy. Następnie mer miasta wygłosił odezwę do mieszkańców, wzywając tych, którzy chcą i mają prawo porzucić miasto, żeby zapisali się dnia następnego w biurze mera. Potem delegowani, nie zważając na bomby i granaty, w towarzystwie tłumu ludzi obeszli miasto, żeby zobaczyć zniszczenie jego w czasie bombardowania. Twarze ich były blade ze wzruszenia i przy świście każdego granatu, przelatującego nad głowami, głowy ich schylały się mimowolnie, od czego mieszkańcy Strasburga zaczęli już odwykać. Tegoż dnia Szwajcarzy wyjechali z niebezpiecznego miasta.

Jeszcze przed ich przyjazdem dochodziły nas wieści o nieszczęściach, jakie spotkały francuską armję, ale nikt nie chciał wierzyć tym fatalnym nowinom, myśląc, że je Niemcy rozpuszczają umyślnie. Szwajcarzy potwierdzili prawdziwość tych wieści. Jednak katastrofa sedańska do tego stopnia wydawała się nieprawdopodobną, poddanie się 80 tysięcznej armji francuskiej na łaskę i niełaskę wyglądało na taki absurd, że wiele osób zaczęło mówić, że delegaci Szwajcarzy byli to tylko przebrani Prusacy, którzy rozpuszczali te wieści dla złamania uporu obrońców twierdzy. Lecz razem z delegatami przybył ze Szwajcarji jeden z bardzo szanowanych obywateli Strasburga i potwierdził te wieści. Zwątpienie przeto musiało ustąpić miejsca smutnej rzeczywistości.

Prefekt już nie mógł dłużej zachować władzy, udając, że o niczem niewie, co się dzieje za murami fortecy. Pierwszą odezwą „Rządu Tymczasowego" ogłoszono w mieście i prefekt zło-

żył swoją władzę w ręce municypalności, która zebrała się natychmiast i obrała na jego miejsce redaktora dziennika strasburburskiego, a na miejsce dawnego mera, który także podał się do dymisji, Küssa, profesora fizjologji akademji medycznej, człowieka nadzwyczajnie światłego, rzetelnego republikanina i posiadającego nadzwyczajnie wiele spokoju i taktu. Jak tylko w mieście została ogłoszona rzeczpospolita, domy pokryły się trójkolorowemi chorągwiami, piwiarnie napełniły się cieszącymi się mieszkańcami. Tylko dym pożaru płonących domów, tylko nosze z zabitymi i rannymi, tylko świst granatów i walące się kominy przypominały, że miasto Niemcy bombardują. Być może, że to jedyny przykład w historji, że miasto w czasie bombardowania przystroiło się jak w największe święto.

15 października wyszła z miasta pierwsza partja tych, co otrzymali pozwolenie pruskie udania się do Szwajcarji. Wracałem właśnie od chorego, gdy emigranci wychodzili za bramę. Rodzice, bracia i krewni, przeprowadzali odjeżdżających. Ileż to znowu łez się wylało, ileż serc się ścisnęło z ciężkiego przeczucia, że to już ostatnie pożegnanie, ile boleści zadało rozstanie!...

Zaledwie trzy podobne partje zawierające 1300 osób wyszły ze Strasburga, bo Prusacy robili mnóstwo trudności, żeby zmniejszyć liczbę emigrantów.

W następne noce kanonada stała się jeszcze silniejszą, bo niemieckie oblężnicze roboty zbliżyły się do murów. Ilość żywności zmniejszała się codziennie: funt końskiego mięsa kosztował trzy franki, funt soli półtora franka, pudełko sardynek dwadzieścia franków. Dzienniki niemieckie, które Prusacy zaczęli podrzucać do miasta, dowodziły, że stan Francji jest taki, że wcale nie można marzyć o odsieczy. Wtedy to na zebraniu rady municypalnej przedłożono pytanie czy nie należy poddać miasta, żeby otrzymać dogodniejsze warunki. Lecz w ten sam dzień, przedarłszy się przez czaty niemieckie i przepłynąwszy przez rzekę, przybył do twierdzy nowomianowany przez rząd rzeczypospolitej, bardzo energiczny i szanowany prefekt Valentin. On to wpłynął na miasto w ten sposób, iż municypalność postanowiła trzymać się do ostatka.

W nocy 22 października Niemcy próbowali otwartego ataku na miasto zbliżając się z wielu stron odrazu. Lecz w twierdzy wiedziano już o tem przez szpiegów, i jak tylko Niemcy zbliżyli się do wałów, ozwały się armaty, broń ręczna i kartaczówki. Nigdy prawie jeszcze huk dział nie był tak straszliwy, jak w tę

noc pamiętną. Niemcy straciwszy wiele ludzi musieli uciekać z pod murów miasta.

W dzień następny od samego rana przypadek przedstawiał mi najstraszliwsze sceny. Na placu Austerlickim w oczach moich granat rozerwał człowieka na pół: następnie na placu Gutenberga jakiemuś biedakowi urwało głowę, ale tak gładko, jakgdyby ucięta była siekierą. Choć przywykliśmy do tych obrazów śmierci, lecz trzeci wypadek tak wstrząsł całem mojem jestestwem, że go nie zapomnę nigdy.

Zwykle do chorych na przedmieścia chodziłem wieczorem po kolacji, bo wtedy miałem najwięcej czasu. Otóż tuląc się do pozostających jeszcze murów z lewej strony Przedmieścia kamiennego, utykając co chwilę na grudach kamieni, ułamkach bomb i granatów rozsypanych po ulicy, spieszyłem do chorego, cierpiącego na zapalenie opłucnej. Człowiek ten nie mając innego przytułku, z pięciorgiem dzieci mieszkał w piwnicy domu swego, z góry zupełnie zrujnowanego. Noc była ciemna, choć gwiaździsta. Uradowany, że cało dostałem się do mego chorego, musiałem długo stukać do drzwi piwnicy, żeby prędzej otworzono, bo co chwila gdzieś bardzo blisko uderzały w mury kawały bomb, obrywając kamienie lub podejmując obłoki pyłu. Zaledwo za parę minut, które wydały mi się niezwykle długiemi, sam chory otworzył drzwi. Był to mężczyzna lat pięćdziesięciu, blady z choroby, a może i z nędzy prawie dwumiesięcznej, słaby, dychawiczny. Gdy po wyegzaminowaniu piersi, usiadłszy przy nim przy łóżku, wyjąłem ołówek i papier, żeby przepisać lekarstwo, ze straszliwym trzaskiem i grzmotem, rozłamawszy drzwi tej części, w której siedzieliśmy, wleciał granat, przebił mur kamienny za którym spały dzieci i tam pękł z ogromnym hukiem. Usłyszeliśmy krzyk dzieci, a potem walące się kamienie. Zaledwo przyszedłem do siebie z przerażenia, spojrzałem na chorego; wzrok miał dziki i osłupiały, włosy stanęły mu na głowie. Zerwaliśmy się obaj z łóżka, rzucając się ku drzwiom, które prowadziły do kryjówki dzieci i wysadziliśmy je wspólnemi siłami, bo gruzy kamienne wchód zawaliły. „Dzieci, dzieci! wołał z rozpaczy nieszczęśliwy ojciec, lecz nikt mu nie odpowiadał. Ukląkłszy popełznął naprzód, ręka jego spotkała nogę dziecka: pociągnął — był to trup najstarszego syna, któremu oderwało głowę; drugi miał piersi zmiażdżone, trzecie dziecko mocno okaleczone w twarz, dogorywało, dwaj zaś najmłodsi jakimś cudem ocaleli, lecz tak byli przestraszeni, że głosu ze siebie wydobyć nie mogli. Zanadto

słabe pióro moje, żeby opisać w całej okropności tę straszliwą scenę, która mnie i dzisiaj na samo jej wspomnienie dreszczem przejmuje.

Lecz czas już skończyć ten krwawy obraz, historja i ludzkość niech wyda wyrok, a Bóg tylko niech Hohenzolernów ukarze, sprawców przelania tyle krwi niewinnej!

OBLĘŻENIE I BOMBARDOWANIE STRASBURGA Z PUNKTU WOJENNEGO

Nie będę szeroko się rozpisywał nad zniszczeniem, któremu uległo to piękne miasto. Dość powiedzieć, że 38 dni i nocy Strasburg był pod deszczem ognia, żelaza i ołowiu, które z 200 dział nań rzucano. Zniszczenie to przechodzi wszelkie wyobrażenie. Dzielnica otaczająca tak zwane „Kamienne wrota" (Porte de Pierres), przedstawiała ogromne pole zasypane gruzami i sterczącemi kolumnami, były to resztki spalonych i rozwalonych bombami domów. Szeroka i prosta ulica, ku której skierowano główny atak, wyglądała jak gruzy Pompei, z tą różnicą, że Pompei mniej zrujnowane. Po wejściu Prusaków, gdy zaczęto oczyszczać tę dzielnicę, z pod gruzów codziennie wydobywano materace, meble, papiery, nawpół spalone trupy, wielkie masy ołowiu oderwanego z granatów, czerepy bomb i pociski jeszcze całe, których dobywanie połączone było z wieloma niebezpieczeństwami. Na na lewo od tej ulicy ciągnęły się ruiny zabudowania fabryki gazu, zupełnie zburzone, z gazometrami zupełnie podziurawionymi i wiele materjałów, koleji żelaznej, zgruchotanych na kawałki, trochę dalej — dworzec koleji żelaznej, wewnątrz zupełnie spalony. Na prawo od kanału ku wałom długie koszary, w których siedział Napoleon III. przedstawiały tylko popękane i podziurawione mury.

Ileż to dramatów mogły opowiedzieć te ruiny, gdyby kamienie mówić mogły. Około czterech tysięcy spokojnych mieszkańców Strasburga zostało zabitych i rannych. Jeden z mieszkańców środkowej Francji przybył do miasta, żeby obaczyć się z sędziwym ojcem, zamieszkałym w Strasburgu. Zaprowadzono go na ulicę, która istniała tylko z imienia i wskazano mu grupę kamieni: „Tu stał dom ojca pańskiego". Lecz gdzież się on sam

znajdował? Po długich poszukiwaniach dowiedział się biedny, że ojciec został pogrzebany pod ruinami swego własnego domu.

Części miasta najbliższe wałom, były spalone i zniesione strzałami: środkowa tylko część ocalała, ale nie było domu w mieście, któryby nie otrzymał choć kilka pocisków.

Sposób, w jaki Strasburg był bombardowany, ze wszechmiar zasługuje na uwagę. Oblęgający, korzystając z ciemnej nocy, zbliżali się do miasta z baterjami zaprzężonemi, zatrzymywali się na chwilę, posyłali do miasta kilkadziesiąt pocisków, na które niepodobna było odpowiedzieć z fortecy, bo w nocy trudno z błyskawicy strzałów ocenić oddalenie, następnie galopem przenosili się na inne miejsce, skąd znowu posyłali morderczy ogień, nie narażając się sami na żadne niebezpieczeństwo. Był to nie bardzo rycerski sposób wojowania, lecz doskonale obmyślany pod względem militarnym.

Mnóstwo pożarów, które wzniecili Prusacy w mieście, byłyby zniszczyły go do ostatka, gdyby nie poświęcenie mieszkańców masami zapisujących się do straży pożarnej. Im to Strasburg zawdzięcza to, co jeszcze pozostało, bo nie tak łatwo było gasić ogień pod strzałami nieprzyjaciół. Gdziekolwiek wybuchł ogień w mieście, Prusacy w tę stronę kierowali swe strzały, aby przeszkodzić gaszeniu, a celność strzałów ich artylerji była bardzo wielka: nieraz widziałem po dziewięć i dziesięć granatów pękających w jednem i tem samem miejscu, jak to było naprzykład przy spaleniu pysznej katedry strasburśkiej. W katedrze kolumny wieży były połamane, krzyż na wierzchołku schylony na bok, mnóstwo posągów straciło głowy i członki, przepyszne starożytne witraże okien wybite, a przez dziury w sklepieniu widać było niebo i gwiazdy spokojnie przypatrujące się temu dzikiemu zniszczeniu jednego z najpiękniejszych dzieł ludzkich.

Muzeum sztuk pięknych i bibljoteka poszły z dymem; była to wielka i niepowetowana strata, wiele bowiem unikatów zginęło na zawsze, a zbioru tak bogatych rękopisów odnoszących się do historji protestantyzmu we Francji, żadne miasto nie posiadało. Część winy tego nieszczęścia spada na prefekta i na jenerała Uhricha, bo nie przedsiębrali żadnych środków dla zachowania tego skarbu narodowego. Zamiast ogłosić, że bombardowanie wkrótce nastąpi i żeby każdy pochował co miał cenniejszego, proklamacja do ludu zawierała tylko nic nie mówiący frazes: „solenna chwila już się zbliża“, co niby miało oznaczać początek bombardowania. Wszystkie zniszczenia zatrą się z czasem;

spalone domy wyrosną na nowo, nawet piękniejsze, fakt sam bombardowania zostanie zapomnianym i zajmie tylko małe miejsce w historycznej mozajce wypadków, ale strata bibljoteki przeżyje wieki, bo w historji ludzkości pozostaną luki, sprawione przez zniszczenie tylu dokumentów istniejących w jednym egzemplarzu. Pamięć tego zniszczenia będzie ciągle odnawiana przez historyków i pisarzy wszystkich krajów, bo bibljoteki nie mają narodowości, a należą do całego cywilizowanego świata. Pruski jenerał spalił ten zbiór bogaty bez żadnej potrzeby i bez wyrzutu sumienia, a gdy cała Europa potępiła jego postępek, upewniał, że pożar był wzniecony przypadkowo; gdy zaś dowiedzionem zostało, że nie jeden, lecz kilkadziesiąt granatów padło na bibljotekę, z celnością którą wszyscy podziwiali, jenerał Werder przyznał się, że uczynił to z rozkazu króla swego z łaski Bożej. Jenerał nie chciał okryć się hańbą wandalizmu i oddał cesarzowi co było cesarskiego.

Teraz przedstawię obraz robót oblężniczych, które można było oglądać w pierwszych dniach po upadku miasta.

Strasburg, jak wiadomo, tworzy trójkąt, wierzchołkiem zwrócony do Renu; w wierzchołku tym stoi cytadela, na którą przeważnie był skierowany ogień bateryj niemieckich. Około Kehlu, na prawym brzegu rzeki, stanęły pierwsze stałe baterje niemieckie, w oddaleniu trzech kilometrów od miasta. Baterje te oglądałem na drugi dzień po zdaniu się Strasburga. Ani jednej armaty nie było uszkodzonej — dowód jak słabym był ogień baterji cytadeli francuskiej. Przed baterją był usypany wał na 20 stóp szeroki, wzmocniony z wewnętrznej strony koszami napełnionemi ziemią i zrobiony w noc jedną z taką elegancją, jak na polu cwiczeń wojskowych. Z tyłu za baterją znajdowała się piwnica obrócona na skład pocisków; z boku zaś urządzono blindowane domki dla ludzi obsługujących te narzędzia śmierci i spustoszenia.

Każda baterja miała osiem armat stalowych nabijanych z tyłu, jak wogóle wszystkie niemieckie działa. Te wielkie 24 funtowe działa na niskich lawetach wyglądały dość zabawnie; gdy na nie patrzy się z boku, przypominają owe kolubryny z trzydziestoletniej wojny, jakie widziałem na rycinach. We wszystkich niemieckich baterjach armaty były na barbetach (wzniesieniach), w żadnej baterji nie widziałem ambrazur, które stały się niepotrzebnemi od chwili zaprowadzenia dział nabijających się z tylnej części, gdyż artylerzyści są zupełnie zakryci.

Uderzyła mnie okoliczność, że z baterji pod Kehl nie było widać najmniejszej cząstki Strasburga. Miasto z tej strony jest

zakryte kilku alejami topoli, okalających drogi na lewym brzegu Renu, jedna tylko wieża Strasburska była widoczną i to wystarczyło aby zniszczyć prawie doszczętnie cytadelę. Działa były skierowane pod różnemi kątami od linji przez krzyż katedry; na kościelnej wieży w Kehl urządzono obserwatorjum dla jednego z oficerów dobrze obznajomionych ze Strasburgiem. Obserwatorjum komunikowało się z baterją zapomocą elektrycznego telegrafu. Każde działo dawało ognia co kwadrans, na wieży za pomocą dobrej lunety śledzono strzał każdy, a na baterji zmieniano kąt wzniesienia działa według wskazówek udzielanych z wieży zapomocą telegrafu. Tym sposobem nic nie widząc i nie będąc widzianymi niemieccy kanonierzy zdemontowali prawie wszystkie działa cytadeli. Cytadela odpowiadała na chybił trafił, tak. że wszystkie prawie strzały przelatywały baterję niemiecką, bo jej widzieć nie mogli. Rzeczą jest pewną, lecz prawie nie do uwierzenia, że w ciągu całego bombardowania ta baterja niemiecka straciła zaledwo dwóch żołnierzy i jednego oficera, zabitych widocznie zupełnie przypadkowo.

Oblężniczych robót dokonanych dla zbliżenia się ku fortecy opisywać nie będę, bo w nich nie było nic nowego; powiem tylko jedno, że przechodzi wszelkie wyobrażenie, jaki wielkie masy ziemi były poruszone w tak krótkim przeciągu czasu. Dają one tylko dowód, jaką pracę może wykonać armja kierowana przez zdolnych oficerów inżynierji. Paralele i drogi komunikacyjne między niemi były tak szerokie, że można było po nich przewozić sześciofuntowe polowe armaty. Ziemia w rowach była mocno ubita i zrównana: były także rowy urządzone do ścieku wody, a napisy na tablicach wkazywały każdą część robót oblężniczych. Mnóstwo zagłębień w ziemi wskazywało tyleż kuchni, w których żołnierze gotowali sobie jadło. W miejscach, gdzie stały niemieckie oblężnicze baterje, paralele były bardzo szerokie. Lawety były krótkie i wysokie, tak że nabijanie dział i moździerzów dla artylerzystów nie przedstawiało żadnego niebezpieczeństwa. Działa były wogóle 24 i 36 funtowe. Widziałem też tam dwa gwintowane moździerze, które mają strzelać z taką precyzją jak i armaty. Miały one oddać wielkie usługi, według słów niemieckich oficerów, przy demontowaniu dział francuskich.

Najciekawsza część robót znajdowała się około lunety Nr. 52 i 53, gdzie rów oblężniczy zbliżał się do kontreskarpu i kończył dwiema nakrytemi z wierzchu ziemią galerjami, prowadzącemi do rowu otaczającego lunety. Rów był ostrzeliwany z róż-

nych stron, lecz przed zaczęciem galerji już wszystkie armaty francuskie były zdemontowane; francuscy żołnierze nie mający dział w tem miejscu strzelali z ręcznej broni, nie wiele szkody przynoszącej zewsząd zakrytemu nieprzyjacielowi. W ciągu całego oblężenia pruscy pionierzy stracili zaledwo 114 ludzi.

Lunety były wzięte bez wystrzału, wojsko francuskie musiało je opuścić, nie mogąc się w nich bronić z braku dział. Ziemia tak była poorana przez bomby, że można było obejść naokoło lunety, skacząc z jednej jamy do drugiej. Zająwszy lunety, Prusacy zaczęli wybijać wyłom we „Wrotach kamiennych". Potrzeba było tylko trzech lub czterech dni do zbliżenia się ku wyłomowi, posuwając się przekopami naprzód według wszelkich prawideł wojny oblężniczej: lecz wyłom był już prawie dostępny i na 40 kroków szeroki. Atak mógł być dokonany bardzo łatwo, bo wszystko co otaczało „Wrota", czyli bramę, było zniszczone, a na wałach stały tylko dwie małe polowe armatki. Krzyki więc, które wznoszono przeciwko jenerałowi Uhrichowi za to, że zdał miasto wtedy, gdy nibyto można się było bronić jeszcze, są nieuzasadnione. Każdy, kto uważnie oglądał wyłom i dostęp do niego, mógł się przekonać naocznie, a posądzanie o zdradę, jest to jedna z tych brudnych stron ludzkiego charakteru, która zawsze winę nieszczęścia chce zwalić na kogokolwiek.

Oblężenie i wzięcie Strasburga należą bezwątpienia do świetnych czynów wojennych, gdyby nie były zaciemnione niepotrzebnem bombardowaniem miasta i zamordowaniem tylu kobiet, dzieci i starców.

Bombardowanie to na zawsze okryje przekleństwem siwą głowę króla pruskiego z łaski Bożej, ciągle zalaną piwem, winem i wódką.

Strasburg we Francji zawsze był uważany za twierdzę pierwszego rzędu. Jest to jedna z najlepszych twierdz Vaubana. Miasto jest dostępne do ataku tylko w trzech punktach. Mocne wały były otoczone niezliczonemi lunetami, tonącemi w szerokich rowach zalanych wodą, która między oddzielnymi bastjonami tworzy prawdziwe stawy. Cytadela zaś jest to druga forteca, oddzielona od miasta całym systemem fortyfikacyj zanurzonych w wodzie i zmuszających nieprzyjaciela do powtórnego oblężenia. Ogólny widok tych fortyfikacyj, które się ciągną na ogromnej przestrzeni, jest nadzwyczajnie imponujący. Vauban, budując twierdzę, miał ciągle na widoku, że im więcej różnorodnych fortyfikacyj, tem trudniejsze jest oblężenie i zapewne patrząc na dzieło

swe z dumą mówił, że jest piękne! Lecz dzisiaj, wobec nowych wynalazków, Strasburg przestał być tem, czem był niegdyś i przedstawiał cztery następne wady, które musiały go przyprowadzić do upadku przy dobrze prowadzonem oblężeniu.

Naprzód twierdza nie posiadała ani jednej fortyfikacji mocniej wysuniętej naprzód w celu trzymania nieprzyjaciela w oddaleniu od miasta i osłabienia blokady, tak że od pierwszego dnia bombardowania pociski nieprzyjacielskie dolatywały do środka miasta.

Powtóre, miasto leży w dolinie, nie przedstawiającej żadnego wzniesienia, z któregoby można panować nad okolicą i przeszkadzać oblęgającemu w robotach i w ostrzeliwaniu wałów.

Po trzecie, forteca zbudowana zanadto blisko Renu i granicy, z za których, jak widzieliśmy wyżej, można było bombardować ją z największą łatwością. Przed najnowszemi wynalazkami w artylerji, zbliżenie to do Renu i do licznych jego odnóg mogło być uważane za doskonały środek dla obrony cytadeli i zapewne tę myśl miał Vauban na widoku, budując ją z tej strony, gdzie wylew wód Renu zatapia przestrzeń ogromną. W samej rzeczy nie łatwo z tej strony prowadzić oblężnicze roboty ziemne w ziemi przesiąkłej wodą, tak, że najsłabszy punkt fortecy był broniony przez rzekę i jej odnogi. Lecz dziś położenie cytadeli w wierzchołku trójkątu, zbliża ją tylko do granicy nieprzyjacielskiej, wystawiając na pierwszy ogień bateryj niemieckich. Opiekuńcza rzeka z tej strony dziś jest tylko głębokim rowem, oddzielającym od nieprzyjaciela, za którym baterje niemieckie mogły bezkarnie bombardować cytadelę, nie będąc narażone na wycieczki garnizonowe.

Na koniec, po czwarte, fortyfikacje Strasburga były przed wojną z Prusakami te same, jakie były stopięćdziesiąt lat temu. Nie dostaje im na wewnątrz i na zewnątrz wszystkiego, co dodaje siły najnowszym fortyfikacjom. Forteca nie posiadała kazamat przeznaczonych dla ukrycia garnizonu i materjału wojennego; nawet kazamaty cytadeli nie mogły pomieścić więcej nad pięćset i sześćset ludzi, co jest zanadto niedostateczne, tem więcej, że podczas oblężenia trzeba je było obrócić na magazyny, składy prochu i pocisków. Najnowsze roboty wzniesione po wypowiedzeniu wojny były zupełnie nic nie znaczące i ograniczały się do kilku suteren do ładunków dla fortyfikacyj więcej wysuniętych naprzód i do kilku nasypów między armatami, dla zakrycia ich od bocznych strzałów i t. d.

Forteca strasburska przedstawiała się więc jako okręt z czasów Ludwika XIV, w którym zmieniono koronady na armaty tegoczesne, przybito kilka nowych desek, lecz który nie otrzymawszy ani pancerza ani parowej maszyny, sądził, że jest panem Oceanu. W samej rzeczy, jeżeli porównać Strasburg do fortec niemieckich, naprzykład do Rastadtu i Koblencji, a nawet do wielkiej francuskiej fortecy Metz, kontrast uderzy w oczy każdego.

Dla czego Strasburg do r. 1870 zachował reputację fortecy pierwszego rzędu? Bez wątpienia z tego samego powodu, dla którego Francja zachowała do ostatniej wojny przekonanie o doskonałości swej wojskowej organizacji. Powtarzając w ciągu całego wieku prawdę, która była prawdą przed stu laty, a w roku 1870 już nią nie była, przywykła do uważania ją za aksjomat, nie podlegający żadnemu zaprzeczeniu.

Do bitwy pod Froeschwiller uważano się w Strasburgu jak u Boga za piecem, nie myślano zupełnie o uzbrojeniu fortecy i o jej wzmocnieniu, być może dlatego, że marzono o Berlinie. Lecz jednego wieczora dowiedziano się o rozbiciu Mac-Mahona od zbiegów z pola bitwy, którzy przybyli do miasta. Wtedy to nastąpiła panika nie do opisania: wszyscy, nawet jenerałowie, potracili głowy i takie robili głupstwa, które przechodziły pojęcie. Należało jaknajprędzej zorganizować obronę. Arsenał posiadał 1200 dział; dano rozkaz umieścić na wałach 800 dział, lecz dzień za dniem uchodził, a wały jeszcze nie były uzbrojone. Tak stracono 8 dni. Zdawało się, że komenderujący łudzi się nadzieją, iż nieprzyjaciel nie ośmieli się zbliżyć do murów. Nareszcie wyciągnięto działa ze składów, lecz z 800 armat tylko połowa została umieszczona na wałach. Obchodząc wały po kapitulacji miasta, ze zdumieniem można było zauważyć, jaki brak jedności panował w artylerji. Między 12 i 24 funtowemi działami gwintowanemi, stały działa starej konstrukcji, których strzały nie mogły być szkodliwe dla oblęgających, wtedy gdy w arsenale w środku miasta położonym można było widzieć setki dział na lawetach, wyciągniętych w linję, które nie wystąpiły nawet z arsenału. Były między niemi i działa starej konstrukcji, lecz najwięcej było gwintowanych, które jeszcze ani razu nie wystrzeliły, chyba dla próby przy wyjściu z ludwisarni.

Dlatego też wały były uzbrojone bardzo niedostatecznie. Tam gdzie znajdowało się sześć ambrazur, stały tylko dwie armaty. Ilość dział na wałach była dostateczna do ostrzeliwania całej

miejscowości przed fortecą i dla obrony przed nieprzyjacielem, gdyby się odważył na atak otwarty, lecz liczba ich była niedostateczna przeciwko robotom oblężniczym regularnie prowadzonym. Nie było żadnej wielkiej baterji uzbrojonej działami większego kalibru i koniecznej do niszczenia nieprzyjacielskiej baterji, co było bardzo łatwem urządzić w częściach miasta, na które nieprzyjaciel prowadził główny atak; nie było żadnej moździerzowej baterji, które jedynie mogły szkodzić urządzaniu paraleli i wstrzymać zbyt szybkie zbliżanie się robót oblężniczych do fortecy. Dlatego też tak mało ucierpiały nieprzyjacielskie baterje, i paralele niemieckie tylko gdzieniegdzie nosiły na sobie ślady francuskiego ognia.

Zapytacie, skąd to wszystko pochodziło? Sądzę, że przyczyny należy szukać w braku wszystkiego, który objawił się tak w Strasburgu jak i w całej Francji w niespodziewanej chwili najścia Niemców. Potrzeba było stracić wiele czasu na sprawdzenie inwentarza arsenałów i ocenienie tego, co mogło być użyte. Brakło szczególnie granatów, a gdy jenerał Uhrich zażądał ich z Paryża, badeńczycy już oblegli miasto; kurjer był wzięty do niewoli, a potem wypuszczony, lecz granaty wpadły w ręce nieprzyjaciół i w części służyły do bombardowania miasta. Ten niespodziewany wypadek z granatami, następnie spalenie się 25 tysięcy rac w czasie pożaru arsenału, spowodowanego bombardowaniem, sparaliżował obronę i zmusił do urozmaicania dział na wałach dla zużytkowania różnorodnych ładunków, które znaleziono w magazynach. Dlatego też, jak sądzę, użyto polowych i niegwintowanych armat do ostrzeliwania rowów.

Garnizon miasta nie był zorganizowany lepiej jak i reszta. Po wyjściu z miasta korpusu Mac-Mahona, w Strasburgu pozostał tylko jeden pułk linjowy, do którego następnie dołączono zbiegów z bitwy pod Wörth. Nie było jedności, nie było spójni wśród tych elementów różnorodnych i zdemoralizowanych niepowodzeniem. Artylerzystów w mieście było bardzo mało, tak, że do obsługi dział musiano użyć pionierów, a nawet linjowych żołnierzy i z gwardji ruchowej. Inżynierski korpus składał się z 17 żołnierzy i jednego oficera, wtedy gdy oblęgający rozporządzali trzydziestoma korpusami pionierów, kierowanych przez bardzo liczny korpus oficerów. Do tego bardzo słabego korpusiku dołączyli się żandarmi, straż pograniczna, magazynierzy i ciury wojskowe, następnie około 8 tysięcy gwardji ruchomej, która po raz pierwszy

brała broń do ręki i zaczęła pospiesznie uczyć się, jak się z nią obchodzić należy. Gwardję tę uzbrojono w stare karabiny przerobione na odtylcówki, wtedy gdy w arsenale leżało 3 tys. szaspotów, które wyleciały w powietrze w czasie pożaru.

Z tym to garnizonem, którego liczba mogła wynosić do 17 tys., jenerał Uhrich bronić miał miasta przeciwko 50 tys. armji oblężniczej. Twierdza Strasburska do swej obrony potrzebuje 25 tys. regularnego wojska, tymczasem w mieście nie było i 6 tys. tego, co mogło być nazwane wojskiem. Z armją podobną silne wycieczki, które są conditio sine qua non dobrej obrony, były niepodobne z braku wojska, z braku doświadczonych i dyscyplinowanych żołnierzy. Robiono co można było, to jest bardzo niewiele, nawet mniej, aniżeli robić było można.

Z tego więc powodu roboty oblężnicze posuwały się naprzód prędko, porządnie i nieustannie, nie będąc niepokojone przez oblężonych. Z miasta zrobiono tylko dwie wycieczki, każda po 800 ludzi. Wycieczki te były odbite z dość znaczną stratą. Pierwsza z nich była tak niedołężnie prowadzona, i młody żołnierz okazał się tak mało pewnym siebie, że stracono trzy armatki polowe, z któremi wyszli w pole. Armaty te zostały na pozycji; Badeńczycy obawiając się zasadzki, odstąpili od swych pozycji, tak, że na drugi dzień chłopi z okolicy, znalałszy działa w polu, zaprzęgli się sami i przywieźli je znowu do twierdzy. Możecie wyobrazić sobie, jakie miłe wrażenie ten wypadek sprawił na mieszkańcach miasta, które od wojskowych oczekiwało zbawienia swego.

Dwie pierwsze paralele były ukończone najspokojniej, bo nie strzelano nawet do pracujących. Dlaczego? Mówiono, iż chciano zaoszczędzić prochu do chwili, gdy nieprzyjaciel zbliży się do miasta; tymczasem po kapitulacji w ręce Prusaków dostała się bardzo wielka ilość prochu.

Spojrzawszy na warownie, na które prowadzono główny atak, każdy znający się trochę na sztuce wojennej, przekonałby się, jak nędzną była obrona. Wałów nie naprawiano w nocy, nie zamieniano nawet armat, które było zdemontowane i nie użyto min dla powstrzymania atakujących. Były wprawdzie galerje podkopowe w stoku fortecy zrobione, lecz wysoka woda w rowach zalała je w części, a oprócz tego nie przygotowano elektrycznych baterji do wysadzania min w powietrze, tak, że Prusacy zakładając trzecią paralelę, odkryli dwie miny i zniszczyli je.

Zdziwienie także ogarnia, że nic nie zrobiono w lunetach 52 i 53, ażeby zatrzymać Niemców. Nie mówię już o minach, lecz baterje moździerzowe, urządzone za wałami, mogłyby zasypać bombami nieprzyjaciela, który się starał w nich utwierdzić.

Zamiast tego stracono wiele czasu i pracy na zrobienie bezużytecznego częstokołu przed stokiem fortecy (glacis), przyparłszy go zupełnie do wykopu. Patrząc na tę ogromną a bezużyteczną robotę, mimowoli zapytać się chciało: do czego to miało służyć? Czy dla zakrycia strzelców? Lecz dziecko kilkunastoletnie przeskoczyłoby przez nie. Czy ażeby powstrzymać atakujące kolumny pod ogniem twierdzy? lecz ostrokoły nie mogą powstrzymać nikogo, bo atakujący nigdy nie atakuje tak zwanej „drogi zakrytej", otrzeliwanej z wałów, nie zniszczywszy naprzód artylerji broniącego się i nie doszedłszy za pomocą robót oblężniczych aż do rowu twierdzy przez zrujnowanie kontreskarpu. Ostrokoły zresztą mogą być użyteczne, ale wtedy, gdy są urządzone o kilka metrów za „zakrytą drogą", a nie przy samym wale na stoku fortecy.

Działa niemieckie, jak powiedzieliśmy, strzelały przez wał stojąc na nasypach (barbetach) i na lawetach, ale tak, że kanonierzy byli zakryci zupełnie. Francuzi zaś, zatrzymując systematycznie działo nabijające się z przodu, musieli zatrzymać i niskie lawety, dlatego też artylerzyści ich byli odkryci i w czasie nabijania wystawieni na nieprzyjacielskie strzały. Przytem same ambrazury osłabiają wały i służą nieprzyjacielowi za doskonały punkt do celowania z oddalenia, a jednak słabo ochraniają ludzi przy nabijaniu. Nareszcie celność armat nabijających się z przodu jest zwykle mniejsza, bo konieczność zmusza robić ładunek nieco mniejszy od kanału działa, zostaje więc między ładunkiem i otworem szczelina, przez którą wyrywające się prochowe gazy zmniejszają dalekość strzału i siłę uderzenia. Ładunek zaś dział niemieckich, otoczony ołowiem, szczelnie wchodzi w narżnięcie dział stalowych, tak zupełnie, jak kula w karabinie, a z tego powodu działa ich biją na daleko większą odległość i z nadzwyczajną celnością.

Niemcy z początku bombardowania Strasburga spodziewali się, że niszcząc najpiękniejsze pomniki miasta, zmuszą ludność do poddania się; wybrali więc bibjotekę, katedrę, kościoły, pałace i najpiękniejsze domy, które zasypywali bombami i granatamj. Niemieccy artylerzyści wybrali sobie za szczególny cel zbi-

cie krzyża z wieży strasburskiej i rzeczywiście kilkanaście granatów uderzyło w cudowną latarnię tej katedry, odrywając kawały kolumn i druzgocąc piękne gotyckie ozdoby, krzyż zaś ugodzony granatem tylko się schylił, ale nie upadł uderzony pociskiem.

Pytałem francuskiego jenerała, dlaczego we Francji zachowano system dział nabijających się z przodu. On mi na to odpowiedział, że nabijanie z przodu wygląda tak malowniczo, że szkoda było wprowadzać podobną zmianę.

Artylerja niemiecka strzelała z wielkiem powodzeniem, mówił mi jeden z oficerów francuskich. W samej rzeczy, zdumieć się można, jak tak w krótkim czasie zdemontowano wszystkie działa frontu, na który prowadzono atak i wszystkie inne, które mogły dopomagać obronie wałów z tej strony. Ziemia na tej przestrzeni była formalnie poorana, podziurawiona, wały straciły swój kształt, lawety były połamane, działa pokaleczone, a niektóre z nich jednym strzałem były zniesione z lawet swoich. W cytadeli, gdzie prawie wszystkie budynki były zrujnowane, panowało kompletne zniszczenie. Przed koszarami na placu można było widzieć kilka bateryj moździerzowych, które przygotowano do przewiezienia na inne miejsce. Wozy, które do tego były użyte, prawie wszystkie były zdruzgotane w kawałki, działa leżały w największym nieładzie. Widziałem też tam doskonale zachowany park pontonowy, który miał przeznaczenie iść do Besançon i który osiadł niepotrzebnie w Strasburgu, zatrzymany blokadą. Około stoku cytadeli, między bramą Kamienną i żydowską, leżały różne materjały żelaznej koleji, które nie mogły być uprzątnięte zawczasu i zostały rozbite w kawałki.

Z tej niższości obrony możemy widzieć, że Strasburg pomimo wysiłków oficerów, którzy spełnili swój obowiązek, mógł się trzymać bardzo niedługo.

Jenerał Uhrich wsławił swe imię, lecz Bogiem a prawdą zawdzięczał to nie swym zdolnościom, lecz heroicznemu zachowaniu się mieszkańców miasta. Pomimo pożarów, które zniszczyły ich mienie, śmierci przyjaciół i krewnych, zabitych pociskami niemieckich baterji, pomimo życia w nędzy i niepokoju o wszystko, co jest drogie człowiekowi, mieszkańcy ani razu nie prosili jenerała, ażeby kapitulował; owszem wymagali, aby się trzymał jak najdłużej, ufając, że Francja poprawi się i wypędzi najeźdzcę z kraju. Kapitulacja miasta nie tylko że nie była przy-

jęta z radością, jakby spodziewać się było można po tylu dniach bombardowania, lecz z największem oburzeniem, które doszło do tego, iż ci sami, co nadali honorowe obywatelstwo Uhrichowi, zaczęli posądzać go o zdradę. Upadek Strasburga był nieuniknony, jak to stwierdził komitet obrony, złożony ze zdolniejszych oficerów, znajdujących się w mieście. Błąd Uhricha był w tem, że nie uprzedził reprezentację miasta, która mu okazała tyle zaufania, iż myśli traktować z nieprzyjacielem. Działał on w tym wypadku, jak większa część wojskowych, która uważa garnizon twierdzy za wszystko, a mieszkańców cywilnych za nic. Nie było żadnej proklamacji dla przygotowania miasta do nieszczęścia, do hańby, która go spotkać miała, żadnej narady z reprezentacją miejską, aby obmyśleć, co począć w tej nadzwyczajnie trudnej chwili. Mieszkańcy, gwardja narodowa i gwardja ruchowa dowiedzieli się o kapitulacji wtedy, gdy obaczono na wierzchołku katedry białą chorągiew i gdy kazano garnizonowi stanąć pod bronią, ażeby zdać się na łaskę nieprzyjaciela. Nikt nie wiedział, co zmusiło jenerała do tego kroku. Wszystko to się stało zupełnie niespodziewanie i posłużyło potem krzykaczom za powód do obwiniania jenerała o zdradę.

Kapitulacja była honorowa, bo garnizonowi pozwolono było wyjść z wojskowemi honorami: linjowe wojsko miało pozostać w niewoli. Lecz wkrótce nieład się wkradł do wojska francuskiego, żołnierze przestali słuchać oficerów, łamali i psuli broń swoją i rzucali do kanału, aby nie dostała się w ręce nieprzyjaciół. Jedni płakali, drudzy popili się do utraty zmysłów. Jenerał pruski skorzystał z tego i niby za karę, że broń połamano, rozkazał gwardję ruchową (garde mobile) uważać za jeńców wojskowych i odstawić ich do Rastatu. Mnie się zdaje jednak, że widząc rozpacz i przywiązanie tych ludzi do Francji, Werder postanowił zmniejszyć liczbę antiniemieckiego elementu w zabranem mieście.

Jenerał Uhrich i oficerowie zostali puszczeni wolno, na słowo, że nie będą służyć przeciwko Prusakom w tej wojnie. Większa część z nich dotrzymała słowa, chociaż przyznam się, że niegodziwe postępowanie Niemców powinno było ich zwolnić z danej obietnicy. Gdy się armja bije z armją, pojmuję taką konwencję, lecz gdy armja pali wsie i miasta, grabi domy, zabija dzieci, starców i kobiety, a obrońców ojczyzny pali żywcem lub rozstrzeliwa za to tylko, że nie noszą wojskowego ubioru, dotrzy-

manie podobnej obietnicy jest słabością, powiem więcej — tchórzostwem tych, co jej dotrzymują, bo sprawiedliwie można ich posądzać, że naumyślnie usuwali się od obrony ojczyzny, aby zakonserwować życie lub zdrowie.

Widzieliśmy wyżej, że obrona Strasburga była obroną rozpaczy, nie mogącą dać żadnego rezultatu. W samej rzeczy, z wyjątkiem kilku wykutych w skale fortec, jak Gibraltar, Sweaborg i Malta, każda twierdza może być wzięta, jeżeli na odsiecz jej nie przybędzie armja, która może zmusić oblęgających do rejterady.

Po sedańskiej katastrofie, która hańbą okryła francuską armję, obrona Strasburga była korzystną tylko z tego względu, że zatrzymała pod murami miasta tego pięćdziesięciotysięczny korpus Niemców, dając czas południowej Francji zorganizować nową armję. Tym sposobem Massena trzymając się w Genui do ostatniego suchara, zatrzymał korpus austrjacki, który mógłby zmienić postać rzeczy pod Marengo. Na nieszczęście i tej korzyści nie przyniósł Francji Strasburg, do tego stopnia zdezorganizowało i zdemoralizowało ją niepowodzenie.

Po kapitulacji miasta, Niemcy nakazywali używać niemieckiego języka we wszystkich oficjalnych aktach. Gubernator miasta Bismark-Bohlen wydał odezwę, w której dowodził, że Alzacja była krajem niemieckim i na zawsze nim pozostanie. Ogólny smutek ogarnął wówczas mieszkańców Alzacji, bo kraj niemiecki z języka, z serca był więcej krajem francuskim, aniżeli inne prowincje Francji.

Obraz miasta po wejściu Niemców był niezwykle ponury. Magazyny otwarte podczas bombardowania zamknięte: mieszkańcy skryli się w domach, i gdyby nie masa badeńczyków przybyłych za armją, gdyby nie całe bataljony publicznych kobiet, które natychmiast z chorągwiami na czele, napłynęły z Niemiec, miasto możnaby uważać za wymarłe zupełnie. Wieczorem muzyka grała przed pomieszkaniem głównodowodzącego, lecz ani jednego Strasburczyka nie było widać na placu, tymczasem miasto to słynie z upodobania do muzyki. Wszędzie panowała niechęć i nienawiść do tych nieproszonych braci. Było nawet kilka wypadków, iż kilku zrozpaczonych nowych niemieckich obywateli rzucało się na Prusaków lub łajało ich, lecz zdobywcy miasta wnet położyli koniec tym wybrykom, rozstrzelawszy w pierwszy dzień czterech mieszkańców.

Prusacy, którzy z początku starali się zachować dość przyzwoicie, wkrótce pokazali pazury. Kazano mieszkańcom zrujnowanym przez bombardowanie nie tylko ulokować w domach swych pruskich żołnierzy, ale i karmić ich. Wyznaczono było po dwa funty mięsa na żołnierza dziennie, dwie butelki wina, dwa funty chleba i t. d. i po pięć dobrych cygar. Wziąwszy pod uwagę, że w niektórych domach postawiono 30 do 40 żołdaków i że w ostatnich dniach oblężenia funt mięsa kosztował dwa i pół franka, a cygar już w mieście nie było, można sobie wyobrazić, jak ciężko mieszkańcom było wykonać te wymagania Prusaków. Następnie, chcąc przyzwyczaić swych nowych niemieckich poddanych do rządów niemieckich, rozkazano całej municypalności miasta pod zagrożeniem ściągnięcia pięciomiljonowej kontrybucji asystować na „Te Deum laudamus", uroczyście odśpiewanem w protestanckim kościele. Mer miasta, profesor Küss, człowiek nadzwyczajnie światły i szczery patrjota, płakał z bolu i wstydu, lecz dla zasłonięcia miasta od ruiny, poszedł na nabożeństwo i innych do tego namówił.

Wogóle delikatności żadnej nie okazali Niemcy dla uczuć zwyciężonych. Było w mieście kikunastu rannych oficerów francuskich, którzy już przychodzili do zdrowia; tym nakazano salutować niemieckich oficerów, jak swoich przełożonych. Niemcy cywilni i kobiety z niemi przybyłe nie okazywali ani trochę więcej taktu i poczucia ludzkiej godności. Wielka Ks. Badeńska, nieodrodna córa wiecznie pijanego Wilusia, zwiedzała szpital strasburski dla popatrzenia na okropne rany, zadane kobietom i dzieciom w czasie bombardowania, ale do głowy jej nie przyszło ulżyć w czemkolwiek losowi tych nieszczęśliwych.

Po wszystkie czasy bombardowanie miast należało do czynów barbarzyńskich, lecz dawniej zezwalano z miast wyjść kobietom, dzieciom i starcom. W czasie bombardowania Strasburga, Prusacy odmówili prośbie Uhricha, zasłaniając się prawami wojny. Wojna jest negacją wszelkiego prawa, lecz i ona ma swe zwyczaje. Zwyczaj wojskowy potępia bombardowanie wielkich miast, tymczasem Prusacy rzucili do Strasburga 250 tysięcy bomb, rac i granatów, paląc mienie bezbronnych mieszkańców, zabijając im żony ich i dzieci.

Pomoc, którą okazała Szwajcarja Strasburgowi, wyżebrawszy pozwolenie wyjścia z miasta kobietom i dzieciom, a następnie przysłanie kilkunastu wagonów z serem, solą, masłem i jajami

dla głodnych mieszkańców po kapitulacji twierdzy, obudziła we wszystkich uczucie wdzięczności dla tego szlachetnego kraju. Lecz cóż znaczyła ta słaba pomoc wobec ogromnych strat z powodu bombardowania: szkody prywatnych osób obliczono na 300 miljonów. Mieszkańcy Alzacji nie prędko zapomną krwawej drogi, po której, mimo ich woli wprowadzono ich na nowo do niemieckiej ojczyzny.

OSTATNIE CHWILE ALZACJI FRANCUSKIEJ

Alzacja, Elsass, kraj czysto niemiecki, do końca 30-letniej wojny należał do Austrji. Przy zawarciu westfalskiego pokoju w r. 1748, Francja otrzymała ją na własność, zapłaciwszy Ferdynandowi Karolowi trzy miljony liwrów. Od tego czasu aż do ostatniej francusko-pruskiej wojny, prowincja ta stanowiła integralną część Francji i tak się z nią zlała, że Alzatczycy używając w rozmowie niemieckiego języka, będąc z charakteru i usposobienia Niemcami, uważali za wielką obelgę, jeżeli ktokolwiek nie chciał ich uznać za Francuzów. Stąd Francja brała swych najwaleczniejszych żołnierzy w czasie wojen pierwszej rewolucji, stąd wyszli słynni jenerałowie Dasaix i Kleber, tu po raz pierwszy zaśpiewano marsyljankę, tę pieśń bojową Francji, która długo potem brzmiała w Europie, Azji i Afryce, roznosząc wszędzie sławę francuskiego oręża. Nie wiele było miejsc w Europie do 1870 r., gdzieby tak gorąco nienawidzono Prusaków, jak w Alzacji, to też wypowiedzenie wojny Prusom przyjęto tu bardzo sympatycznie, a wojsko francuskie dążące ku wschodnim granicom podejmowano z taką serdecznością, że starzy grenadjerowie-wąsale płakali ze wzruszenia, obejmując Alzatczyków, którzy pod ich nogi rzucali wieńce i kwiaty. Tu też, gdy klęska dotknęła regularną armję, zaczęły się tworzyć pierwsze oddziały wolnych strzelców (franc-tireurs) dla odparcia najeźdzcy. Zapytacie, być może, skąd ta miłość do Francji i jakie powody tego dziwnego przywiązania?

Przyłączywszy Alzację do Francji, rząd pozostawił miastom i wsiom wiele swobód, które one posiadały wtedy jeszcze, gdy należały do związku miast hanzeatyckich, a które to swobody pozwalały rozwijać się, pomnażać dobrobyt, nie tracąca ni tradycji narodowych, ani języka, ani religji. To też Alzatczycy pod łagod-

nem panowaniem Francji powoli zaczęli zapominać o łączności swej z wielką niemiecką rodziną i całą duszą przywiązywać się do swej nowej pani, posiadającej piękną przeszłość, pełną bohaterskich wspomnień, pełną chwały i majestatu. A gdy następnie wspólna krew polała się na polach bitew, sojusz stał się jeszcze mocniejszym.

Przed ostatnią wojną, wskutek niezmiernego rozwoju przemysłu i handlu, był to kraj najbogatszy w całej Europie. Rząd Napoleona III., chcąc ukrócić nieco autonomję Alzacji i przyprowadzić ją do jednego mianownika z innemi prowincjami Francji, aby mieć więcej wpływu na Alzację, starał się to osiągnąć przy każdej sposobności, ale spotkał się z tak silnym oporem, że musiał tego zaniechać. Z jaką stałością broniła Alzacja praw swoich, przedstawię kilka przykładów, które widziałem naocznie, mieszkając kilka lat w Alzacji.

P. Dolphus, mer Mülhuzy i vénerable masońskiej loży, stał wówczas na czele tego miasta, gdy rząd przysłał na prefekta departamentu górnego Renu starego biurokratę, polecając mu, aby się mięszał nieustannie o ile można i gdzie można w sprawy zarządu gmin miejskich i wiejskich. Jak tylko dostrzeżono co się święci, Dolphus pojechał do Paryża i zażądał w imieniu departamentu u ministra spraw wewnętrznych natychmiastowego usunięcia prefekta, grożąc w przeciwnym razie, iż złoży urząd mera (burmistrza) Mülhuzy. Nie chcąc drażnić ludności i obrażać takiej finansowej potęgi jak Dolphus, rząd musiał przychylić się do tego żądania i posłać innego prefekta, cichego i potulnego, któremu dano polecenie nie mięszać się zupełnie do autonomicznego zarządu.

Wkrótce potem Mülhuza wysłała do rządu deputację, prosząc o zaprowadzenie w mieście wyższej szkoły chemicznej, dla kształcenia majstrów. Rząd natychmiast zgodził się spełnić tę prośbę i ofiarował dwa miljony franków, ale z warunkiem, że mianowanie profesorów i zarządu szkoły będzie należeć do centralnej władzy. Dostrzegłszy niebezpieczeństwo dla samorządu kraju, miasto nie zgodziło się na to: bogaci fabrykanci złożyli się i własnym kosztem założyli szkołę.

W rok później miasto dla upiększenia swego chciało urządzić ogród aklimatycyjny. Urządzenie to miało kosztować zwyż miljona franków. Udano się o pomoc do rządu, który zgodził się znowu, ale pod warunkiem ścisłego wglądania w sprawy zarządu ogrodem. Mieszczanie obawiając się złego początku, nie zgodzili

się na propozycję rządową, a założyli towarzystwo akcyjne, które zakupiło grunta, zasadziło drzewa, sprowadziło różne zwierzęta własnym kosztem. Toż samo było przy zaprowadzeniu szkoły ogrodnictwa.

Inne miasta w Alzacji szły za przykładem Mülhuzy, a rząd musiał tolerować i szanować ich dążność do niezależności, bo widział, że tradycja niemiecka w tej prowincji zatarła się dawno, a francuski patrjotyzm Alzatczyków był á toute épreuve. Muszę tu jednak zwrócić uwagę. że Napoleon III. nie był lubiany w Alzacji z powodu swej awanturniczej przeszłości, z powodu najbliższego otoczenia składającego się z ludzi pozbawionych czci i wiary, jakimi byli Morny, S. Arno, Fleury, Faillot i t. p. i nareszcie z powodu finansowych sztuczek, które mu przysporzyły znacznej fortuny. Strasburg dobrze pamiętał, jak Napoleona uwięziono w jego murach, wtedy gdy wzywał miasto do powstania przeciwko rządom Ludwika-Filipa. Dlatego też, gdy w r. 1870 przyjechał z żoną do Strasburga, tylko głosy policji odzywały się gdzieniegdzie: vive l'Empereur! — mieszkańcy zaś zachowali się cicho i obojętnie wobec swych koronowanych gości.

Jak przyjęli Alzatczycy najazd niemiecki, mówiłem wyżej. Przytoczę tylko to, o czem mało ludzi wie, bo francuskie dzienniki napisać tego nie mogły, a niemieckie nie śmiały.

Jak tylko armje francuskie zostały rozbite, wojska niemieckie zalały Alzację. Wszyscy, kto mógł nosić broń, wynieśli się w góry Wogiezkie i utworzyli oddziałki wolnych strzelców, które się dobrze dały się we znaki Niemcom. Jedna część najazdu niemieckiego podążyła za rozbitkami armji, druga zaś pociągnęła w górę Renu, grabiąc kraj i zajmując miasta nie bronione przez wojska. W czasie tego marszu mnóstwo oddziałków drobnych, pod dowództwem ludzi energicznych i dobrze znających kraj, otoczyło Niemców, pojawiając się to tu, to ówdzie, zadawało drobne lecz nieustanne rany, tem przykrzejsze, że nieprzyjaciel pokazywał się niespodziewanie i znikał nie dając się pobić i nie wdając się w niepewną walkę z przeważnemi siłami Niemców. To też wściekłość ich nie miała granic i jak tylko wpadł w ich ręce który z wolnych strzelców, wieszali go lub rozstrzeliwali bez litości, nasyciwszy poprzednio zemstę różnemi katuszami, którychby nie powstydziły się wieki średnie.

Kolumna niemiecka pod dowództwem jenerała Werdera sunęła ku południowi i po kilkudniowym marszu stanęła w Mülhuzie. Zająwszy to otwarte miasto, Niemcy odpoczęli w niem dni

kilka, otrzymując od miasta wszystko, co potrzeba było do wyżywienia żołnierzy. Postawa mieszkańców miasta była pełna godności i rezygnacji. Na wykrzykniki bruderschaftu tych nieproszonych braci odpowiadali milczeniem. Burmistrz miasta osobnemi plakatami wezwał mieszkańców, żeby się zachowali przyzwoicie wobec zwycięscy, dla uniknięcia smutnych następstw w razie przeciwnym. I rzeczywiście spokój nie był nigdzie zakłócony ani na chwilę.

Na nieszczęście w czasie wymarszu Prusaków z miasta, gdy już arjergarda minęła ostatnie domy przedmieścia, usłyszano wystrzał z tyłu. Arjergarda, w której był Werder, zatrzymała się i na rozkaz jego wróciła do miasta. Werder nałożył na Mülhuzę miljon franków kontrybucji za ten wystrzał, który nie zranił nawet nikogo. Cała ta kwota miała być spłaconą do 24 godzin.

Burmistrz miasta, siedemdziesięcioletni Dolfus, udał się osobiście do głównodowodzącego, ale ten go nie przyjął. Wtedy wybrano polskiego emigranta p. Straszewicza, który należał do bardzo poważanych ludzi w kraju i posłano go do jenerała Leszczyńskiego, szefa sztabu jen. Werdera, mając nadzieję, że jako Polak łatwiej trafi do polskiego serca. Leszczyński odpowiedział, że nie mówi po polsku, bo pochodzi z Prus wschodnich i jest Litwinem; Straszewicz, o którym mówiłem poprzednio, pochodził ze Żmudzi, posiadając więc rodzinny język jenerała, przemówił doń mową rodzinną, zaklinając w imię ludzkości, żeby się wstawił u swego przełożonego i uzyskał przebaczenie, lub ulgę przynajmniej dla miasta, które nie jest winne tego wypadku. Leszczyński obiecał, że zrobi co będzie mógł, ale nie ukrywał, że nie wiele może, bo Werder potrzebuje pieniędzy i rad z wypadku, który mu daje pewne pozory prawa, pozwoli mu przyjść do nich.

Gdy Werder nie chciał żadną miarą ustąpić, Dolfus, chociaż zrażony odmową otrzymaną z rana, dla dobra miasta swego zdecydował się jeszcze raz prosić o audjencję tego nowoczesnego Brennusa, który wyrzekłszy „vae victis“, żądał złota. Werder po poobiedniej drzemce i kilku kuflach piwa czuł się bardzo dobrze; dowiedziawszy się, że mer miasta prosi o przyjęcie, kazał go zawołać do sali, gdzie się zebrali dowódcy oddziałów dla otrzymania rozkazów dziennych.

— Panie jenerale, rzekł Dolfus do niego, jako burmistrz miasta przychodzę w imieniu mieszkańców prosić o darowanie lub zmiejszenie nałożonej na miasto kontrybucji. Pan jenerał wie, że przemysłowe miasto nasze otwarło swe fabryki dla robotni-

ków nietylko francuskich ale i niemieckich, którzy w ojczyźnie swej nie znaleźli zatrudnienia; zwykle ci ostatni są to wyrzutki społeczeństwa, ludzie do najwyższego stopnia niemoralni, a często nawet zbrodniarze, od których my was wybawiamy. Ale odgrzewając tych ludzi na naszej piersi, nieraz wychowaliśmy gadziny jadowite. Wszak i dzisiaj winą przypadku, który się zdarzył, jest jeden z robotników Niemców z Würtembergu, który upiwszy się pozwolił sobie strzelać do waszych żołnierzy, być może dlatego tylko, aby wywołać burdę uliczną. Szukają go i jak tylko dostaniemy w nasze ręce, przedstawimy go Waszej Ekscelencji.

— Mnie tego nie potrzeba, odrzekł Werder, ja nie wchodzę w to kto to zrobił, wy go sobie ukarzcie jak chcecie, a mnie zapłaćcie za jego winę.

— Ale panie jenerale, miasto nie jest winne, że wasz własny rodak strzelał do waszego wojska.

— Wszystko mnie jedno, kto winien, stało się to w mieście waszem, więc płaćcie za karę.

— Niech Wasza Ekscelencja pozwoli przynajmniej odwołać się do miłosierdzia Króla Pruskiego. Miasto nasze jest wycieńczone wielkiemi podatkami na wojnę i rekwizycjami waszemi na utrzymanie armji i nie jest w stanie zapłacić tak wielkiei kontrybuncji.

— Do Króla odwoływać się nie pozwolę, chociaż wiem dobrze, żeby potwierdził mój rozkaz, bo nie mam czasu tu siedzieć, a że wam ciężko płacić, to mnie nic nie rozczula, jesteście bowiem miastem zdobytem i nieprzyjacielskiem.

— Wasza Ekscelencjo, rzekł Dolfus zirytowany, ciągle odzywaliście się w proklamacjach, że przychodzicie uwolnić nas od Francuzów i przyłączyć do wielkiej ojczyzny niemieckiej, a nie grabić i niszczyć nasze dobro i nasz dobytek — dowiedźcie tego czynem a nie słowami.

— Mój panie, pozwalasz sobie wiele mówić, a ja tego nie lubię! Idź pan do swoich i powiedz, że jeżeli za dwanaście godzin nie będzie wypłacona cała suma, spalę miasto.

— Panie jenerale, odrzekł oburzony Dolfus, za produkcje fabryk moich na ostatniej wystawie otrzymałem od waszego króla komandorski krzyż orła czarnego. Oto jest ten krzyż, rzekł wyjmując go z kieszeni fraka. Nigdy na piersi mojej nie zaświeci dekoracja otrzymana od rabusiów i podpalaczy. Weźcie go sobie! I cisnął krzyż pod nogi Werdera.

— Wziąć go i rozstrzelać zaraz, wrzasnął rozwścieklony Werder. — Kilku oficerów otoczyło Dolfusa i chwycili go za ręce.

— Rozstrzelajcie prędzej, natychmiast! Cha, cha, cha! roześmiał się starzec, trzęsąc się ze wzruszenia. Dla waszej sławy brakuje jeszcze tego, żeby rozstrzelać 70-letniego starca, który i tak wkrótce stanie przed Bogiem! Rostrzelajcie! przynajmniej umrę jak na prawego syna nieszczęśliwej Francji przystoi i która w dniu odwetu zapyta was o mnie... Rozstrzelajcie starego mera Mülhuzy za to, że bronił swoje: miasto od rabusiów!... Rozstrzelajcie człowieka, którego cały kraj szanuje i który całą okolicę dźwignął przemysłowo!... Rozstrzelajcie mnie panowie Prusacy, bom starzec i bezbronny!... Cha, cha, cha, śmiał się ciągle stary jak trup blady ze wzruszenia i wściekłości...

Werder osłupiał wobec tej zuchwałości, ale poczuł, że źle by postąpił ukarawszy śmiercią śmiałego starca. Powstrzymał więc swoich oficerów, którzy już ciągnęli Dolfusa ku drzwiom i kazał go puścić wolno.

— Ale nie odważ się więcej starcze przestąpić progu domu mojego, bo zapłacisz za to życiem, a miastu możesz powtórzyć, że je w perzynę obrócę, jeżeli| do godziny 9-tej wieczorem nie dostarczy mi pieniędzy. Czy miasto winne czy nie, mnie potrzebny miljon franków, niech więc płaci, jeżeli nie chce być spalonem.

Do wieczora miljon już był w pruskiej kieszeni.

Najenergiczniejszym ze wszystkich dowódców wolnych strzelców był mülhuzanin Fritz Köchlin, bogaty przemysłowiec, starzec 65-letni; rzucił pałac swój piękny, zebrał domowników i strzelców, poszedł w góry Wogiezkie, aby robiąc stamtąd nieustanne wycieczki niepokoić Niemców na skrzydłach i w ajergardzie.

Niemcy, jak mówiłem, tak byli rozwściekleni na wolnych strzelców, że zabijali każdego, kto się dostał w ich ręce, a domostwo jego palili. Niedaleko Dijonu kilkunastu wolnych strzelców wziętych do niewoli związawszy wrzucili do ognia nogami naprzód, żeby mieli czas pomęczyć się dostatecznie przed śmiercią. Potrzeba też powiedzieć, że i alzaccy wolni strzelcy nie dawali pardonu bruderom. Znałem jednego doskonałego strzelca, który korzystajac z wielkiej znajomości kraju, podkradał się zawsze pod same awanposty pruskie i nie wracał nigdy nie wysławszy na tamten świat choć jednego Niemca.

Po przyjeździe do Szwajcarji, musiałem skomunikować się z jednym kolegą uniwersyteckim, doktorem Mayerem, którego

zostawiłem w twierdzy strasburskiej. Po długiem oczekiwaniu na odpowiedź otrzymałem nareszcie list od niego z Nancy, w którym pisał: „Jak ci nie wstyd, kochany kolego, myśleć nawet, że mogłem pozostać w Strasburgu z temi Prusakami. Wszyscy dobrzy Francuzi rzucili swe rodzinne miasto i wyjechali do Francji. Profesorowie nasi Schützenberger, Wiger i Cosel są w Nancy, Engel, Bernheim i Hirtz — w Paryżu; Böckel, Felz i Hecht w Lyonie i t. d.“ Czy nie zabawni ci prawdziwi Francuzi, między którymi niema ani jednego nazwiska francuskiego!

POŻEGNANIE ZE STRASBURGIEM, POWRÓT DO KRAJU

„Jej giwentina prasi gawęs,
jej wargtina prasi wargs".
(Wesele się przeweseli, a smutek przesmuci.)

Pomimo przyjaźni, jaką zaskarbiłem sobie u wielu osób w Strasburgu, pomimo obietnic zapewnienia mi świetnego stanowiska, pomimo zachęty przyjaciół i znajomych, starających się abym pozostał z nimi i osiadł tam na zawsze, nie mogłem znieść widoku pruskiej arogancji, ich złodziejstwa i okrucieństwa, z jakiem się pastwiono nad nieszczęśliwymi mieszkańcami nawpół zburzonego miasta. Przy każdem spotkaniu z Prusakami czułem, że się wszystko we mnie burzy. Niechcąc się narażać na niemiłe zajścia pochodzące z podobnego usposobienia, a nie mając nadziei otrzymania pozwolenia na powrót do kraju, zdecydowałem się jechać do mej drugiej Ojczyzny — do Szwajcarji i osiedlić się w kantonie genewskim.

Żegnając kolegów, profesorów i mury uniwersytetu, gdzie tyle dni przepędziłem w pracy, żegnając brzegi Renu, nad któremi marzyłem i pracowałem, smutkiem ścisnęło się serce. O mocy nałogu! Ciężkie i tęskne było me życie, ciasne, zimne i ciemne pomieszkanie moje, a jednak żałowałem i tej smutnej przeszłości i tego nędznego pokoiku mego, bo tam, gdzie lat kilka człowiek przecierpiał, już wrósł częścią serca swego, przykleił się duszą... już trudno mu się oderwać, żal porzucać pamiątek, chociażby zmieniając życie na lepsze, bo przeszłość jest to część nas samych, a przyszłość — zagadką!

Wojna jeszcze wrzała we Francji, gdym wsiadł do wagonu koleji żelaznej w Köhl, który miał mnie odwieść do Bazyleji. Wszystkie stacje przepełnione były niemieckiem żołdactwem, które dążyło do Francji, tej krainy łatwych zdobyczy. Każdy żołnierz marzył o złotym zegarku, każdy oficer o jedwabnej sukni dla żony lub kochanki, o srebrze stołowem dla siebie, o kolczykach złotych i bransoletach dla swoich dzieci i krewnych. Grabież kraju odbywała się z metodycznością niemiecką. Rzeczy nagrabione, zabrane spokojnym mieszkańcom, sortowało się porządnie i furami odsyłało do niemieckiego Vaterlandu. Sam widziałem wozy naładowane krynolinami, parasolkami i bucikami kobiecemi, już dobrze ponoszonemi: rzeczy były złożone porządnie, powiązane w paczki, z napisem do kogo należą i dokąd idą. Za każdym niemieckim bataljonem szła fura żydowska, a właściciel jej na miejscu zakupował od żołnierzy i od panów oficerów skradzione w domach prywatnych i kościołach srebrne i złote rzeczy, odebrane u kobiet kolczyki, pierścionki ślubne i szpilki cenne. Wstyd pokrywał twarz patrzącego na te dowody wyższości cywilizacji niemieckiego narodu.

Dziwne uczucie zadowolenia i wesela napełniło pierś moją w chwili, gdy stanąłem na wolnej ziemi szwajcarskiej. Zniszczenie, ruina, nędza, rozpacz znikły, a świat Boży na tle cudownych gór Helwecji uśmiechał się przechodniowi, który w ciągu dwóch miesięcy nie widział nic innego, jak obrazy śmierci i grozy. Tegoż wieczora byłem już w Genewie, gdzie mnie zacni Czesławowie Rymtowtowie przyjęli jak brata, dając u siebie przytułek na czas, nim się urządzę należycie i zadecyduję co mam począć z sobą. Jednym z pierwszych kroków było otrzymanie od rządu prawa na praktykę lekarską, gdyż i tu żądają prócz dyplomu złożenia colloquium. Formalność ta została prędko załatwiona i otrzymawszy pozwolenie praktyki, nająłem pomieszkanie na Place du Molard. Praktyka moja z początku była bardzo nędzna, ale powoli zaczęła wzmagać się, tak, że w następnym miesiącu już miałem około 100 fr. dochodu. Mając wiele czasu wolnego, poświęcałem go na czytanie dzieł lekarskich i na wysyłanie do legjonu Garibaldiego młodych strasburczyków przyjeżdżających do Genewy. Między nimi był Charles Mayer, mój dawny prymarjusz w szpitalu, który w legjonie otrzymał miejsce starszego lekarza. Łatwo mi to było zrobić, bo miałem wśród adeptów Mazziniego mnóstwo znajomych i przyjaciół. Urządziliśmy więc coś na kształt poczty polowej dla przewożenia ludzi i korespondencji. Choć tym

sposobem starałem się służyć nieszczęśliwej Francji, której upadek mocno mnie smucił. Lecz widać, że w księgach przeznaczenia zapisane było, że kraj ten musi wypić kielich goryczy do dna! Armja Burbakiego, na którą tak wiele liczono, została rozbita, wyparta do Szwajcarji i tam rozbrojona, a Burbaki strzelił sobie w łeb. Nędza między żołnierzami była okropna; głód i zimno zdziesiątkowały tę armję, tak, że serce się krwawiło na widok nawpółubranych niedobitków, bosych i znędzniałych. Szwajcarowie niemieckiej narodowości szczególnie robili co mogli dla ulżenia losu nieszczęśliwych; prywatna i publiczna dobroczyność zajaśniały w tej pięknej krainie w całej okazałości, tak, że aż wzdrygnęli się Niemcy ze złości, usłyszawszy o sympatycznem przyjęciu, którego doznali Francuzi w Szwajcarji. Bismark zaczął nawet grozić rzeczypospolitej, ale na groźby jego nie zwracano uwagi i spełniano czyny miłosierdzia na tyle, na ile ją stało.

Ze Szwajcarji nareszcie udało mi się skomunikować się z rodziną i przyjaciółmi, o których losie nie miałem od ćwierć roku żadnej wiadomości. Rodzina moja wygnana z Litwy osiadła w Warszawie. Starszy brat mój Adolf, który był na wygnaniu w Czerdyniu permskiej guberni, na granicy Syberji, znękany i osłabiony na zdrowiu wrócił na łono rodziny. Położenie finansowe matki, siostry i brata było bardzo smutne. Szczęśliwy więc byłem, że z zapracowanych przezemnie pieniędzy w Strasburgu mogłem im posłać 1000 fr. w złocie. Dowiedziałem się także, że i w Galicji przyjaciele moi robią starania, żeby uzyskać dla mnie pozwolenie powrotu do kraju. Starania te jednak nie doprowadziły do żadnego rezultatu, bo na wszystkie prośby namiestnictwo galicyjskie ciągle odpowiadało: nie i nie.

Zupełnie niespodzianie, wtedy gdy zamierzałem osiąść w miasteczku Versoix, w którem byłem naturalizowany, otrzymałem z Galicji list od inspektora szpitali galicyjskich doktora Dobieszewskiego, w którym ten proponował mi miejsce sekundarjusza w szpitalu lwowskim i wystaranie się przez ks. Leona Sapiehę, marszałka krajowego pozwolenia powrotu do kraju dla mnie. Nie wiedząc jakie to stanowisko takiego inspektora, a niesłychanie uszczęśliwiony propozycją jego, gdyż najwyższem marzeniem mojem było służyć własnemu krajowi i swoim rodakom, odpisałem natychmiast, dziękując za propozycję i donosząc mu, że natychmiast wyjeżdżam ze Szwajcarji do kraju. Nie długo trwały wybory moje, gdyż nic nie miałem prócz małego tłumoczka z książkami, narzędziami chirurgicznemi i bielizną; pożegnawszy przyja-

ciół, piękne okolice jeziora genewskiego i cudowne widoki górskie, wyjechałem do Wiednia.

W Wiedniu stanąłem na drugi dzień z rana. Zatrzymawszy się w hotelu, posłałem list do Łucjana Zawistowskiego, prosząc go, aby był łaskaw mnie odwiedzić. Posiadając bardzo niewielkie zasoby pieniężne, musiałem szukać jakiego prywatnego mieszkania do chwili, póki nie uzyskam z Wiednia pozwolenia na powrót do Galicji. Poczciwy Łucjan z przyjacielską gotowością dopomógł mi do tego, tak, że w parę dni potem już nająłem mieszkanie w domu prof. Arlta na Molker-Bastei na cały miesiąc.

Wiadomości otrzymane z Galicji były bardzo niepocieszające. Namiestnictwo galicyjskie, na czele którego stał wówczas p. Possinger, odpowiedziało, że gdybym się pojawił w Galicji nie otrzymawszy pozwolenia z ministerstwa, będę aresztowany i wysłany za granicę monarchji. Starania dawnych przyjaciół ograniczały się na dobrych chęciach i słowach; było też bardzo wielu, którzy się sprzeciwiali temu, aby puścić do kraju takiego strasznego człowieka, jak były pułkownik Struś, obawiając się, żebym nie wzniecił nowego powstania. Z tych wszystkich wiadomości otrzymanych z kraju okazywało się, że należy dołożyć starań do uzyskania pozwolenia we Wiedniu.

Udałem się więc z prośbą do prezesa Koła Polskiego, do p. Zyblikiewicza i Klaczki. Na tego ostatniego rachowałem najwięcej, bo Klaczko miał wielkie stosunki w ministerstwach, jako niedawny jeszcze sekretarz Beusta, który z nim razem grał na giełdzie, któremu jako pochodzącemu z Litwy, jak sądziłem, przynajmniej będzie przyjemnie okazać tanią przysługę Litwinowi. P. Grocholski napisał list do Kraińskiego i był u ministra spraw wewnętrzych, ale starania jego okazały się próżne, bo w spisie ludzi z obcych prowincyj przybyłych i wydalonych z Austrji Gołuchowski, b. namiestnik Galicji napisał: „polski patrjota a moskiewski ajent". Ma się rozumieć, że wobec takiej kwalifikacji, czy Polacy w Galicji byli górą, czy względy dla rządu moskiewskiego przeważały, wjazd do kraju był mi na zawsze wzbroniony.

Klaczko przy pierwszem widzeniu się obiecał, że wyjedna dla mnie pozwolenie powrotu do kraju, upewniając, iż to dla niego taka bagatela, że o tem nie ma co mówić. W dwa tygodnie po tej obietnicy, niestety okazał mi żdziwienie, że mając „rzemiosło w ręku, mogące mi dać łatwy kawałek chleba za granicą, tak się napieram powrotu do kraju, w którym istnienie moje

będzie daleko trudniejsze, aniżeli we Francji lub Szwajcarji". Mimo tego niepowodzenia nie straciłem niedzieji, że uda mi się dopiąć celu moich zabiegów bez pomocy tego kosmopolity, wychowanego w przedpokojach wielkich panów. Wyszedłem więc od niego, nie ukłoniwszy się nawet wielkiemu człowiekowi.

W Wiedniu spotkałem ks. Stefana Lubomirskiego z Białej Rusi, człowieka niezmiernie szczerego i miłego, byłego marszałka gubernialnego. Przez niego więc zacząłem starać się o protekcję u ks. Jerzego Lubomirskiego, który był w koleżeńskich stosunkach z ministrem Jireczkiem. Pewnego dnia ks. Stefan przyszedł uprzedzić mnie, że o 5-tej popołudniu książe Jerzy czeka mnie w swoim domu, aby poznać mnie bliżej. „Przygotuj się Pan na egzamin z katechizmu, jeżeli chcesz otrzymać szczerą pomoc". powiedział mi ks. Stefan na pożegnanie.

O oznaczonej godzinie byłem w mieszkaniu ks. Jerzego. Dziwak ten zajmował jeden tylko pokój na drugim piętrze; firanka rozdzielała go na dwie prawie równe części. W jednej z frontu był pokój sypialny, a zarazem i gabinet księcia, w drugim zaś kufer i łóżko jego służącego. Nad łóżkiem wisiała turecka szabla, na stole leżał złotem wybijany adres do Ojca świętego. Umeblowanie pokoju odznaczało się nadzwyczajną skromnością, Ks. Jerzy był małego wzrostu, ale dobrze zbudowany, twarzy przyjemnej i sympatycznej. Przedstawiłem mu, w jakim jestem kłopocie i jaką mam prośbę do niego; przyjął mnie bardzo grzecznie, ale oburzył mnie sposób jego mówienia do mnie, bo ciągle używał zaimka „ty". Wobec tak ważnej usługi, o którą przyszedłem prosić, musiałem to znosić, lecz każde takie poufałe czy lekceważące odezwanie się do głębi wstrząsało mą gorącą krew, tem więcej, że Lubomirski wiedział kim jestem i że mam pewne zasługi i prawo do szacunku. Mówiliśmy właśnie o gimnastyce u nas tak zaniedbanej w kraju i o potrzebie rozpowszechniania kąpieli i parni wśród ludu naszego. Chcąc księcia zrobić nieco grzeczniejszym, rozwinąłem przed nim cały zapas mej wiedzy pod tym względem, mówiłem gorąco, z przekonaniem, a mowa moja wywarła dość wielkie wrażenie, bo „ty" znikło z rozmowy i zostało zastąpione słowem „pan". W ciągu naszej trzygodzinnej rozmowy mnóstwo przedmiotów zostało poruszonych; rozstaliśmy się wzajemnie z siebie zadowoleni, Lubomirski odprowadził mnie aż do wrót domu mego. Lecz niestety! I jego starania nie doprowadziły do niczego.

Nie chcąc tracić drogiego czasu i szczupłych środków moich na starania, które widocznie nie mogły doprowadzić do pomyślnych rezultatów, postanowiłem udać się do Pesztu i tam za pomocą Klapki i Pulskiego, z którymi miałem wspólnych przyjaciół, otrzymać obywatelstwo węgierskie. Przed wyjazdem zachciało mi się zrobić znajomość z Franciszkiem Smolką, którego tak szanowaliśmy i uwielbialiśmy wszyscy na Litwie i w Polsce za jego działalność w sejmie Kromieryskim i na Węgrzech.

Pomysł ten był bardzo szczęśliwy. Dowiedziawszy się o moim ambarasie i zamiarze udania się do Węgier, Smolka radził mi poczekać jeszcze dni kilka, aż do przyjazdu p. Possingera [1]), którego oczekiwano we Wiedniu, obiecując pomówić z nim i z hr. Hohenwartem [2]). Ten ostatni powiedział Smolce, że wszystko zależy od Possingera. Otóż Possinger na prośbę Smolki zgodził się dać mi pozwolenie, jeżeli Hohenwart pozwoli. Prośba moja została napisaną i ja dobiłem do celu marzeń moich, a oprócz tego zyskałem w Smolce przyjaciela, który prosił mnie, abym mówił do niego „ty" i liczył na jego pomoc i przyjaźń.

Z niewymowną radością pobiegłem podziękować Smolce za jego tak skuteczną pomoc, a po otrzymaniu zezwolenia w ministerstwie spraw wewnętrznych, pożegnawszy poczciwego Łucjana i kilka przyjaznych mi domów polskich, które tu poznałem, w tenże dzień wyjechałem w drogę do Lwowa.

Boże! jakże pragnąłem czemprędzej obaczyć kopiec Kościuszki i wieże świątyń Krakowa! Wszystko, co się zasieje w duszy naszej, rośnie i olbrzymieje, gdy przedmiot jest daleki oczom ciała, a przytomny duszy tylko; przedmiot przywiązania idealizuje się w nas, uskrzydla i pięknieje, rozrasta. Ziarnko, które tam padnie, złocistym strzela kłosem; myśl posiana kwiecisto w niej buja. Przy zbliżaniu się do kraju, bałem się, by złoty ideał duszy w proch się nie rozsypał, bym nie znalazł wszystkiego zmalałem, skarlałem, upadłem. Dzięki Bogu nie doznałem rozczarowania. Wiosna oddechem swym czarownym budziła naturę, wszystko się uśmiechało, a po drodze witałem wszędzie przyjaciół.

Po przyjeździe do Lwowa przedstawiłem się dyrektorowi policji p. Hammerowi, który mnie bardzo serdecznie i przyjaźnie powitał, winszując mi osiągnięcia celu. W dni kilka następnie już

---

[1]) Ówczesny kierownik Namiestnictwa Galicji.

[2]) Minister stanu.

się instalowałem w szpitalu jako sekundarjusz Dr. Różańskiego, w którym znalazłem serdecznego kolegę, a potem i przyjaciela. Wydział Krajowy dał mi tę posadę warunkowo tylko, żądając abym złożył egzamin państwowy w Krakowie na Wszechnicy Jagiellońskiej. Musiałem więc znowu zasiąść do pracy i gotować się do egzaminów, tem trudniejszych, że zupełnie nie byłem obznajomiony z terminologją polską i że wśród przedmiotów, z których miałem składać egzamina, były trzy: policja lekarska, mineralogja i weterynarja, których poprzednio nie uczyłem się we Francji. Pieniężne środki moje także były bardzo szczupłe, bo jako płacę otrzymałem w szpitalu 400 zł. r. rocznie.

Wziąłem się jednak bardzo ostro do roboty, tak, że za trzy miesiące już byłem przygotowany do egzaminu. Przed wyjazdem do Krakowa, dowiedziawszy się o powrocie p. Possingera z Wiednia, wybrałem się do niego z podziękowaniem za udzielone pozwolenie przyjazdu. Dobrodziejstwo wyświadczone wiąże nas mimowolnie z człowiekiem, któremu pomogliśmy, bo czujemy, że ten człowiek musi być wdzięcznym, musi być przyjaznym dla nas. To też Possinger, którego poprzednio nigdy nawet nie widziałem, gdym mu wymienił nazwisko moje, uściskał i ucałował mnie serdecznie, ofiarowując wszelką pomoc, jaka będzie zależeć od niego. Korzystając z tego usposobienia prosiłem go o pozwolenie podania prośby o naturalizację.

— Panie, odpowiedział, ja tego zrobić nie mogę, bo jeszcze zbyt krótko pan jesteś w kraju, ministerstwo odrzuciłoby przedstawienie moje; lecz ja Panu dam pozwolenie pobytu na tak długo, jak długo Pan zechcesz.

— Ekcelencjo, odpowiedziałem otwarcie, w Austrji wszystko tak zmienne: któż mi zaręczy, że Ekscelencja za miesiąc nie rozstaniesz się ze Lwowem, cóż ja wtedy pocznę?

Na takie momento mori, Possinger uśmiechnął się i odrzekł: „masz Pan rację, podaj Pan prośbę, a ja się będę starać o uzyskanie austryjackiego obywatelstwa dla Pana“. Potem Possinger mi powiedział: „mnie tu nie lubią, chociaż być może więcej zrobiłem dla kraju, aniżeli moi poprzednicy. Ja jestem austrjakiem, ale urodziwszy się w Galicji kocham ten kraj. Gdy przyszło rozporządzenie, aby wprowadzić do urzędów język polski, mój poprzednik Hr. Gołuchowski, z oszczędności kazał poczekać z wypełnieniem polecenia, dopóki wszystkie druki niemieckie nie zostaną zużytkowane. Ja zaś, gdy przyszedłem, druki niemieckie kazałem wyrzucić i natychmiast zaprowadzić polskie, a jednak nikt

mi tego za zasługę policzyć nie chce, chociaż z największą usilnością wprowadzam język polski wszędzie i odsyłam bez załatwienia podania pisane po niemiecku, jeżeli mogły być napisane po polsku; a dla kraju rzecz to nie małej wagi [1]).

Bardzo rad z obietnicy Possingera, na drugi dzień podałem prośbę, a na trzeci wyjechałem do Krakowa dla złożenia egzaminu. Nigdy nie spodziewałem się takiego serdecznego, prawdziwie bratniego i przyjaznego przyjęcia, jakiego doznałem od profesorów uniwersytetu Jagiellońskiego, którego dziekanem naówczas był prof. Fryderyk Skobel, jedna z najpiękniejszych postaci polskich, jaką kiedy znałem. Nie wierzyłem uszom moim, gdym się dowiedział, że na gremjalnem posiedzeniu senatu, ze względu na pracę moją „Świat wymoczków", ktorą przedstawiłem, senat prosił ministerstwo o nostryfikowanie moje bez egzaminowania, na podstawie jedynie mego francuskiego i szwajcarskiego dyplomu. Byłem niezmiernie ucieszony tą względnością, lecz p. Skobel radził mi, abym jechał do Wiednia dla osobistego poparcia prośby u Rokitańskiego. Na drugi dzień już byłem w drodze. Gdym się mu przedstawił, Rokitański niby to obiecał, lecz nie bardzo dowierzałem słowom jego, i słusznie, bo za powrotem już znalazłem odpowiedź ministerstwa oświecenia, że zgodzić się na prośbę fakultetu nie może, bo z papierów moich przekonało się, że medycynę skończyłem w mniej jak czterech latach, a nie w pięciu, jak to przepisano w Austrji, więc należało, abym jeszcze rok uczęszczał na kursa lekarskie: jednak uwzględniając pracę moją naukową, zgadza się na dopuszczenie do egzaminu natychmiast, lecz bez żadnego wyjątku, z 14 przedmiotów obowiązkowych, tak teoretycznej, jak praktycznej medycyny. Reskrypt ministerjalny przyszedł w końcu kursu akademickiego przed ferjami, nie mogłem więc już otrzymać terminu i musiałem czekać początku jesieni.

Po przyjeździe do Lwowa ze smutkiem dowiedziałem się, że Possinger został powołany do Wiednia, a miejsce jego zajął hr.

---

[1]) Possinger, kierownik Namiestnictwa w latach 1868—1871, czuł bardzo dobrze, że nasze wpływy we Wiedniu rosną, więc chcąc zaskarbić sobie sympatję, robił sobie reklamę. Szczególniej tu, gdzie widział przed sobą niechętną Gołuchowskiemu osobistość, popartą przez ludzi wpływowych, nie omieszkał zareklamować się jako protektor nasz, nie oszczędziwszy przytem przytyków pod adresem groźnego sobie konkurenta. Przyznać jednak należy, że Possinger był człowiekiem przyzwoitym i pozostawił po sobie dobrą pamięć.

Gołuchowski. Skutki tej zmiany odbiły się natychmiast na mnie. Prośba moja o naturalizację, która nie była jeszcze odesłana do Wiednia, została mi zwróconą bez skutku. Gołuchowski nie cierpiał mnie jeszcze za r. 1863, kiedy jako organizator Galicji zmusiłem go do zapłacenia podatku narodowego, od którego uchylał się, przypomnieniem, że w ręku moim mam środki do zmuszenia go do spełnienia obowiązku Polaka. Przypomnienie to miało bardzo ostrą formę, nigdy bowiem nie przypuszczałem, że z panem hrabią będę miał kiedyś do czynienia.

Zasiadłem do pracy egzaminowej; dnie i noce przesiadywałem nad książką, bo potrzeba było zdawać po polsku, a ja terminów polskich zupełnie nie znałem. Jak tylko ferje szkolne skończyły się, pojechałem do Krakowa. Pierwszy egzamin z przedmiotów teoretycznych odbywał się w Uniwersytecie publicznie; zdawałem wtedy z botaniki, mineralogji, anatomji, patologji anatomicznej, patologji ogólnej, weterynarji i chemji. Obecność uczniów fakultetu bardzo mnie detonowała, nie posiadając bowiem dobrze języka polskiego i terminologji medycznej, musiałem posługiwać się co chwila francuską terminologją. Z każdego przedmiotu egzaminowano mnie po kwadransie. Nieskończenie długiemi wydawały mi się te dwie godziny egzaminu wobec tylu słuchaczy, ale egzamin tak się udał dobrze, że pp. profesorowie pozwolili mnie stanąć do drugiego egzaminu praktycznego nie za trzy miesiące, jak to jest w zwyczaju, ale wtedy gdy będę przygotowany do niego. Nie mogąc długo zostawać w Krakowie z braku środków do życia, w tydzień po pierwszym stanąłem do drugiego egzaminu z patologji szczegółowej, okulistyki, farmacji, akuszerji, medycyny sądowej i policji zdrowia. I ten egzamin udał mi się bardzo dobrze; chociaż znałem rzecz swoją, muszę jednak z największą wdzięcznością wspomnieć, że pp. profesorowie okazali mi niezmierną życzliwość, tak, iż z oczu ich czytałem zadowolenie, iż odpowiedziami memi nie omyliłem ich oczekiwań. Nawet pod względem materjalnym dopomogli mi, bo chociaż nowa i dość wysoka taksa egzaminacyjna weszła w życie, odemnie wzięto należytość według starej taksy (45 zł.), co było nie mało ważnem dla mnie w owym czasie. Po egzaminach w dni kilka złożyłem przysięgę lekarską i otrzymałem dyplom doktora medycyny Wszechnicy Jagiellońskiej. Podziękowawszy profesorom za ich życzliwość i współczucie, pożegnałem gościnny Kraków i wróciłem na służbę do Lwowa.

Po powrocie do Lwowa oddałem się zupełnie służbie szpitalnej i utworzeniu jakiej takiej klijenteli, bo płaca w szpitalu była niedostateczną do utrzymania. Pierwsze początki były bardzo szczęśliwe, bo chociaż bardzo często nic nie brałem za poradę lekarską, w pierwszym roku miałem już 1600 zł. r. dochodu. W szpitalu zaś, dyrektor Bertlew, który mnie bardzo nieprzychylnie przyjął z początku gdym przybył, wkrótce stał się wielkim moim przyjacielem.

Po ustąpieniu szefa biura sanitarnego Wydziału Krajowego Hallera, miejsce jego zajął Maciej Serwatowski. Chwila ta była początkiem rzeczywistego rozwoju szpitalnictwa galicyjskiego; nowy szef, człowiek niezmiernie zacny, miły, kochany, pełen dobrych chęci dla kraju, zbliżył się natychmiast do lekarzy i wszyscy wspólnemi siłami zaczęliśmy pracować nad podniesieniem tych zakładów, a że concordia res parvae crescunt, cały kraj przyznał, że w bardzo krótkim czasie postęp stał się bardzo widocznym. Dwa lata z rzędu Sejm dał uznanie Wydziałowi Krajowemu za rozwój szpitali i bardzo przychylnie wspomniał o pracy mojej, a przy uznaniu ogólnem praca jest zawsze łatwą i miłą.

Jeszcze przed dymisją Hallera Wydział Krajowy postanowił przystąpić do budowy nowego szpitala w Krakowie. Chodziło o wybór systemu, czy ma być szpital zbudowany systemem koszarowym, czy pawilonowym. Pierwszy był tańszy, bo już istniały fundamenta założone niegdyś przez ojca p. Cezarego Hallera, drugi zaś był więcej postępowy, bo cała Europa zaczęła wówczas budować szpitale pawilonowe. Wydział Krajowy polecił mi pojechać za granicę i zbadać różne systemy szpitalne wraz z warszawskim budowniczym p. Muklanowiczem. Zwiedziliśmy Wrocław Drezno, Berlin, Brukselłę, Frankfurt, Bern, Genewę, Strasburg, Medjolan, Turyn, Wenecję, Wiedeń, Grac i obejrzeliśmy dwa — dzieścia dwa szpitale. W czasie tej podróży odwiedziłem znajomych w Strasburgu i Genewie. Widziałem się z moim zacnym starym profesorem Schützenbergerem, który bardzo się cieszył z powodzenia mego, a w Genewie ze Stryjeńskim, Patkiem, Gostkowskim i Rymtowtami. Po powrocie z podróży przedłożyłem bardzo szczegółowe sprawozdanie o szpitalach zwiedzonych i oświadczyłem się za szpitalem pawilonowym w Krakowie. P. Haller, dyrektor szpitala krakowskiego Harajewicz i znakomity krakowski profesor Dietel oświadczyli się przeciw, motywując tem, że system pawilonowy jest nieodpowiedni dla naszego klimatu. Wezwano mnie do Wydziału Krajowego, abym bronił mej propo-

zycji, a obrona była tak gorąco przekonywająca, iż Wydział Krajowy większością głosów oświadczył się za systemem pawilonowym w Krakowie. Był to tryumf mój nielada, bo stanął na moją propozycję pierwszy szpital pawilonowy w kraju.

Do tego czasu nie mogłem uzyskać jeszcze obywatelstwa austrjackiego, a bez tego stanowisko moje było niepewne i narażone na różne ewentualności. Namiestnik Gołuchowski dwukrotnie odrzucił podanie moje o naturalizację, przyjaciele moi jednak powoli torowali mi do tego drogę. Po powtórnem uznaniu, które otrzymałem od Sejmu za stan szpitali, udałem się osobiście do Gołuchowskiego z prośbą o udzielenie mi naturalizacji.

Przyznam się, że szedłem z wielką obawą, Gołuchowski bowiem niecierpiał emigrantów i przyjmował ich gburowato i z cynizmem. Chociaż Gołuchowski był uprzedzony o mej wizycie przez Reya, który wówczas miał zamiar żenienia się z córką Namiestnika, obawiałem się jednak jakiej niegrzeczności z jego strony, bo byłem zdecydowany na niegrzeczność odpowiedzieć niegrzecznością, choćby to miało mnie nie wiedzieć ile kosztować. Na szczęście Gołuchowski przyjął mnie bardzo grzecznie, a rozmowę naszą podaję niżej, bo charakteryzuje ona dobrze tego człowieka.

Gdym powiedział moje nazwisko i poco przychodzę, rzekł:

— Pan zdaje mi się byłeś pułkownikiem w wojsku rosyjskiem?

— Tak jest Panie Hrabio.

— I czyż Panu nie żal straconej karjery?

— Nie, Wasza Ekscelencjo.

— Jakto, wszakże Pan do tego czasu już byłbyś jenerałem.

— Byłem dawniej wojskowym darmozjadem, dziś jestem człowiekiem użytecznym społeczności.

— Czy dlatego, że Pan jesteś lekarzem? Wy lekarze wiecie tylko to, że nic nie wiecie. Gdy jaka choroba cięższa napadnie na człowieka, to wysyłacie go do lepszego klimatu lub do wód mineralnych, a zresztą postępujecie po omacku... Jeszcze chirurgja...

— Ja jestem także chirurgiem, przerwałem mu.

— To nie wiele znaczy; wyżej stawię to, że Pan jesteś inspektorem szpitali krajowych, ale Pan mógłbyś być już jenerałem, bo i w moskiewskim wojsku są Polacy-jenerałowie: Rzewuski, Radziwiłł, Giecewicz...

— Nie wysoko cenię taką karjerę. Rzewuski został dla tego jenerałem, że całe życie błaznował i bawił dwór carski; Radziwiłł dlatego, że jest bardzo bogaty i głupi, Giecewicz zaś dlatego że całe życie milczał i że ciągle milczy. Czyż to tak przyjemnie?

— Prawda, ale zająwszy wyższe stanowisko, Pan mogłeś być użyteczny swoim, udzielając im poparcia, dając im potrzebne wskazówki, uwiadamiając o szkodliwych zamiarach rządu... Tymczasem zrobiliście powstanie, które tyle sprawiło złego...

— Wasza Ekscelencjo, ja nie wywołałem powstania, lecz gdy krew lać się zaczęła, nie czas było rezonować.

— Co za krew... Głupia krew!

— Panie Hrabio, ja jestem z Litwy, a u nas nie tak patrzyli na to. Ja byłem może najzdolniejszym w rodzinie. Gdybym nie poszedł do powstania, nie mógłbym oczu pokazać nie tylko współobywatelom, ale i matce rodzonej.

— Cha! cha! Pan i teraz tam oczu nie możesz pokazać.

— Ale mogę śmiało patrzeć w oczy każdemu, bo spełniłem obowiązek.

Odpowiedź ta widać nie podobała się Gołuchowskiemu, widział bowiem, że mnie nie przekona. Wziął prośbę moją i zmieniwszy rozmowę zaczął opowiadać o moim poprzedniku, który został oskarżony o jakąś sprawę kryminalną, zdaje się o zgwałcenie nieletniej dziewczyny. Dowcipkował z tego, śmiał się, cieszył z dowcipu swego i podskakiwał z zadowolenia jak tancmistrz. Na tem skończyła się rozmowa nasza...

Obywatelstwa jednak i teraz nie otrzymałem. Gdy Hr. Potocki Alfred został marszałkiem krajowym po usunięciu się Leona Sapiehy, prosiłem go o naturalizację i za jego wstawieniem się w ministerstwie otrzymałem to, czego tak długo odmawiał mi Namiestnik.

W 1875 roku latem Bóg pozwolił mi doznać wielkiego szczęścia. Droga matka moja, 76-letnia staruszka, siostra i bratanek mój Ludwik, syn ś. p. Adolfa zmarłego w początku tegoż roku, odwiedzili mnie we Lwowie i zabawili cały tydzień. Jak byłem szczęśliwy, trudno mi wypowiedzieć, bo wszystko co jest we mnie dobrego, zawdzięczam naukom mej ukochanej Matki i jej serdecznemu prowadzeniu w wieku dziecięcym, bo lepiej wychowuje jedno słowo serdeczne Ojca lub Matki, przyciskających dziecinę do serca, a także gorzkie lat młodych doświadczenie i łzy i praca i błędy czasem nawet, niż najrozumniejsza teorja, nie dająca umy-

słowi wytchnienia, człowiekowi należnej swobody uczucia i myśli, pola do rozwinięcia się siłą własną.

Prace moje w dziale szpitalnym, jak powiedziałem wyżej, doznały uznania. Dwa miasta, Jasło na Mazurach, Żółkiew na Rusi z wdzięczności za podniesienie szpitali tamecznych nadały mi dyplomy honorowego obywatelstwa. Życie wogóle zaczęło mi się uśmiechać po tak długich próbach. W 1876 poznałem i pokochałem teraźniejszą moją żonę. Życie rodzinne ze wszystkiemi rozkoszami jego stało się i mnie dostępnem. Życie rodzinne rzeczywiście jest wyższem nad wszystko na świecie, jeżeli jest dobrane i szczęśliwe!

SPIS RZECZY:

Str.

Przedmowa . . . . I.

Wiek dziecięcy 1

Ród Sawickich. — Lata dziecięce. — Rodzina. — Kroże. — Gimnazjum w Szawlach. — W korpusie kadetów. — Nauka, sroga dyscyplina, demoralizacja młodzieży rosyjskiej. — Smutne zabawy z wielkimi książętami. — Car. — Koledzy. — Awans na oficera lebgwardji.

Lata młodzieńcze 10

Do pułku. — Odwiedziny stron rodzinnych. — Powrót do Petersburga. — W akademji generalnego sztabu. — Awans na kapitana, przyjęcie do gwardyjskiego generalnego sztabu. — Znajomości. — Demoralizacja rosyjskiej inteligencji. — Przedstawiciele literatury i nauki: Nekrasow, Katkow, Kawelin, Czernyszewski. — Polacy.

Śmierć i pogrzeb cara Mikołaja 17

Charakterystyka Mikołaja I. — Klęski rosyjskie w wojnie krymskiej. — Bankructwo polityki cara. — Samobójstwo Mikołaja i śmierć. — Wrażenie i nastroje. — Car Aleksander II. — Ceremonje pogrzebowe. — Amnestja dla przestępców politycznych. — Bakunin. — Szef żandarmerji jenerał Orłów.

Herod nowoczesny. Pomnik cara Mikołaja . . . 27

Ofiary okrucieństwa. — Ceremonja odsłonięcia pomnika. — Projekty pomnika. — Szczegóły z życia Mikołaja I.

Koronacja cara Aleksandra II. 31

Zjazd cudzoziemców. — Ekscentryczni Anglicy. — Ceremonje koronacyjne. — Bale i widowiska. — Scena w teatrze. — Tchórzostwo Aleksandra i Mikołaja. — Bal u posła angielskiego Granvilla, komiczne qui pro quo. — Obiad kupiec-

twa z gospodarzami za drzwiami. — Obiad ludowy na Chodyńskiem polu i objawy zdziczenia ludu. Str.

Życie wojskowe 39

Służba w generalnym sztabie gwardyjskim. — Towarzysze. — Początki nihilizmu i jego pierwsi apostołowie. — Czernyszewski i Pisarew. — Spółka Gołochwastowa. — Bierne stanowisko rządu wobec pierwszych objawów nihilizmu i późniejsze prześladowania. — Awans na podpułkownika sztabu. — Podróż za granicę. — Nominacja na szefa sztabu I. kawaleryjskiej dywizji w Kownie. — Przełożeni, koledzy i podwładni. — Życie prywatne, rodzina. — Niebezpieczny wróg pułkownik żandarmów Skwarcow. — Złudne nadzieje ulg politycznych; optymiści i pesymiści. — Syrokomla i jego improwizacja. — Polacy, ich nadzieje i manifestacje religijne. — Uczta na cześć Syrokomli i jego toast. — Skutki denuncjacyj; przeniesienie do Kurska. — Pożegnanie w Kownie. Podróż do Petersburga, zdemaskowanie denuncjantów. — Pobyt w Kursku. — Rodzina pułkownika Stołpakowa. — Życie rodzinne. — Gubernator jenerał Den i zatargi z nim. — Wiadomości o wybuchu powstania. — Dymisja.

Wyjazd z Petersburga do powstania 60

Wyjazd. — Pożegnanie z Moskalami, — Podróż. — Bruksela. — Pierwsze rozczarowanie, pseudo-agenci Rządu Narodowego. — W Paryżu. — Ordęga. — Nieuwzględnione projekty. — Bonoldi, Dembiński, Seweryn Gałęzowski. — Kraków. — We Lwowie. — Wyjazd na plac boju.

Galicja w czasie powstania 66

Rządy austrjackie, polityka demoralizacji i ciemiężenie narodowości. — Administracja kraju. — Duchowieństwo i smutna rola wyższych jego przedstawicieli. — Szlachta, jej stan i szykany rządu wobec niej: sądownictwo i podatki. — Klasa średnia. — Miasta. — Żydzi. — Lud wiejski. — Machjawelska polityka rządu. — Policja austrjacka i jej korupcja.

Tragedja omyłek 76

Okrucieństwa wojny. — Szpiegostwo, złowrogie omyłki. — Szpieg Krzeczkowski i dziwne jego losy.

Działalność w powstaniu 85

Krótki rys czynności pułkownika Strusia w samem powstaniu.

Po powstaniu 89

Upadek powstania. — Dymisja. — Ogólne rozprężenie, smutne objawy demoralizacji. — Wyjazd z Galicji. — Drezno. — Genewa. — Opieka nad emigrantami. — Stowarzyszenie

Str.

bratniej pomocy. — Wybitniejsi Polacy na emigracji: Bandurski, Rymtowt. — Praca na chleb codzienny. — Wiadomości z kraju. — Zamiar powrotu. — Obywatelstwo Szwajcarskie. — Powrót do Galicji. — Aresztowanie we Lwowie. — Dyrektor policji Hammer. — Więzienie. — Wydalenie z kraju. — Podróż pod nadzorem policyjnym. — Niegodziwość organów policyjnych.

Walka z nędzą 106

Za granicą Austrji. — Bez grosza. — Podróż pieszo do Augsburga. — Za chlebem. — Praca w zakładzie galwanoplastycznym. — Wyjazd do Szwajcarji.

Próby odszukania pracy 110

Mülhuza. — Emigranci: Antuszewicz, Straszewski. — Bezowocne poszukiwanie zajęcia. — Moskale. — Prace publicystyczne. — Postanowienie wstąpienia na uniwersytet,

Pobyt na wszechnicy 116

Strasburg. — Rozpoczęcie studjów medycznych. — Życzliwość Francuzów. — Ciężka praca w niedostatku. — Studja, towarzysze, rozrywki. — Ułatwienia na uniwersytecie. — Promocja na doktora medycyny, życzliwość profesorów. — Wybuch wojny francusko-niemieckiej. — Postanowienie pozostania we Francji. — Pierwsze chwile po wybuchu wojny. — Brak przygotowań.

Bombardowanie Strasburga 124

Zajęcie w ambulansie szpitalnym. — Początek bombardowania miasta. — Pierwsze ofiary. — Pożar szpitala cywilnego. — Pożar kościoła katedralnego wywołany umyślnie. — Nienawiść mieszkańców do Badeńczyków. — Bombardowanie teatru, schroniska bezdomnych. — Barbarzyństwa Niemców, odmowa ewakuacji kobiet i dzieci. — Niedołęstwo intendantury francuskiej. — Bombardowanie szpitala. — Straszne sceny. — Życie mieszkańców miasta w czasie bombardowania. — Brak wieści ze świata. — Szwajcarskie pośrednictwo w celu ewakuacji starców, kobiet i dzieci. — Delegacja szwajcarska w twierdzy. — Smutne wieści z Francji. — Ofiary bombardowania.

Oblężenie i bombardowanie Strasburga z punktu wojennego 147

Zniszczenie miasta i zabytków. — Umyślne spalenie muzeum i bibljoteki. — Prace oblężnicze Niemców, rozmieszczanie baterji, roboty ziemne. — Przewaga artylerji niemieckiej. — Strasburg twierdza przestarzałego typu. — Jej cztery zasadnicze braki. — Niemożliwość utrzymania. — Brak przygotowania, niedostateczne uzbrojenie wałów. — Brak artylerji, nieumiejętne użycie. — Niedostateczna za-

loga, zaniedbanie prac obronnych. — Stary typ artylerji francuskiej, celność niemieckiej. — Jenerał Uhrich i jego błędy. — Kapitulacja. — Pierwsze chwile po zajęciu miasta. — Brutalność i buta Prusaków.	Str.
Ostatnie chwile Alzacji francuskiej	162
Dzieje Alzacji. — Przyłączenie do Francji i zespolenie się z nią. — Stan kraju i stosunek do rządu. — Po wkroczeniu Niemców. — Represje niemieckie — Kontrybucja. — Jenerał Werder i burmistrz Dolfus. — Brutalność niemiecka. — Alzaccy wolni strzelcy. — Okrucieństwa niemieckie.	
Pożegnanie ze Strasburgiem. Powrót do kraju . .	169
Wyjazd ze Strasburga. — Rabunki niemieckie. — Genewa, praktyka lekarska. — Wiadomości z kraju. — Wezwanie do objęcia stanowiska we Lwowie. — Wyjazd do Wiednia. — Zabiegi o pozwolenie powrotu do kraju. — Zyblikiewicz. — Grocholski. — Klaczko. — Stefan i Jerzy Lubomirscy. — Franciszek Smolka. — Zezwolenie na powrót do kraju. — Kraków. — We Lwowie na stanowisku. — Namiestnik Possinger. — Nostryfikacja doktoratu na uniwersytecie Jagiellońskim. — Służba szpitalna. — Mikołaj Serwatowski. — Projekt budowy szpitala w Krakowie. — Podróż za granicę. — Aprobata projektu Sawickiego. — Audjencja u Gołuchowskiego. — Praca zawodowa i uznanie. — Szczęście rodzinne.	